

Zbrodnia na Kos | Na kłopoty Brudziński | Gra migrantami | Wstyd na boisku
Lewy budżet | Dziwna wojna Prigożyna | Polska wysycha | Książki na lato

POLITYKA.PL

POLITYKA



TYGODNIK, nr 27 (3420), 28.06–4.07.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Mentzen nawarzył piwa

Według dzisiejszych sondaży nie będzie
przyszłego rządu bez Konfederacji s. 6, 18



G
D
Z
I
E

N
A
T
U
R
A

S
P
O
T
Y
K
A

C
Z
Ł
O
W
I
E
K
A



S
M
O
L
N
A
S
O
P
O
T
_
S
O
L
O

INVEST
KOMFORT

APARTAMENTY W SOPOCIE
+58 585 90 64 | smolnasopot.pl



© APPEAST NEWS

10

Prigożyn vs Putin



12

Śmierć Anastazji
– zbrodnia, media, polityka

15

Na kłopoty Jojo

Tematy tygodnia

- 10 Paweł Reszka
Krótką wojna Prigożyna
- 12 Katarzyna Kaczorowska
Jak politycy grają zbrodnią na Kos
- 15 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Czy Joachim Brudziński uratuje kampanię PiS?

Polityka

- 18 Rafał Kalukin **Czas Konfederacji**
- 21 Łukasz Pawłowski
OGLĄD I POGLĄD **Sondaże niczego nie przesądzą**

Społeczeństwo

- 24 Rozmowa z prof. **Izabelą Grabowską** o tym, co PiS zyskuje, strasząc uchodźcami i dlaczego migracją tak trudno zarządzać
- 27 Agnieszka Sowa
Polski Związek Łowiecki pod butem Suwerennej Polski
- 30 Katarzyna Kaczorowska
Co wolno rektorowi
- 33 Stefan Szczepłek
Dlaczego Polacy nie potrafią grać w piłkę nożną



Rynek

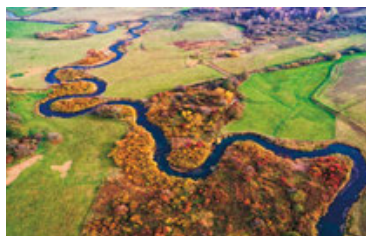
- 36 Joanna Solska
Raport NIK: dwa budżety państwa PiS
- 40 Adam Grzeszak
Czarno o zielonej energii

Świat

- 48 Piotr Łukasiewicz
Ile znaczy Warszawa dla Waszyngtonu
- 51 Paweł Reszka ROSJA
Opozycja nie pokona Putina
- 54 Łukasz Wójcik GRECJA
Czy już koniec kryzysu?
- 57 O życiu po Nokii z **Wojciechem Woźniakiem**, znawcą Finlandii, rozmawia Agnieszka Lichnerowicz



Nauka/projektpulsar.pl



- 60 Zmierzamy w kierunku suszy – ostrzega **Jan Mencwel**, autor książki „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać”
- 64 Andrzej Lubowski
Sztuczna inteligencja nauczyła się oszukiwać
- 68 Wojciech Mikołuszko **Żebroplaw – nasz najstarszy przodek**

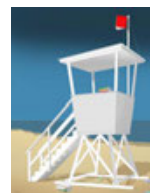
Historia

- 70 Tadeusz Szumowski **80 lat po katastrofie w Gibraltarze: co wiemy, czego nie**

- 74 Rozmowa z prof. **Marcinem Zarembą** o niespełnionych obietnicach dekady Gierka
- 77 **NOWE KSIĄŻKI HISTORYCZNE**

Kultura

- 82 LEKTURY NA LATO – redakcyjny wybór powieści, kryminałów i historii non-fiction
- 86 Jakub Demiańczuk
Harrison Ford znowu jako Indiana Jones
- 89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 90 Aneta Kyzioł
Krystian Lupa traci panowanie
- 92 Rozmowa z **Piotrem Kępińskim**, krytykiem literackim, o włoskim dolce vita i o niezwykłej Abruzji



Ludzie i style

- 100–105 • **Niezakrapiane wesela** • **Moda na złote łańcuchy** • **Polska wchodzi do gry o chipy** • **Kariera Monobloku** • **Linia do piekła** • **Epidemia samotności** • **Risotto: danie gadatliwe** • **Rzeczpospolita Ptasia**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
• **7** Ludzie i wydarzenia • **78** Afisz
• **95** Agata Passent • **96** Chutnik i Plebanek
• **97** Wicha • **99** Do i od redakcji
• **106** Polityka i obyczaj



Z ŻYCIA SFER

A ty się temu nie dziwisz...

Zacznijmy od prostego opisu zdarzeń: kiedy szef partii rządzącej zorientował się, że zbyt popuścił cugli swoim rozbrykanym sztabowcom od wyborów, uznał, że tylko on sam może nad tym towarzystwem zapanować i w tym celu postanowił wejść do rządu, żeby zając się sprawami państwa. A nie, nie, pardon, sprawami partii. Kogoś to jeszcze dziwi? Nie? A powinno. No więc partyjny przełożony partyjnego premiera każe mu (bo przecież nie prosi), by ten zatrudnił go na stanowisku swego zastępcy, i to jedyne, jako że nie wypada, aby był na równorzędnym stanowisku z takimi tuzami władzy, jak minister Sasin, Błaszczak, Gliński i Kowalczyk, bo jednak bez przesady. Zachwycony tym pomysłem (dowód poniżej) premier natychmiast zwraca się do prezydenta, żeby sprawę ceremonialnie i formalnie przeprowadził, co prezydent czyni z wielkim entuzjazmem, bo to dla niego niezwykle rzadka okazja, by przez około 15 sekund potrząsać dłońią (nie próbujcie tego z nikim, to więcej niż niezręczne) nominowanego na wicepremiera jedyne faktycznego szefa państwa. Chodzi przecież o los Polski, którą tak ukochał prezydent. Chodzi też o to, że taka ceremonia to znakomita okazja, by prezydent zgromadzonym na stojąco ministrom obu kancelarii mógł wreszcie pokazać, że potrafi mówić bez kartki przez 25 minut (jego kolana jeszcze nie boją) o czymkolwiek, co mu akurat przyjdzie na myśl, a i tak dostanie oklaski. Wśród obecnych nie było widać prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości w jednym. Widocznie uznał, że wie, co prezydent ma do powiedzenia.

Premier Morawiecki, którego rządy są wedle jego własnej opinii pasmem nieustających sukcesów, nie spoczął na laurach i natychmiast opublikował na Twitterze opinię, która pewnie nikogo nie zdziwiła (a powinna): „Dziś Prezes @pisorgpl Jarosław Kaczyński wrócił do KPRM. W składzie Rady Ministrów nastąpiły istotne zmiany, które są gwarancją skutecznej realizacji naszego planu budowy bogatej i bezpiecznej Polski przyszłości. Polski, która rozwija się równomiernie. Polski, która naprawia zaniedbania ostatnich 30 lat. Polski, która realizuje prawdziwy testament Solidarności”. Z tego tweeta wprost wynika, że dotąd premier i jego wicepremierzy, których najwyraźniej słusznie zdegradował, nie dawali gwarancji „skutecznej realizacji planu budowy Polski”; w latach 1989–1992 nie było zaniedbań, a Solidarność już nie żyje, skoro premier chce realizować jej testament.

Dokładnie rok temu w wypowiedzi dla TVP Info Jarosław Kaczyński tłumaczył, dlaczego nie może pozostać w rządzie: „Jestem szefem partii i muszę myśleć o tym, co jest dla każdej partii najważniejsze, czyli o wyborach. A łączenie tych dwóch funkcji byłoby możliwe na takiej zasadzie, że prawie nie bywam w Kancelarii Premiera, prawie nie wypełniam funkcji wicepremiera, ale biorę pensję. Ja takich zasad nie uznaję”. To, że właśnie uznał „takie zasady”, nikogo nie dziwi. A powinno.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Rzymu. Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Kolacja w hotelu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ottarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, następnie czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem w postaci włoskich przekąsek i wina (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Wylot z Rzymu do Warszawy.



5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2023 **5.298,-**



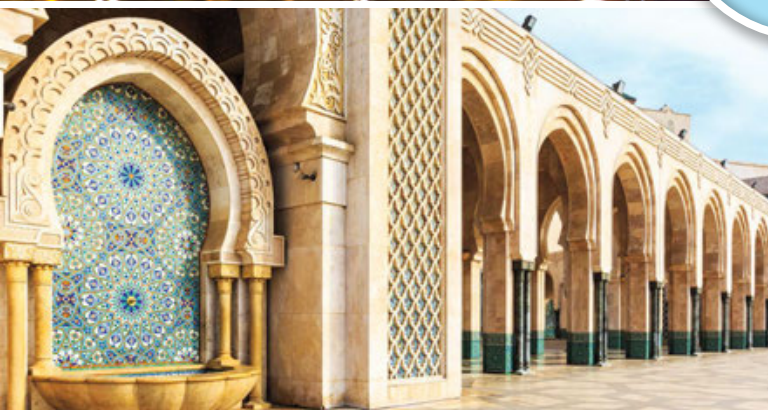
WYKŁAD
ONLINE



Klasyczna Tanzania

06/07/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Hiszpania i Maroko – śladami Maurów

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Malaga – Rincon de la Victoria. Transfer i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Malaga – Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 3** Rincon de la Victoria – Granada – Alhambra. Spacer po mieście i Pałac Alhambra. **Dz. 4** Rincon de la Victoria. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do byłego kalifatu mauretańskiego, Kordoby. **Dz. 5** Rincon de la Victoria – Gibraltar – Tarifa – Tanger. Angielska kolonia i szybki prom do Maroka. **Dz. 6** Tanger – Casablanca. Zwiedzanie miasta i pociąg ekspresowy do Casablanki. **Dz. 7** Casablanca – Essaouira. Zwiedzanie miasta m.in. Meczet Hassana II i przejazd w kierunku nadmorskiego miasta Essaouira. **Dz. 8** Essaouira. Spacer po mieście i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 9** Essaouira – Marrakesz. Olejek arganowy z lokalnej kooperatywy, „latające” kozy i wycieczka po Marrakeszu z Pałacem Bahia i placem Dżemaa El Fna. **Dz. 10** Marrakesz. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka w góry Atlas. **Dz. 11** Marrakesz - Warszawa. Powrót do domu.

11 dni | Wyloty z Warszawy 12/11 2023, 14/02 2024 | od **9.498,-**



Transylwania i jej perty kultury

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Bukareszt. Zwiedzanie miasta oraz powitalna kolacja w lokalnej restauracji. **Dz. 2** Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, czas wolny a następnie przejazd do Sybina. **Dz. 3** Sybin – Hamba – Sibiel – Sybin. Spacer po mieście a następnie czas do własnej dyspozycji. Możliwość wycieczki fakultatywnej na pszczelą farmę z kolacją ze specjaltami kuchni rumuńskiej. **Dz. 4** Sybin – Alba Iulia – Turda – Sighisoara. Cytadela Habsburgów i kopalnia soli w Turdzie. **Dz. 5** Sighisoara. Zwiedzanie miasta Sighisoara i wycieczka fakultatywna do winnicy z degustacją wina i kolacją. **Dz. 6** Sighisoara – Saschiz – Viscri – Braszów. Wizyta w warsztacie garncarskim i wiejska sielanka w Viscri. **Dz. 7** Braszów – Bran – Braszów. Zwiedzanie Braszowa i Zamku Drakuli w Bran wraz z kolacją w zamku. **Dz. 8** Braszów – Sinaia – Bukareszt. Zamek Peles i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 26/04, 13/09 2024 | **5.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL24

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Po sobocie, przed niedzielą



Jerzy Baczyński

Polityczna wielka sobota – czyli ostatnie przed wakacjami wiecie i konwencje wszystkich ważniejszych ugrupowań – została w mediach przycięta relacjami z Rosji. A tam rozgrywał się dziwny spektakl, ni to bunt, ni zamach stanu zorganizowany przez Jewgienija Prigożyna, dowódcę i właściciela armii najemników. Cały świat w zdumieniu oglądał obrazki z przejazdu kolumn Grupy Wagnera na Moskwę, próbując zrozumieć, o co chodzi. Po orędziu prezydenta Rosji, oskarżającym buntowników o zdradę stanu i terroryzm, można się było spodziewać krwawej konfrontacji armii Prigożyna z armią Putina na przedpolach Moskwy. Kryzys skończył się równie nagle, jak zaczął (analiza s. 10), ale ze wschodu znów powiało grozą. Wewnętrzna rywalizacja w resortach siłowych i służbach specjalnych Rosji, oskarżających się o nieskuteczność „operacji specjalnej w Ukrainie”, zapowiada jeszcze więcej wojny. Rośnie niebezpieczeństwo jakichś nieskoordynowanych akcji zbrojnych, także z terytorium Białorusi; trudno wykluczyć prowokacje na granicach Rosji z krajami NATO. Akcja Prigożyna kompromituje i osłabia samego Putina, ale nie ma się z czego cieszyć; w takich przypadkach dyktator zwykle szuka prestiżowego odwetu.

Pucz wagnerowców stworzył nieoczekiwany kontekst dla partyjnych wieców w Polsce. Nawet jeśli je nieco przykrył, to jeszcze więcej odkrył. Liderzy dostali wyjątkową szansę, aby odnieść się do najważniejszego dziś dla Polski zagrożenia, wojny u naszych granic. Oczywiście oczy wszystkich zainteresowanych polityką zwrócone były na Dolny Śląsk, gdzie po raz pierwszy w tej kampanii doszło do niemal bezpośredniej (jedność miejsca i czasu: Bogatynia–Wrocław, godz. 13) wiecowej konfrontacji Kaczyński–Tusk. Ale w tym samym czasie w Warszawie odbyła się pokazowa konwencja Konfederacji, ugrupowania, któremu ostatnie sondaże dają średnio ok. 12 proc. poparcia, kilkadziesiąt mandatów w przyszłym Sejmie i rolę obrotowego. To Konfederacja może zdecydować, jaki rząd powstanie po wyborach i czy w ogóle w nowym Sejmie da się zbudować większościową koalicję, czy też będą nas czekać kolejne przyspieszone wybory (nasza analiza s. 18). Nagły awans do ekstraklasy, poczucie, że to oni de facto wskażą premiera, mocno zawrócił w głowach liderom Konfy. Ale takie są dziś sondażowe realia: najwięcej politycznych spekulacji krąży wokół pytania, co po wyborach zrobi Konfederacja i co z nią zrobić?

Formacja ma opinię zlepkę różnych skrajnych prawicowych nurtów opisanych w słynnej piątce Mentzena – „Polska bez Żydów, gejów, podatków, aborcji i Unii Europejskiej”. Dziś Konfederacja mocno się odcina od tej rzekomo żartobliwej autodefinicji i skupia na planie drastycznej redukcji podatków. Co też nie wygląda bardzo poważnie. Rzecz nawet nie w standuperskich popisach Sławomira Mentzena („zlikwidujemy PIT, CIT, VAT, ZUS”): propozycje partii tozysta – można rzec – Konfa-bulacja, ekonomicznie i społecznie nie do przeprowadzenia.

Niestety w kwestiach bezpieczeństwa partia Mentzena, Bosaka i Brauna będzie realnie spychać polską politykę w awanturnictwo.

To Grzegorz Braun, dziwak, radykał, uchodzący za prorosyjskiego oszołoma, zyskał na konwencji największy aplauz, głosząc „stop ukrajinizacji polityki” i „banderyzacji polskiej racji stanu” (?). Konfederacja jest także zasadniczo wroga „eurokołchozowi”, migrantom, polityce klimatycznej Unii, co bardzo zbliża ją do antyunijnej retoryki PiS. Formalna czy nieformalna koalicja KonfaPiS oznaczałaby wzmocnienie w polskiej polityce wątków antyukraińskich, antyeuropejskich, antyzachodnich. Idealna mikstura – trzeba przyznać – na nową fazę konfrontacji ze ZBiR, nieobliczalnym, zmilitaryzowanym Związkiem Białorusi i Rosji.

Wdzięczenie się PiS do elektoratu i liderów Konfederacji jest dziś oczywiste; bez nich według dzisiejszych sondaży nie będą rządzić. Przemowa Jarosława Kaczyńskiego w Bogatyni mogła być spokojnie częścią konwencji Konfederacji. Prezes nie rzucał nowych obietnic socjalnych, na które konfederaci reagują alergicznie, nawet nie podnosił wątku LGBT, bo ten też nie bardzo grzeje młodych, zwłaszcza nowych, wyborców Mentzena. Pojawiło się za to bardzo eksponowane „konfederacyjne” hasło: Wolna Polska!, a Kaczyński wręcz „mówił Bosakiem”. Wystąpienie zawierało wspólne dla PiS i Konfederacji opowieści: o „ataku na naszą suwerenność” ze strony Brukseli i Berlina, o narzucanych nam nakazach, np. zamknięcia kopalni w Turowie, czy „wymuszonym przez europejskie elity” obowiązku przyjmowania do Polski wielkiej fali migrantów, czemu, oczywiście, naród musi powiedzieć w referendum „nie”.

Dolnośląskie konwencje dwóch największych partii (według ostatniego sondażu Kantar PiS i PO mają równo po 32 proc.) były zapowiadane w mediach jako starcie gigantów, bo PiS podjął wyzwanie, aby zmierzyć się z Tuskiem w otwartej przestrzeni, przełamać traumę 4 czerwca. I wyszło słabo jak na debiut Joachima Brudzińskiego w roli szefa sztabu wyborczego (więcej s. 15). Ani wizualnie, ani werbalnie w Bogatyni żaden reset kampanii nie nastąpił. To był jednak rutynowy zlot działaczy, tyle że ze wzmocnioną pod Konfederację antyunijną retoryką. „Starcie na solo” bez wątplenia wygrał Tusk: we Wrocławiu na spotkanie z nim przyszło ze 20 tys. ludzi, a atmosfera miała wiele z warszawskiego marszu. Tusk znowu ostro atakował PiS: za kłamstwa o – w istocie zawinionych przez obecną władzę – kłopotach kopalni Turów w Bogatyni („przestępca wraca na miejsce na zbrodni”); za bzdury na temat rzekomej przymusowej relokacji migrantów i za realne szcucie na cudzoziemców przebywających w Polsce. Mówił o złodziejstwach PiS, przypominając, co były wiceminister Jacek Żalek zeznał na temat stworzonego przez Adama Bielaną przestępczego układu (czyt. s. 8). Kpił z nominacji Kaczyńskiego na jedynego wicepremiera i jego deklaracji, że najważniejsza dla niego jest partia. Wypominał, że Kaczyński nawet nie odnosi się do wydarzeń w Rosji i płynących stamtąd nowych zagrożeń. Główny przekaz: „Každy, kto dzisiaj wypowiada cywilną wojnę Unii Europejskiej i Zachodowi, podnosi rękę na najbardziej żywotne interesy naszej ojczyzny”. Z jawnym wskazaniem na PiS i Konfederację.

Wpartyjną wielką sobotę odbyły się też konwencje Lewicy (głównie poświęcona prawom kobiet) oraz ugrupowania Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Trzecia Droga wciąż próbuje się wic między PO i PiS, choć nadal pozostaje w twardej opozycji wobec „geszefciarzy z Nowogrodzkiej”. Mimo spadających notowań projekt trwa i obaj liderzy mają jeszcze kilka tygodni na walkę o samodzielność. Dla PSL to wciąż będą próby odzyskania elektoratu wiejskiego i małomiasteczkowego, dla Hołowni walka o powrót tych wyborców, których utracił na rzecz Konfederacji. W każdym razie przed wakacjami i przed oficjalnym startem kampanii fronty są narysowane, bez względu na to, że każda z formacji podkreśla dziś swoją odrębność i gra na siebie. Po jednej stronie mamy nieuchronny alians PiS z Konfederacją – obojętnie czy dobrowolny, czy też kupiony lub wymuszony przez PiS – po drugiej, jeszcze nienazwaną i nieogarniętą „koalicję europejską”. Albo ci, albo ci? Tusk ma rację, że właśnie w tej sprawie w jedną z październikowych niedziel odbędzie się referendum.

PiS i Ziobro się zabezpieczają

Na nadchodzące posiedzenie Sejmu zaplanowano drugie czytanie rządowej ustawy, w której ukryto przejście władzy w prokuraturze przez prokuratora krajowego. Tak Zbigniew Ziobro i PiS zabezpieczają się przed wyborczą przegraną i utratą wpływu na prokuraturę. A także – co prawdopodobnie kluczowe – przed pociągnięciem do odpowiedzialności za nadużywanie władzy. Prokuratora generalnego/ministra sprawiedliwości obsadza bowiem ugrupowanie tworzące rząd, a krajowego – powołuje i odwołuje premier za zgodą prezydenta. I można się spodziewać, że Andrzej Duda nie zgodzi się na odwołanie obecnego prokuratora krajowego **Dariusza Barskiego**. Więc nawet po zwycięstwie opozycji do 2025 r. prokuratura będzie we władaniu PiS i ziobrystów.

Przekazywanie prokuratorowi krajowemu władzy nad prokuraturą zaczęło się rok temu. Przy okazji ustawy o współpracy z Prokuraturą Europejską (Polska odmówiła przystąpienia do tej unijnej inicjatywy) dano mu wyłączną władzę powoływania i odwoływania dyrektorów prokuratur, czyli ludzi, którzy w prokuraturze rządzą pieniędzmi. Teraz pod pozorem nowelizacji



kodeksów o postępowaniu w sprawach cywilnych i karnych zrobiono wrzutkę: praktycznie całość kompetencji prokuratora generalnego przekazuje się krajowemu. Chodzi m.in. o obsadzanie kierowniczych stanowisk w prokuraturze, awanse i delegacje prokuratorów, postępowania dyscyplinarne, a także wydawanie poleceń prokuratorom co do konkretnych śledztw. Dzisiejszą kompetencję prokuratora generalnego dotyczącą wydawania zgód na czynności operacyjne samodzielnie

będzie realizował prokurator krajowy i jego zastępcy. To oznacza wyraźne zwiększenie liczby zgód na inwigilację.

A więc w razie gdyby obecna władza przegrała wybory, prokuratura pozostanie w rękach wiernego Ziobrze Barskiego, który będzie mógł blokować rozliczanie ludzi władzy. Temu służy też inna zmiana: o tym, czy będzie można wnosić do sądu tzw. subsydiarne akty oskarżenia (gdy tak nakaze sąd po dwukrotnym odrzuceniu sprawy przez prokuraturę), będzie decydował już nie sąd, ale prokuratura. A więc obok zablokowania rozliczeń za pomocą prokuratury blokuje się też inną drogą rozliczeń: przez akty oskarżenia wnoszone przez prywatne osoby czy organizacje pozarządowe.

Podczas prac w komisji nad ustawą zapytany o to legislator z Ministerstwa Sprawiedliwości stwierdził, że prokurator generalny może też działać osobiście nie tylko za pośrednictwem prokuratora krajowego. Nie wiadomo, na czym oparł taką interpretację, ale gdyby ją zastosować, to oznacza, że jeśli ministrem/prokuratorem generalnym nie byłby Zbigniew Ziobro, ale minister z opozycji, prokuratorzy dostawiliby sprzeczne polecenia od prokuratora generalnego i krajowego. Będziemy mieli w prokuraturze dwuwładzę i chaos niemożliwy do opanowania. I o to chodzi.

EWA SIEDLECKA

Sasinada pod Wawelem

WKrakowie oraz w innych miastach południa Polski ruszyły w ubiegłym tygodniu igrzyska europejskie. To trzecia edycja tej trzeciorzędnej imprezy. Warto tylko nadmienić, że gospodarzami poprzednich były dyktatury: Azerbejdżan i Białoruś. Najbardziej praktyczną stawką tych zawodów są zaś kwalifikacje do przyszłorocznych igrzysk olimpijskich w Paryżu w kilku dyscyplinach – m.in. boksie, łucznictwie, strzelectwie, tenisie stołowym i pięcioboju nowoczesnym. Organizacja tego typu wydarzeń wiąże się jednak z kolosalnymi wydatkami, więc nic dziwnego, że Kraków nie miał konkurencji. Z punktu widzenia władz miasta igrzyska są jednak korzystne: 100 mln zł z lokalnego budżetu wsparto setkami milionów ze środków centralnych – przede wszystkim na budowę i remonty infrastruktury sportowej oraz drogowej, która po zakończeniu imprezy będzie służyć mieszkańcom.

Ile dokładnie wydano na igrzyska, trudno jednak ustalić. Organizatorzy utrzymują, że budżet zamknął się w 466 mln zł, ale lokalni aktywiści i politycy twierdzą, że koszty sięgają nawet 2 mld zł. Od miesiocy nie mogą się doprosić bilansu faktycznie poniesionych wydatków; okazania dokumentów i faktur odmawiają im zarówno w lokalnym urzędzie marszałkowskim, jak i w powołanej na okoliczność imprezy spółce Igrzyska Europejskie 2023. W tym ostatnim przypadku jest to o tyle kuriozalne, że jednym z udziałowców spółki jest miasto Kraków. Tymczasem miejscy radni nie mają wglądu w finanse imprezy.

Pod igrzyska ochoczo podczepili się ważni politycy PiS. Z ramienia rządu odpowiedzialnym za przygotowania został minister aktywów państwowych Jacek Sasin (w końcu głównymi sponsorami imprezy zostały państwowe spółki), ale jego zaangażowanie nie



zostało docenione – podczas ceremonii otwarcia został wygwizdany. Podobnie zresztą jak Andrzej Duda, który usiłował zrobić dobrą minę do złej gry.

Minister sportu Kamil Bortniczuk stwierdził, że jest to „pod wieloma względami największa impreza w historii Polski”, choć do organizowanego wspólnie z Ukrainą piłkarskiego Euro 2012, które przyciągnęło setki tysięcy kibiców, małopolskie igrzyska się nie umywiają. Według Bortniczuka jest to jednak świetna okazja do promocji Polski, a w związku z tym powinniśmy pójść za ciosem i ubiegać się o organizację właściwych letnich igrzysk, już w 2036 r. Zaniepokojonych koniecznością idących już wówczas w dziesiątki miliardów złotych wydatków powinno uspokoić to, że o miano gospodarza ma się wówczas starać również Katar. A kandydaturze szejków się nie odmawia. (MP)

Układ się sypie

Adam Bielan nie tylko wiedział, że z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju wypływają do „swoich” wielomilionowe dotacje, ale sam był twórcą i szefem tego układu. Z ksywką: „Sponsor”. Jacek Żalek, wiceprezes partii Bielana i wiceminister funduszy, formalnie nadzorujący tę państwową instytucję, w wywiadzie dla TVN24 wprost nazywa partyjnych kolegów zorganizowaną grupą przestępczą. Sypie.

Do tej pory milczał. Kiedy jednak zobaczył, że koledzy zamiast go ratować, obsadzili go w roli jedynej winowajcy afery, postanowił zawalczyć o rolę świadka koronnego. Złudzeń pozbawił go Mateusz Morawiecki, który publicznie dziękował Bielanowi, że to dzięki niemu z NCBiR nie zdążyło wypłynąć prawie 180 mln zł jako dotacja do dwóch firm „krzaków”, w tym 122 mln dla firmy znajomego Żalka z Białogostoku. Z tweeta Tomasza Poręby, byłego już szefa sztabu wyborczego PiS, wynikało wprawdzie, że sama partia o niewinności Bielana przekonana nie jest, ale jednak wciągnięcie go do sztabu potwierdziło, że krzywda szefowi Republikanów się nie stanie. Wdzięczność PiS za rozbięcie partii Gowina jest wielka. Zjednoczona Prawica uznaje go za niewinnego. Żalek mógł dojść do wniosku, że nie ma wyjścia, dalsze milczenie zdawało się potwierdzać jego winę.

Przedstawił więc swoją wersję. Według niej zarówno szefostwo NCBiR, jak i wiceminister funduszy, czyli on sam, byli tylko figurantami. Firmowali decyzje podejmowane przez członków grupy przestępczej decydującej, komu i w jaki sposób przetransferować unijne dotacje. Stworzyli alternatywną, nieformalną strukturę, faktycznie trzymającą władzę w państwowej instytucji. Sprywatyzowali ją. Z wypowiedzi



Żalka wynika, że nadzór nad dysponującym miliardami NCBiR sprawowały służby, więc Żalek o nieprawidłowościach w sprawie ich rozdziału miał poinformować ministra Mariusza Kamińskiego. Ten jednak nic z tą wiedzą nie zrobił. Czy zrobi coś prokuratura podporządkowana Ziobrze, która do szuflady włożyła wiele innych aferalnych doniesień?

Z umowy koalicyjnej między PiS a Republikanami wynika, że w ramach podziału politycznych łupów partii Bielana przyznano nie tylko nadzór nad NCBiR, ale także m.in. Krajowy Zespół Nieruchomości, zarządzający gruntami przekazanymi przez wielkie spółki kontrolowane przez państwo, na których miały powstawać tanie mieszkania na wynajem. Program Mieszkanie plus oficjalnie zamknięto, nie wypalił. Co zatem stanie się z cennymi gruntami? Pokusa prywatyzacji może być ogromna.

Suwerennej Polsce przypadły bogate Lasy Państwowe, partia nie musi się więc martwić o środki na kampanię wyborczą. Sam PiS zarezerwował dla siebie największe spółki Skarbu Państwa, z Orlenem na czele. I nie chodzi tylko o świetnie płatne stanowiska i członkostwa w radach nadzorczych. Te przedsiębiorstwa najbardziej obłowity się na wojnie Rosji z Ukrainą. Mają na rynku monopolistyczną pozycję, więc manipulując cenami paliw, gazu czy energii, mogą też manipulować nastrojami wyborców. Która z partii Zjednoczonej Prawicy jest zainteresowana, żeby aferę w NCBiR wyjaśnić naprawdę?

Jarosław Kaczyński jeszcze niedawno ostrzegał swoją partię, że pazerność tłustych kotów może doprowadzić do przegranych wyborów. Tak naprawdę wie jednak, że możliwość dojenia państwa jest lepszym, które tę formację spaja. Do czasu, aż ktoś zacznie sypać.

JOANNA SOLSKA

Majątek polityków pod lupą

Rozmowa z Radosławem Karbowskiem – twórcą Skrótu politycznego, bazy danych na temat polityków – który rozszyfrował oświadczenie majątkowe Beaty Szydło.



440 tys. zł brutto rocznie często na koniec roku wykazuje zero na koncie, a np. Borys Budka swoje mieszkanie 75 m² wycenia na 160 tys. zł – czyli 2133,33 zł za metr.

Łukasz Szumowski, który słynął z przepisywania majątku na żonę, złożył raz powtórne oświadczenie, bardziej czytelne. Tłumaczył, że jest dysgrafikiem i obiecał poprawę. Jednak za 2021 r. oświadczenia do dziś nie złożył. Pytał pan o to Kancelarię Sejmu, co odpowiedzieli?

W lutym 2022 r. Łukasz Szumowski oddał mandat poselski, a prawo każe składać oświadczenia majątkowe za poprzedni rok do końca kwietnia. Kancelaria Sejmu odpowiedziała mi, że jeśli ktoś nie jest już posłem, to oświadczeń składać nie musi, nawet jeśli przez cały poprzedni rok nim był. Tak samo Marek Zagórski z PiS. Na koniec marca 2023 r. wygasł mu mandat, bo został prezesem Krajowej Grupy Spożywczej, i za 2022 r. już jego oświadczenia nie ma.

Chciałbym, żeby politycy traktowali temat oświadczeń poważnie i sami zainteresowali się zmianą prawa – tak, by można było mówić o jawności. Niech uchwalą przynajmniej tyle, by te oświadczenia były wypełniane elektronicznie, aby obywatele mogli je rozczytać, a nie musieli rozszyfrowywać.

ANNA DĄBROWSKA: – **Oświadczenie byłej premier za ubiegły rok to niezła famigłówka.**

RADOSŁAW KARBOWSKI: – To zastanawiające, bo wcześniej Beata Szydło pisała starannie. To oświadczenie jest zaś napisane bardzo niedbałym i innym niż poprzednie pismem. Nawet jeden z farmaceutów, a wiadomo, że mają oni zdolność rozszyfrowania cudzego pisma, nie zdołał go rozszyfrować. Oświadczenia pani premier co roku są do siebie podobne. Porównywałem więc w nich początki wyrazów, liczyłem litery i wyszło, że zadeklarowała samochody: „SsangYong Korando – 2011 rocznik, 25 000 zł, własność odrębna, przynależność własna, Audi A6 2012, współwłasność majątkowa małżeńska – 45 000 zł, Audi Q3 z 2019 – 100 000 zł własność odrębna, przynależność własna”.

Do oświadczeń których posłów potrzeba jeszcze grafologów?

Poseł Łukasz Mejza też nie grzeszy starannością, trudno rozczytać, w jakich spółkach miał udziały i jaki z tego miał dochód. Coś przekreślał i dopisywał. Tak samo euro-poseł Patryk Jaki.

Bazgroły polityków nie sprzyjają jawności, a przecież po to wprowadzono oświadczenia majątkowe. Ale za brak czytelności nie ma żadnych sankcji. A jakie uchybienia zauważa pan w oświadczeniach?

Wielu polityków nie wskazuje aktualnej wartości swoich nieruchomości czy dokładnej powierzchni. Zdarza się, że na koniec roku nie mają środków na koncie, co jest nieco dziwne, albo nie dzielą się tym, na co zaciągnęli kredyt. Są jeszcze inne, bardziej indywidualne braki.

Na przykład?

Grzegorz Schetyna przyznaje się do BMW, podaje rocznik, ale od kilku lat nie ujawnia modelu. Tadeusz Cymański z dochodem

Dżin AI

Jarosław Kuźniar

Diennikarz, podróżnik, twórca platformy podcastowej Voice House.



Kiedy w grudniu 2020 r. napisałem do Olgi Tokarczuk prośbę o możliwość nakarmienia sztucznej inteligencji książkami jej autorstwa i wygenerowania czterech opowiadań, które zamienię na podcast, odpowiedziała: Działajmy, sprawdzę, jak jej poszło. Monologi: „Dobro”, „Zło”, „Szczęście” i „Śmierć”, nie brzmiały źle, Noblistka dała zielone światło do publikacji. Janusz Chabior, jeden z lektorów, napisał do mnie ze studia: „Wiesz, jak przestałem szukać sensu i dałem się poprowadzić temu strumieniowi słów, to nawet dobrze mi szło”. To było zaledwie trzy lata temu.

Wtedy słycać było raczej parskanie śmiechem na niepotrzebne zabawki. Dziś strach miesza się z fascynacją. Zabawa sztuczną inteligencją jest sexy, choćby na platformie LinkedIn. Mam wrażenie, że każdy z 900 mln użytkowników tego biznesowego kanału pokazał swoje doświadczenia z ChatGPT. Technologia trafiła pod strzechy, ale jeszcze nie jest to rewolucja na miarę prezentacji iPhone'a z 2007 r. przez Steve'a Jobsa. I chyba nigdy nie będzie. Moim zdaniem miną lata (obym się mylił, bo cenę audio bardzo), kiedy zamiast pisać w wyszukiwarce internetowej: „Dobra kawa w centrum Warszawy”, będziemy mówić do telefonu: „Jestem w centrum Warszawy, ulica Nowy Świat, chcę napić się kawy na ziarnach z Kolumbii, z dodatkiem mleka kokosowego, niewielki lokal, stolik na zewnątrz, ale pod parasolem, jeśli przewidujesz deszcz”. Trudno mi sobie dziś wyobrazić, że stanie się to tak powszechnym standardem, jak pytanie wujka Google o cokolwiek przy użyciu klawiatury.

Szef OpenAI Sam Altman jest ostatnio w piarowym tournée po świecie. Spotyka się z przedsiębiorcami, naukowcami, ale też

premierami i prezydentami państw. Od Macrona we Francji, przez Herzoga w Izraelu, po Yoon Suk-yeola w Korei Południowej. Widzę w tym dwie skrajne potrzeby. U Altmana – nieco desperacką próbę okiełznania konsekwencji, jakie mogą spotkać świat na skutek uwolnienia dżina z butelki. U reszty – chęć ogrzania się w blasku lidera AI i pokazania: jestem, nadążam. Nawet jeżeli tylko na zdjęciu. Sam Altman mówi rzeczy rozsądne, czuje realne zagrożenie. W Warszawie wspominał, że: „Z każdą bardzo potężną technologią wiążą się niesamowite korzyści, ale trzeba też radzić sobie z jej wadami. Mieliliśmy to w przypadku energii jądrowej. Mamy perspektywę leczenia chorób, ale

też patogenów, które mogą wyostać się z laboratorium i wywoływać pandemię. Musimy radzić sobie z takimi rzeczami. To będzie jedna z najpotężniejszych technologii, jaką stworzył człowiek”.

Zgadzam się z tym, ale jestem w grupie sceptycznych fascynatów. AI weszło np. do przestrzeni kreatywnych. Fotografowie, graficy, muzycy, autorzy tekstów, aktorzy. Sam sprzedałem swój głos technologii AI od firmy Eleven Labs prowadzonej przez utalentowanych polskich założycieli przed trzydziestką, i nie żałuję. W Hollywood już wiedzą, że nikt nigdy już nie zaprosi do studia lektorskiego aktora, żeby dogrywał swój głos. AI zaopiekuje się nim w sposób skrajnie dobry i wielojęzyczny. Wylizać jeszcze?

Kazanie wygenerowane przez AI w Niemczech albo polityczna przemowa w parlamencie Walii. Jeden z polityków wykorzystał ChatGPT, chciał pogratulować Walii zdobycia Pucharu Świata w darcie. „Niech żyje Walia, niech żyją darty” – zabrzmiała puenta. Nie takiej oczekiwał. AI do formatowania partyjnych przekazów w kampanii politycznej? – założę się, że to będzie norma pracy sztabów wyborczych. Ważne, żeby na czas poznali jeden z technologicznych dowcipów: „Czym się różni polityk od AI? On i ona potrafią kłamać bez mrugnięcia okiem. Ale ona nie ma tej świadomości”.

Kocia zaraza, ptasia grypa

Co dolega polskim kotom? Od paru nadsztu dni sphywają doniesienia o „tajemniczym wirusie”, który wpędza w konfuzję opiekunów czworonogów i lekarzy weterynarii. Sprawa jest poważna, bo choroba ma niezwykle ostry przebieg. U zwierząt występują duszności, gorączka i zaburzenia neurologiczne. Umierają po kilku dniach. A bez diagnozy trudno je leczyć. Sprawę bada Główny Inspektorat Weterynaryjny, w Państwowym Instytucie Weterynaryjnym w Puławach przeanalizowano właśnie próbki od padłych kotów z Trójmiasta.

Dane wskazują na wirusa ptasiej grypy H5N1. – Czy koty mogą chorować na ptasią grypę? Tak – tłumaczy prof. Piotr Rzymiski z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, biolog środowiskowy i medyczny. – W literaturze naukowej nie brakuje opisów takich przypadków. W 2009 r. na łamach „Journal of Feline Medicine and Surgery” opublikowano nawet wytyczne postępowania z ptasią grypą wśród kotów. Symptomy były takie jak te, o których dziś alarmują kociarze i weterynarze w Polsce.

– Stwierdzone w przeszłości przypadki ptasiej grypy u kotów związane były zawsze z wybuchami epidemicznymi u ptactwa, a przecież obecnie w Europie trwa epidemia wirusa ptasiej grypy A/H5N1 – dodaje prof. Rzymiski. – Owszem, on na ogół jest słabo zakaźny dla ssaków, w tym kotów. Z badań wynika, że komórki wydzielające przewod pokarmowy kotów domowych nie zawierają wersji kwasu sialowego, wykorzystywanego przez wirusy ptasiej grypy do infekowania komórek. Niemniej pamiętajmy, że wirusy grypy szybko mutują, a na domiar złego mogą przechodzić dogłębne zmiany w przypadku jednoczesnej infekcji różnymi

szczepami, wymieniając się wtedy segmentami swojego materiału genetycznego.

Koty mogą się zakażać zarówno drogą pokarmową, jak i oddechową. Trwają badania, które pomogą ustalić, jak doszło do infekcji kotów w Polsce. Szczepionki nie ma, bo problem nie był powszechny. – Tygrysy zainfekowane wirusem A/H5N1 leczono lekiem przeciw grypowym stosowanym u ludzi, inhibitorem neuraminidazy wirusa – mówi prof. Rzymiski. – Od lat jednak zwraca się uwagę, iż pojawienie się wśród kotów domowych wirusa ptasiej grypy stwarza potencjalne ryzyko lepszej jego adaptacji do organizmu ssaków, w tym człowieka.



Czy koty można jakoś uchronić? Warto próbować: lepiej nie wypuszczać ich na zewnątrz, ograniczyć surowe mięso w karmie, uważać na dzikie ptaki (np. na balkonie), odkażać ręce i obuwie po powrocie do domu, bo i tą drogą przenoszą się zarazki. Bardziej zagrożone są zwierzęta wychodzące, wolno żyjące i polujące. Szacuje się, że w Polsce jest 6–7 mln kotów. Kanapowce – choć trudno to dokładnie policzyć – są w mniejszości. Kot, zwłaszcza nawykły do spacerów, może protestować, ale w tym wypadku wyjdzie mu na zdrowie. (AŻ)

Dziwna wojna Prigożyna

Zbrojny bunt Jewgienija Prigożyna obserwował w napięciu cały świat. Najemnicy z Grupy Wagnera zatrzymali się ledwie 200 km od Moskwy. Teraz kolej na ruch Władimira Putina. Ma jeszcze siłę, by przykręcić śrubę?

Gdy Prigożyn ogłaszał w piątek wieczorem „marsz sprawiedliwości”, duża część jego najemników była jeszcze w obozie polowym w Donbasie. Nie minęły 24 godziny, kiedy ich awangarda zameldowała się w obwodzie moskiewskim. A to oznacza, że wojskowa kolumna (ciągniki, ciągniki z czołgami, haubice, wyrzutnie rakiet, transportery opancerzone) zrobiły kilkusetkilometrową trasę. Nie była to wycieczka z przerwami na tankowanie. Po drodze trzeba było rozbrajać pograniczników. Zająć milionowy Rostów nad Donem (a w nim sztab Południowej Grupy Wojsk i lotnisko). Przejść przez Woroneż (także ponad milion mieszkańców). W dodatku najemnicy kilka razy wchodzili w potyczki z rosyjskimi siłami powietrznymi. A także rozbijali zapory składające się głównie z ciężarówek, które na trasie M4 ustawiała policja.

Wojska Wagnera poruszały się tak szybko, że zaczęły się pojawiać pytania, czy usiłowano je na serio zatrzymać.

Film. Wszystko zaczęło się od filmiku na kanale Jewgienija Prigożyna w Telegramie (to jego ulubiony sposób komunikowania się ze światem). Widać na nim skutki ostrzału ukrytego w lesie obozowiska. Połamane drzewa, ciało w mundurze, płomienie. Kilka minut później pojawiło się oświadczenie samego Prigożyna, że wojska rosyjskiego ministerstwa obrony zbombardowały kwatery Grupy Wagnera: „Zginęło dużo naszych. Następny ruch należy do nas”.

Następnym ruchem było ogłoszenie, że 25 tys. najemników zaczyna marsz na Rostów nad Donem, a potem na Moskwę. Cele? Chcą, by wydać im ministra obrony Siergieja Sojgu i naczelnika sztabu generalnego generała armii Walerija Gierasimowa. To oni mieli odpowiadać za atak na wagnerowców. Chcą także zakończyć z panującym w Rosji bezprawiem. Żadnego innego programu politycznego nie było. „Proszę zachować spokój, pozostać w domach. Wszyscy, którzy stawią opór, będą zlikwidowani” – apelował.

Po północy w programie 1 rosyjskiej telewizji nadano specjalne wydanie wiadomości: „Władimir Putin jest poinformowany o sytuacji. FSB wzywa żołnierzy Grupy Wagnera, by nie wypełniali przestępczych rozkazów Prigożyna i zatrzymali go”. Jednocześnie wszczęto sprawę karną przeciw liderowi wagnerowców o próbę puczu.

Za chwilę odezwał się Prigożyn: „Właśnie wchodzimy do Rostowa”.

Poranek. Poranek w Rostowie był dziwny. Mieszkańcy przechadzali się po centrum i telefonami nagrywali stojące naprzeciwko siebie uzbrojone wojska: „Ci z czerwonymi opaskami to ministerstwo obrony, ci z białymi to wagnerowcy”. Najemnicy otoczyli najważniejsze budynki administracyjne bez jednego wystrzału.

W kwatery sztabu Południowego Okręgu Wojskowego Prigożyn siedział na ławeczce (w kamizelce z kałasznikowem). Obok niego wiceminister obrony Junus-bek Jewkurow i wiceszef sztabu generalnego Władimir Aleksiejew, którzy namawiali go, by się wycofał z miasta. Prigożyn odmawiał: – Dopóki nie wydacie ministra i szefa sztabu, blokujemy Rostów i idziemy na Moskwę. Sytuacja była absurdalna. Wagnerowcy zajęli i sztab, i lotnisko, ale zapewniali, że nie chcą przeskadać w ich pracy. Tak, by nie ucierpiał wojenne operacje w Ukrainie. I to fakt, że „pucz” wagnerowców nie wpłynął w istotny sposób na sytuację na froncie.

Konflikt. Konflikt między najemnikami z Grupy Wagnera i ministerstwem obrony trwał od miesiąca. Prigożyn oskarżał ministra



Wagnerowcy na ulicach Rostowa.

Sojgu i jego otoczenie o złodziejstwo i niekompetencje. Twierdził też, że tylko dzięki jego wojsku front jeszcze się trzyma. Była to duża przesada, ale faktycznie jedyne wojenne sukcesy, od dawna, Rosja może zawdzięczać wagnerowcom. Najbardziej spektakularne było zajęcie Soledaru, a potem Bachmutu w obwodzie donieckim.

Grupa składa się z doświadczonych wojskowych (weteranów wagnerowskich misji w Afryce i na Bliskim Wschodzie). A także ochotników, w tym kryminalistów, których Prigożyn, bez żadnych podstaw prawnych, wyciągał z więzień. Ci ostatni byli mięsem armatnim posyłanym na najgorsze odcinki frontu. – Wolicie, żeby wasi synowie byli na ich miejscu? – mawiał Prigożyn, pytany o skazańców w jego oddziałach.

Dla Kremla było to wygodne rozwiązanie. Tyle że konflikt z ministerstwem był coraz ostrzejszy. Prigożyn oskarżał, że musi walczyć bez amunicji. Rzucił wyzwiskami. Groził, że porzuci powierzone mu pozycje.

Putin. Władimir Putin trzymał się od sporu z daleka. Nie reagował, że Prigożyn obraża ministra i generałów. Jednak po wzięciu Bachmutu wszystko się zmieniło. Wagnerowcy zostali zastąpieni na pierwszej linii. Zaś ministerstwo ogłosiło, że walczą tylko ci, którzy podpiszą z wojskiem kontrakt. Nieoczekiwanie ministra poparł Władimir Putin. Prigożyn próbował negocjować, był gotów włączyć najemników w strukturę Gwardii Narodowej, byle nie iść pod komendę wojska. Ale bez skutku. Jedynym, który mógł coś zmienić, był Putin. Prigożyn zna się z nim od lat 90. Wypełniał dla niego zadania specjalne (od zajmowania kopalń złota w Afryce po organizację „fabryki trolli”, która wpływała na wybory w USA). Wobec niego zawsze był lojalny i bezkrytyczny.

Na razie Putin milczał, co dawało Prigożynowi jakieś nadzieje. Ale w sobotę rano telewizja wypuściła prezydenckie orędzie: „Ci, którzy przygotowali przewrót wojskowy, poniosą karę. Buntownicy są zdrajcami. Jako prezydent obronię porządek konstytucyjny”. Nie wymienił przywódcy wagnerowców z nazwiska, ale to było marne pocieszenie dla Prigożyna. – Władimir Władimirowicz się myli – skomentował.



Nasuwała się historyczna analogia – car Iwan IV Groźny, którym fascynuje się Władimir Putin, także czasem zniknął z Moskwy albo „abdykował”. Następnie obserwował, kto pierwszy przyjdzie go prosić, by „nie porzucał poddanych”. W każdym razie późnym popołudniem w sobotę wyglądało na to, że Prigożyn nie ma żadnego poparcia politycznego. W biurach jego firm przeprowadzono przeszukania. Konfiskowano gotówkę. Służby porządkowe zrywały plakaty i billboardy nawołujące ochotników do wstępowania w szeregi wagnerowców. Rosyjska telewizja nazywała Prigożyna zdrajcą. W jego działaniach dopatrywała się inspiracji Zachodu.

Odwrót. Gdy najemnicy byli już ledwie 200 km od Moskwy, nastąpił zwrot sytuacji. Służby prasowe prezydenta Białorusi poinformowały, że dzięki mediacji Alaksandra Łukaszenki konflikt udało się rozwiązać. Wkrótce potwierdził to i Prigożyn: „Wracamy do naszych obozów polowych”. O szczegółach informował Dmitrij Pieskow, rzecznik Putina: „Sprawa karna wobec Prigożyna ma być umorzona. On sam ma wyjechać na Białoruś. Wagnerowcy, którzy nie brali udziału w puczu, mogą podpisać kontrakt z armią. Buntownicy nie będą ścigani”.

Wyglądało na to, że Prigożyn przegrał, nawet nie podejmując walki. Bo jeśli prawdą jest, co mówił Pieskow, Grupa Wagnera de facto przestaje istnieć – jedni idą do regularnej armii, inni – z duszą na ramieniu do cywila. A Prigożyn będzie banitą i to raczej koniec jego biznesów w Rosji. Ale na takie wnioski za wcześniej. Tak naprawdę jeszcze nie wiemy, na co się umówiono. Bunt na pewno był uderzeniem w prestiż Rosji i Władimira Putina. To jednak niebywałe, że uzbrojona grupa najemnicza tak łatwo mogła dojść tak blisko Kremla. Być może sprawa ma drugie dno. „New York Times” i „Washington Post” piszą, że władze USA wiedziały o puczu, zanim się rozpoczął. Czy możliwe, żeby nie wiadomo o nim na Kremlu?

Pytań jest więcej. Czy rajd był tylko straceńczą misją wagnerowców, czy elementem nieudanego przewrotu pałacowego? Prigożyn przecież nie jest typem samobójcy. Czy Grupa Wagnera mogłaby się odrodzić na Białorusi i zagrozić Ukrainie od północy? Czy może jednak wrócić na front? Lub nadal wykonywać jakieś zadania w dalekiej zagranicy? Czy na szczytach władz będą przetasowania personalne – mówi się, że kandydatem na miejsce Szojgu może być Aleksiej Diumin (gubernator tulski, z doświadczeniem w resorcie)? Jednym słowem, czy zmęczoną elitę zastąpią młodszy i bardziej radykalni?

Lejce. Najważniejsze pytanie brzmi: czy Putin wykorzysta kryzys, by jeszcze bardziej przykręcić śrubę? Wygląda na zmęczonego. I nie jest pewne, czy jeszcze trzyma lejce równie krzepko jak do tej pory. Jeśli trzyma, to musi za nie pociągnąć – by ratować swoją pozycję. Na pewno nie grozi mu demokratyczna opozycja (więcej na ten temat na s. 51), która po raz kolejny pokazała, jak jest bezradna, choć na jej oczach rozgrywał się największy od lat kryzys w Rosji. Jako jeden z niewielu stanowisko zajął Michaił Chodorkowski (poparł Prigożyna – „wszystko, co kruszy ten reżim, jest dobre” – za co spotkała go fala krytyki we własnym obozie).

Rosyjskie formacje ochotnicze działające w Ukrainie też pozostały bierne. Lider Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego wsparł Prigożyna, nazwał go patriotą, ale jego oddział (podporządkowany ukraińskiemu dowódcztwu) pozostał bierny. Jeśli coś mogło zaniepokoić Putina, to obrazki z Rostowa. Bratanie się ludności z najemnikami. Okrzyki „Wagner, Wagner”, gdy wychodzili z miasta. I wyzwiska „zdraycy, sprzedawczyki” rzucane w stronę policji, która zajmowała ich miejsce.

Prigożyn to przestępca, a wagnerowcy dopuszczają się zbrodni wojennych. Ale – jak widać – wielu Rosjanom podoba się filozofia wodza najemników. Chce rozliczyć „tłuste koty” z ministerstwa obrony. I uważa, że wojna z Ukrainą powinna być szybka, zwycięska, bezwzględna. Był gotów tak ją prowadzić, tylko miał za mało pocisków. W Rostowie zebrał duże oklaski. Publiczność uznała, że jest bardziej putinowską wersją Putina.

Droga. Tymczasem kolumny najemników jechały po federalnej trasie M4 w kierunku Moskwy. Przed południem zbliżały się do Woroneża. Grupa Wagnera zamieszczała filmy z tego, jak płonie woroneska baza paliwowa. I jak rosyjskie lotnictwo atakuje cele na drodze, trafiając m.in. w cywilne ciężarówki (liczba cywilnych ofiar nie jest znana). Chwaliła się też, że jej obrona przeciwlotnicza strąca rosyjskie śmigłowce (Prigożyn twierdzi, że sześć) i samolot transportowy Il. Zginęło kilkunastu wojskowych, którzy znajdowali się na pokładach.

Władze kolejnych obwodów wprowadzały „stan operacji anyterrorystycznej”. Jednak niewiele to zmieniało. Najemnicy minęli Woroneż i po południu byli już w obwodzie lipieckim (sąsiadującym z moskiewskim). Trasy wiodące z południa do Moskwy zostały wyłączony z ruchu. Poruszająca się po autostradzie grupa wojskowej techniki to doskonały cel. Tyle że nikt nie atakował wagnerowców (sam Prigożyn przyzna później, że w jego oddziałach nie było ani zabitych, ani rannych). Naprzeciwko rozpędzonym wojakom stały najwyższe patrole drogówki. Kazały kierowcom ciężarówek parkować w poprzek drogi, konfiskowały kluczyki i uciekały z miejsca akcji. Czasem koparki przekopywały szosę. Ale to nie były poważne przeszkody.

Festiwal. Można się było spodziewać, że jakiś opór armia może stawić, broniąc mostów na Ocie, a to ledwie ok. 100 km od Moskwy. Widać było, że pozycje zajmuje tam piechota. Rosyjskie gazety publikowały też zdjęcia transporterów w centrum Moskwy. I uzbrojonej policji, która zajmuje pozycje na wjeździe do rosyjskiej stolicy. Mer odwołał wszystkie imprezy masowe i ogłosił, że poniedziałek będzie dniem wolnym. Bogaci Rosjanie wykupywali bilety na zagraniczne loty m.in. do Turcji. Uwagę przykuwało milczenie na szczycie. Zniknął prezydent. Nie pokazywał się premier, minister obrony. Milczeli szefowie służb.

Za to rano – już po orędziu Putina – rozpoczął się festiwal popierania prezydenta i potępienia puczystów. Oświadczenia publikowali na wyścigi spikerzy Dumy i Rady Federacji, liderzy frakcji parlamentarnych, gubernatorzy i propagandyści. Wyglądało to jak test na lojalność. Test (po dłuższym milczeniu) zaliczył czeczeński przywódca Ramzan Kadyrow, który wysłał swoje oddziały w kierunku Rostowa.

PAWEŁ RESZKA

Zbrodnia na Kos

Trzy dni po znalezieniu ciała 27-letniej **Anastazji Rubińskiej** 32-letni Banglijczyk usłyszał zarzut zabójstwa Polki. Nowych dowodów dostarczył człowiek, który dał mu – bezdomnemu – schronienie. To Pakistańczyk.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Ciała Anastazji znaleziono sześć dni po zaginięciu dziewczyny. W stanie rozkładu, nagie, częściowo owinięte prześcieradłem, częściowo przykryte gałęziami, w miejscu, które wcześniej było kilkakrotnie sprawdzane podczas poszukiwań z udziałem służb i wolontariuszy. Grecka policja, która początkowo nie chciała przyjąć zgłoszenia o zaginięciu Polki pracującej

w jednym z hoteli w turystycznej miejscowości Marmari na wyspie Kos, dzięki miejskiemu monitoringowi szybko namierzyła i zatrzymała 32-letniego Salahuddina S. z Bangladeszu. Mężczyzna jak na razie jest jedynym podejrzanym w sprawie zabójstwa 27-letniej kobiety – wiadomo, że została uduszona, choć nie wiadomo jak – rękoma czy z pomocą np. sznura. Salahuddin S. został tymczasowo aresztowany. Jak mówi pełnomocnik rodziny Anastazji Rubińskiej, mecenas Jarosław Kowalewski, jego zeznania, które zmienił kilka razy, stoją w sprzeczności z zebranym

materiałem dowodowym. Inne osoby, z którymi Anastazja spędziła ostatnią noc swojego życia, pozostają do dyspozycji greckiej policji i prokuratury. Mają zakaz opuszczania wyspy. Do Polski wrócił chłopak Anastazji, do którego wysłała ostatniego esemesa z prośbą, by odebrał ją z miejsca, które oznaczyła w telefonicznej lokalizacji. Kiedy przyjechał, dziewczyny jednak już tam nie było.

Tragedia i polityka

Premier Mateusz Morawiecki 19 czerwca, po ujawnieniu informacji o znalezieniu ciała zaginionej Polki, napisał na Twitterze: „Jestem wstrząśnięty brutalnym morderstwem 27-letniej Anastazji. Sprawca musi ponieść bardzo surowe konsekwencje. Dlatego zwrócimy się do Grecji o wydanie podejrzanego, aby stanął przed polskim sądem i otrzymał najwyższy możliwy wymiar kary”. Tego samego dnia minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro poinformował, że w związku z zabójstwem polecił wszczęcie śledztwa. „Sprawą zajmie się Prokuratura Okręgowa

we Wrocławiu. Prokuratorzy niezwłocznie wystąpią do greckich śledczych o przekazanie materiału dowodowego” – zapowiedział. Również na Twitterze. O ekstradycji nie napisał ani słowa – może ze względu na zdarzenie sprzed kilku lat.

W sierpniu 2017 r. na plaży w Rimini grupa kilku nastolatków napadła młode małżeństwo z Polski. Jego pobili, ją zgwałcili. Wtedy minister Ziobro mówił w mediach: „Jako prokurator generalny zrobiłem to, co do mnie należy; mogę państwa zapewnić, że w tej sprawie będzie prowadzone bardzo rzetelne śledztwo, które – ufam – doprowadzi do ukarania tych okrutnych przestępców”. Lider wtedy Solidarnej, a dzisiaj Suwerennej Polski zapowiedział wyjazd polskich prokuratorów i policjantów do Włoch, by mogli wesprzeć tamtejsze służby. Kilka dni później studiował publicznie ówczesnego wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego, który na Twitterze napisał: „Za Rimini dla tych bydlaków powinna być kara śmierci. Choć dla tego konkretnego przypadku przywróciłbym również tortury”. Politycy prawicy domagali się też ekstradycji sprawców do Polski, a minister Ziobro zlecił analizę tej kwestii.

Polskie wsparcie okazało się niepotrzebne. Włosi czterech sprawców zatrzymali w ciągu kilku dni. Jedynym pełnoletnim był Kongijczyk Guerlin Butungu, który do Włoch dotarł pontonem. W ramach pomocy humanitarnej umieszczono go w ośrodku dla migrantów, gdzie umożliwiono mu zdobycie wykształcenia zawodowego. Chłopak jednak wybrał przestępczą drogę, a do napadci na Polaków namówił trójkę nastolatków – nieletnich synów imigrantów z Maroka i Nigerii. Już we wrześniu 2017 r. minister Ziobro przyznał, że nie ma sensu stawianie ich przed polskim sądem, bo przestępstwo, za które mieli odpowiadać, włoski kodeks karny karze surowiej – za gwałt od 6 do 25 lat więzienia, podczas gdy w Polsce od 3 do 15. W przypadku nieletnich sprawców ponoszą oni odpowiedzialność karną od 14. roku życia.

Dwa lata po dramacie polskiego małżeństwa we włoskich sądach zapadły wyroki: 16 lat dla Butungu, po 10 lat więzienia dla nieletnich sprawców, którzy byli sążeni w oddzielnym procesie. Sąd Najwyższy w Rzymie utrzymał wyrok na Kongijczyka, który siedzi we włoskim więzieniu.

Populizm medialny?

Tragiczną śmierć młodej Polki na wyspie Kos relacjonują na bieżąco polskie i greckie serwisy, nawzajem korzystając ze swoich informacji. Wynika z nich, że Anastazja była skuta kajdankami, miała skrepowane nogi (pełnomocnik rodziców dziewczyny nie potwierdza tych doniesień), że przebywała przed śmiercią w towarzystwie kilku młodych mężczyzn z Bangladeszu i Pakistanu, piła z nimi alkohol. Zatrzymany Banglijczyk najpierw twierdził, że uprawiał z Polką seks. Za jej zgodą. Potem miał zeznać, że podwiózł ją do siebie do mieszkania, bo chciała skorzystać z toalety. No i chciała kupić od niego haszys, bo – jak mówił greckim dziennikarzom brat dziewczyny – kilka dni wcześniej oparzyła sobie w pracy rękę i bardzo źle to znosiła.

Z informacji ilustrowanych zdjęciami z profilu Anastazji z Facebooka i Instagrama można się dowiedzieć, że sąsiadka Salahud-dina S. widziała go koło domu, w którym mieszka, zdyszanego, wybrudzonego ziemią i trawą, a mieszkańcy turystycznej wyspy są w szoku, bo do tej pory nie było tutaj takiej zbrodni.

Na jednym z portali anonimowa Polka mieszkająca na Kos opowiadała też dziennikarzowi, że tutejsi Grecy nie rozmawiają z migrantami, a jej greccy znajomi byli niemile zaskoczeni, kiedy zauważyli, że ona kilka razy złamała tę niepisana zasadę. Kobieta nie mówiła nic o tym, że sama też jest migrantką z Polski.

Jednocześnie na tragicznie zmarłą młodą dziewczynę w komentarzach wylał się hejt: „Polki są takie głupie, kompletnie nie przygotowane do życia. Lecą na tych pastuchów, dla których mają

mniej wartości od brudnych skarpet. Dlaczego tego nie wiedzą i rozumieją?”. „Pijana biała kobieta i stado dzikusów z Bangladeszu, Pakistanu. Na co ona liczyła??? Naprawdę niektórym kobietom brakuje jednego zwoju w mózgu”. A to tylko kilka przykładów.

Prof. Witold Klaus, szef Zakładu Kryminologii Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk: – *Ofiara nigdy nie jest winna i nie można na nią przerzucać odpowiedzialności czy wylewać na nią swoich frustracji.*

Zbigniew Cwiąkański, były minister sprawiedliwości, obecnie adwokat: – *Grecja jest krajem unijnym, więc nie ma wątpliwości, że sprawa zostanie tam osądzony zgodnie z zasadami powszechnie akceptowanymi, jeżeli chodzi o prawo karne.*

Cwiąkański przyznaje, że rozpoczęcie postępowania przez polską prokuraturę (śledczy na Kos dotarli tydzień temu i od razu uczestniczyli w przesłuchaniu Banglijczyka, po którym zapadła decyzja o tymczasowym aresztowaniu) ma sens i podstawy prawne. Prokuratura ma możliwości współpracy i pomocy prokuraturze greckiej, która może potrzebować np. wtórnika karty SIM telefonu zamordowanej Polki, zarejestrowanego najprawdopodobniej u polskiego operatora. – *Ale kategoryczne słowa „wystąpimy”, „będziemy żądać”, i do tego jeszcze najwyższego wymiaru kary, to działanie na użytek przedwyborczy wobec ludzi, którzy być może powiedzą: „O, jaki ten rząd dobry”. Ofiara to obywatelka polska, ale przestępstwo miało miejsce na terytorium innego kraju, dowody są zbierane tam, tam są robione oględziny miejsca popełnienia zbrodni – mówi Cwiąkański, podkreślając zarazem, że Grekom, tak jak Włochom w 2017 r. po Rimini, będzie zależeć na szybkim przeprowadzeniu śledztwa i procesie. – *W Grecji też jest opinia publiczna, a do tego dochodzi wizerunek państwa, którego ogromna część dochodu pochodzi z turystyki. I to tym turystom trzeba pokazać skuteczność w ściganiu i osądzaniu przestępców.**

Populizm penalny?

Dr Wojciech Górowski, adwokat, adiunkt w Katedrze Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłumaczy, że prokuratura polska i grecka mogą prowadzić wspólnie postępowanie. Polska dlatego, że doszło do popełnienia przestępstwa na szkodę obywatela polskiego. Grecka zgodnie z zasadą terytorialności. – *Ale decyzja ramowa o Europejskim Nakazie Aresztowania (ENA) i polskie przepisy Kodeksu postępowania karnego o ENA w zasadzie uniemożliwiają wydanie sprawców śmierci Anastazji do Polski. Podobnie jak umowa międzynarodowa z 1979 r. zawarta między Polską a Grecją – mówi dr Górowski. W bilateralnej umowie z 1979 r. jest bowiem napisane, że Grecy nie wydadzą Polakom podejrzanego, jeśli postępowanie, toczy się w ich kraju. Podobnie mówią przepisy dotyczące ENA, z tym że odmowa wydania ma wówczas charakter fakultatywny.*

– *Dodatkowy element to brak praworządności w Polsce, o czym mówi orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE z kwietnia 2022 r. Wynika z niego, że można odmówić wydania osoby ściganej na podstawie ENA do kraju, w którym nie przestrzega się praworządności, a więc zachodzi podejrzenie stosowania tortur, ale też nacisków politycznych na przebieg procesu sądowego – mówi Górowski. I przypomina, że 1 października 2023 r. ma wejść w życie nowy Kodeks karny. Są w nim przepisy o tzw. bezwzględnym dożywociu. To zaś oznacza, że nie tylko aresztowanego w związku ze śmiercią Anastazji Rubińskiej Banglijczyka nikt nie wyda Polsce, ale też innych podejrzanych w innych przestępstwach. Art. 5 decyzji ramowej dotyczącej ENA mówi zaś o gwarancjach osób przekazywanych na podstawie tego nakazu – to możliwość rewizji i weryfikacji kary więzienia co najmniej po 20 latach.*

– *A my za chwilę takiej gwarancji w kodeksie nie będziemy mieli – mówi Górowski. I bez wahania stwierdza, że politycy, którzy ►*

► wypowiadają się na temat śmierci młodej Polki w Grecji, uprawiają populizm penalny. – *Na kanwie spraw kryminalnych, wzbudzających potężne emocje, zdobywa się głosy, pokazując siebie w roli osoby sprawczej, która rozwiązuje te sprawy w sposób oczekiwany przez społeczeństwo. Do populizmu penalnego sięgnął premier Morawiecki, pisząc o najwyższym wymiarze kary i de facto występując w roli sędziego. Taka wypowiedź będzie brana pod uwagę przez europejskie sądy w ramach procedur ENA i będzie miała wpływ na ich decyzje.*

Co ze śmiercią Magdy Żuk?

W kwietniu minęła szósta rocznica śmierci Polki, która zginęła na wakacjach w egipskim Marsa Alam. Przez kilka miesięcy tamta tragedia też nie schodziła z nagłówek prasy pravicowej i tabloidów. Media pravicowe łączyły śmierć 27-latkę z Bogatyni z układem wrocławskim, tworzonym jakoby przez polityków Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej – w należących do kilku z nich klubach mieli się bawić bogaci Arabowie z Polkami. 10 maja 2017 r. minister Ziobro na konferencji prasowej jako jeden z wątków wymagających wyjaśnienia wymienił handel żywym towarem. „Taka działalność mogła dotyczyć nie tylko pani Magdaleny. Wyjaśniane będą też inne wątki, które przy tej sprawie się pojawiły, związane z podejrzeniami o handel kobietami i czerpanie korzyści z wykorzystywania kobiet dla celów seksualnych z użyciem przemocy, podstępów czy też środków chemicznych” – mówił Ziobro, na polecenie którego polska prokuratura, podobnie jak teraz w przypadku śmierci Anastazji, wszczęła śledztwo. Następnego dnia na antenie TVN24 przyznał jednak, że nie przesądza, iż do śmierci Magdy Żuk doszło w wyniku przestępstwa.

Do dzisiaj sprawy nie wyjaśniono, choć śledztwo jest co jakiś czas przedłużane. A Anna Cieślińska, siostra Magdy, mówi: – *Ja wiem, co znajduje się w aktach. Nie mogę mówić, co tam jest, ale akta wskazują na przestępstwo. Od sześciu lat czekamy na kolejne dokumenty ze strony egipskiej. Jesteśmy w martwym punkcie, tak jakbyśmy byli na początku sprawy. Życia mojej siostrze śledztwo nie wróci, my, bliscy Magdy, mamy prawo do tego, by opinia publiczna poznała prawdę o jej śmierci.*

Dzisiaj politycy już do tragicznej historii młodej Polki nie wracają.

Prof. Witold Klaus naukowo zajmuje się m.in. relacjami pomiędzy imigracją a przestępczością. Dla niego śmierć 27-letniej Polki w Grecji to wyjątek. Tragiczny, ale jednak wyjątek. – *Gdyby było inaczej, co chwila mielibyśmy medialne doniesienia o gwałtach i zabójstwach, których sprawcami są imigranci czy osoby z rodzin migrantów. To, że słyszymy o takich zdarzeniach tak rzadko, pokazuje, że to sytuacje zupełnie wyjątkowe. Co więcej, badania pokazują, że osoby migrujące popełniają znacznie mniej przestępstw niż członkowie społeczności, w których imigranci żyją, choć oczywiście na czołówki mediów, i to na całym świecie, zawsze trafiają czyny zabronione popełnione przez osoby migrujące, szczególnie te agresywne* – mówi Klaus. I przypomina sprawę sprzed dwóch tygodni. W Sztokholmie w centrum handlowym postrzelono dwie osoby, w tym 15-letniego chłopca. Temat błyskawicznie podjęły szczególnie pravicowe media, bo jeden ze sprawców okazał się Kurdem. Minister Ziobro na Twitterze napisał: „Nie damy zamienić polskich miast w strefy wojenne ani getta pełne agresywnych, obcych kulturowo i wrogo do nas nastawionych grup. Nie pozwolimy, aby nasze matki, żony i córki bały się wychodzić same z domów. Jeśli Berlin, Paryż, Bruksela czy Sztokholm chcą mieć krew na ulicach, ich wola. Polska jest bezpieczna i taką pozostanie. Nie zgodzimy się na żadne przymusowe relokacje imigrantów.

Polacy przyjęli miliony Ukraińców, którzy uciekli przed wojną, i to my możemy uczyć Zachód, co to znaczy być chrześcijańskim narodem pomagającym innym w potrzebie”.

– *I tak jak szybko o tej sprawie poinformowano, tak równie szybko ją wygaszono, kiedy okazało się, że drugi sprawca to Polak. Idąc więc tokiem rozumowania polskiej prawy, szwedzka prawica powinna ogłosić zamknięcie granic swojego kraju przed Polakami, bo biegają z bronią po ulicach szwedzkich miast* – mówi prof. Witold Klaus.

Tragedia Anastazji Rubińskiej przypominała w Grecji podobną sprawę – gwałt i zabójstwo 21-letniej studentki Eleni Topaloudi, która zginęła na Rodos w listopadzie 2018 r. Dziewczyna kilka lat wcześniej padła ofiarą zbiorowego gwałtu, a sprawcy, którzy odurzyli ją narkotykami, nagrali całe zdarzenie telefonami. Topaloudi zgłosiła to przestępstwo na policję, ale... nie przyjęto jej zawiadomienia. W 2018 r. przez Facebooka poderwał ją 19-letni imigrant z Albanii. Po tygodniu wymieniania esemesów umówiła się z nim na randkę. W samochodzie oprócz Aleksandra Lucy siedział jednak jeszcze jego kolega, Grek z wpływowej i zamożnej rodziny, 20-letni Manolis Koukouras. We trójkę pojechali do mieszkania Albańczyka. Tam Eleni została brutalnie pobita, wielokrotnie zgwałcona, po czym żywą, ciężko ranną i skrępowaną sprawcy zrzucili z klifu do morza.

Ta śmierć wywołała w Grecji falę oburzenia. obrońcy sprawców przedstawiali dziewczynę jako osobę lekkomyślną i swobodnych obyczajów, żądali od sędziego usunięcia z ławy przysięgłych kobiet. Jednocześnie media opisujące sprawę za móżg zbrodni uznały Albańczyka, zaś współsprawcę Greka za zmanipulowanego chłopaka, choć po tragedii Topaloudi kilka kobiet zgłosiło, że padły ofiarą Koukourasa, ale wszystkie sprawy wygaszała jego rodzina, czy też ściślej jej koneksje. W 2019 r. w Grecji pod wpływem śmierci 21-letniej studentki zmieniono kodeks karny – uznano w nim, że seks bez zgody jest gwałtem, i to zarówno wtedy, kiedy dochodzi do niego z użyciem przemocy fizycznej, jak i bez niej. W Polsce propozycje wprowadzenia podobnych przepisów zbywane są milczeniem lub kpina.

Chciała poznawać świat

Mecenas Jarosław Kowalewski jest przekonany, że Grecy, którzy prowadzą śledztwo, sprawcę śmierci Anastazji postawią przed swoim sądem. I z dużą dozą prawdopodobieństwa, jeśli zapadnie wyrok skazujący, będą wykonywać karę pozbawienia wolności wobec winnego lub winnych. Dzień po tymczasowym aresztowaniu Salahuddina S. pod zarzutem uprowadzenia młodej Polki usłyszał on zarzut zabójstwa z premedytacją. CNN Greece ujawnił, że nowe światło na sprawę rzuciły zeznania Pakistańczyka, który pod swój dach przygarnął 32-letniego Banglijczyka, twierdzącego, że nie ma gdzie mieszkać i co jeść. Mieszkał więc u niego dwa miesiące i nie sprawiał żadnych kłopotów. Aż do 12 czerwca. Wtedy Pakistańczyk po powrocie do mieszkania miał widzieć Anastazję i Salahuddina razem, nietrzeźwych. Poprosił ich, by wyszli, i poszedł spać. Ok. godz. 23 miał słyszeć, jak odjeżdżają na motorze. A rano widział swojego współlokatora, jak wrócił brudny, z ubłoconym ubraniem i butami. Greckie media spekulują też, że istnieje nagranie, na którym widać Polkę wychodzącą razem z Banglijczykiem z mieszkania – do tej pory znane jest tylko nagranie, jak do niego wchodził. Kluczowe jednak dla sprawy mogą się okazać badania DNA materiału pobranego spod paznokci zamordowanej Polki.

Ojciec Anastazji Andrzej Rubiński: – *Córka dużo podróżowała. Chciała poznawać świat, innych ludzi. Nigdy wcześniej nie spotkało jej nic złego. Może dlatego zabrakło jej ostrożności?*

KATARZYNA KACZOROWSKA

Efekt Jojo

Czy Joachim Brudziński, nowy szef sztabu PiS, uratuje kampanię partii? Szumnie zapowiadany wiec w Bogatyni nie okazał się dobrym prognostykiem.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Po marnym maju i jeszcze gorszym początku czerwca Jarosław Kaczyński postanowił zrobić wielki restart kampanii PiS. Sam wszedł do rządu – jako jedyny wicepremier – m.in. po to, by przeciąć spekulacje o dwóch rywalizujących ze sobą ośrodkach kampanijnych (partyjnym i rządowym) – a do kierowania sztabem wyznaczył europoła i zarazem wiceprezesa partii Joachima Brudzińskiego (nazywanego przez znajomych Jojo). Weteran Porozumienia Centrum, były wicemarszałek Sejmu, były minister spraw wewnętrznych i szef zwycięskiej dla PiS kampanii parlamentarnej w 2019 r., ma opanować chaos, w który zamieniła się kampania tegoroczna. Jego atuty – z punktu widzenia rządzących – to doświadczenie, znajomość struktur PiS, posłuch w partii i zaufanie Kaczyńskiego. Nasz rozmówca ze sztabu twierdzi, że Brudziński – w odróżnieniu od swego poprzednika Tomasza Poręby – nie zrzuca odpowiedzialności na innych i sam podejmuje decyzje.

Rozległe wpływy w spółkach Skarbu Państwa też wiele mówią o znaczeniu nowego szefa sztabu. Jak ujawnili dziennikarze TVN24, Brudziński w 2019 r. dostał datki na eurokampanię od prezesów, dyrektorów oraz członków rad nadzorczych obsadzonych przez PiS spółek. Darczyńców uzbierało się aż 51, a wspólny wysiłek przyniósł kwotę 402 tys. zł, czyli ponad połowę sięgających 690 tys. zł wydatków eurokampanii Joachima Brudzińskiego. W 2005 r., gdy debiutował na liście PiS do Sejmu, na kampanię wysupłał 12 tys. zł. „Siedem tysięcy stanowiły nasze małżeńskie oszczędności, a pozostałe pięć pożyczyłem od rodziny” – opowiadał kiedyś dziennikarzom.

Teraz małżeństwo Brudzińskich nie musiało się już zapożyczać. Na wybory złożyli się ludzie m.in. ze spółek należących do Grupy Azoty, działających w Zachodniopomorskiem, czyli w mateczniku wiceprezesa PiS. Wiceprezes Azotów Mariusz Grab tłumaczył, że wpłacił na kampanię Brudzińskiego 34 tys. zł, bo on ma takie poglądy, że popiera PiS. W 2019 r. zarobił w Azotach 1,4 mln zł. Także wojewoda zachodniopomorski Tomasz Hinc, który z tej posady przeszedł w grudniu 2020 r. na stanowisko prezesa całej Grupy Azoty, dołożył do kampanii Brudzińskiego 15 tys. zł. Gdy dziennikarze sprawdzali tropy w Szczecinie, koledzy europoła skarżyli mu się, że są nagabywani. Odpowiedział na Twitterze w swoim stylu: „Jakiś pačan z TVN24 biega po urządach i miejscach pracy, atakując ludzi...”.

– Azoty to największe księstwo Joachima, ale swoich ludzi ma też w innych spółkach, często to jego znajomi, także ze szkolnych czasów – zwraca uwagę polityk PiS. Jego były asystent, prawnik Krzysztof Kozłowski, znalazł spokojną przystań w zarządzie PZU. Otwarty Fundusz Emerytalny należący do państwowego ubezpieczyciela cztery lata temu do rady nadzorczej Agory (wydawcy „Gazety Wyborczej”, gdzie OFE PZU ma 12,76 proc. głosów na walnym zgromadzeniu) wstawił Tomasza Karusewicza, też zafanego Brudzińskiego. Aktor Przemysław Tejkowski, ►

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA



► który – jak niesie partyjna wieść – z Brudzińskim, jeszcze w Nowym Sączu wspólnie służyli do mszy, od siedmiu lat służy w radzie nadzorczej TVP. Stanowisko w nadzorze PZU Życie znalazł Piotr Głód, kolega Joachima Brudzińskiego ze szkolnej ławy, z czasów, gdy obaj chodzili do Technikum Rybołówstwa Morskiego w Świnoujściu. Joachim do 16. roku życia dorastał w Nowym Sączu. Rodzina: ojciec robotnik, mama zajmowała się trójką dzieci. Po podstawówce zdał do szkoły rybołówstwa morskiego w Świnoujściu. Pamięta więc o kolegach i z gór, i z Pomorza.

Także z prezesem PiS łączą go prywatno-polityczne relacje. Pływali razem łódką po Zalewie Szczecińskim i wędrowali po Beskidzie Sądeckim. To tam na szczycie Koziaza Brudziński pozował z prezesem ubranym w patriotyczny płaszcz przeciwdeszczowy. Kaczyński docenia ten wakacyjny wspólny czas. W swej książce wspomina o knajpcie w Szczecinie, do której chodzi z Brudzińskim. „Jest tam jakiś specyficzny nastrój, który pozwala mi przez chwilę być jak przed tym strasznym dniem [Smoleńsk – red.]. I za to też Joachima lubię. Generalnie jest facetem, z którym lubię przebywać, lubię rozmawiać”.

Ale nie zawsze tak było, bo – jak wspomina były polityk PiS, który spędził kilka lat przy Nowogrodzkiej – początkowo prezes nie mógł się przekonać do Brudzińskiego. Plotki na temat jego bujnej przeszłości docierały do centrali. Był oskarżony o zdemolowanie pociągu, choć zarzutów nie potwierdzono, bo udowodnił, że jako członek ruchu ozazowego witał wtedy w Szczecinie papieża. Ale i tak poniósł konsekwencje – musiał powtarzać klasę. Prezes wspominał w książce, że medialny obraz Joachima „jako strasznego typa, jest kompletnie nieprawdziwy. On ma tylko siłę, żeby w razie czego twardo odpowiadać na ataki”. A prezes takich ludzi ceni.

Na partyjnych marszach to Brudziński zagrzewał przez megafon. Do wiecowego stwierdzenia prezesa „Cała Polska z was się śmieje” dośpiewał „komuniści i złodzieje”. Na Twitterze nie stronił od zaczepki. Kilka miesięcy temu, kiedy syn europoła KO Bartosza Arłukowicza wszedł na spotkanie z prezesem PiS, zatweetował o „awanturującym się i wrzeszczącym gówniarzu”. Przy okazji dyskusji o otwarciu Baltic Pipe w TVP Info rozliczał się z politycznymi oponentami, nazywając ich „pożytecznymi idiotami”. I dodawał: „Zostawmy na boku tych nieudaczników i popaprańców”. Taka to metoda Brudzińskiego, niby nie chce o kimś mówić, ale – jak tłumaczy – o liczności sprawiają, że powiedzieć musi. Ostatnio w „Gościu Wiadomości” – już jako szef kampanii – też nie chciał wymawiać nazwiska Tuska, ale uznał, że nie sposób, bo tyle złych emocji wprowadził do polskiej polityki, „żywi się grubiaństwem, nienawiścią i skłócił polskie rodziny”.

Ale to też nie jest cała prawda o Brudzińskim. Stać go było też na to, by z fotela wicemarszałka Sejmu (od listopada 2015 do stycznia 2018 r.) upominać, dyscyplinować posłów własnego klubu. Później, kiedy został ministrem spraw wewnętrznych, nie miał większych wpadek. Dziękował policji za ochronę marszu równości w Lublinie, na który napadli prawnicy chuligani. Wyrazy szacunku składał mu nawet Władysław Frasyniuk, bo jako szef policji po śmierci prezydenta Adamowicza zachował się przyzwoicie: „Joachim Brudziński pokazał, że państwo może być sprawne, silne i szybko reagujące na przejawy chamstwa i agresji”.

Gdy pytamy o Brudzińskiego ważnych ludzi w PiS, powtarzają: lojalny i sprawdzony. – Kiedy Tomek Poręba wbrew prezesowi porzucił sztab, to wiadomo było, że będzie wezwany Joachim – słyszymy. Nie bardzo chciał brać na siebie ryzyko porażki. Tłumaczył, że znów będą przypomniane maile z Poufnej Rozmowy, z których wynika, że pośredniczył w znalezieniu pracy dla rodziny w państwowych spółkach (słynne: „Cześć wujku, w załączeniu

przesyłam nasze aktualne CV...”). Ciągnie się też za nim opisany przez „GW” remont prywatnego mieszkania, w który według dziennikarzy miał być zaangażowany państwowy Polski Holding Hotelowy. Jednak propozycja przejścia kampanii, którą prezes złożył Brudzińskiemu, była z tych nie do odrzucenia. Wynegocjował tyle, że nie będzie musiał teraz startować do Sejmu i dostanie pewne miejsce w eurowyborach w 2024 r., jeśli zechce reelekcji.

Faktycznie, wiele razy było już tak, że Brudziński ratował sytuację, kiedy ktoś odchodził, odmawiał, nie dawał rady. W 2020 r. kontrowersyjna szefowa kampanii Andrzeja Dudy Jolanta Turczyńnicz-Kieryłło podała się do dymisji, i wtedy też na czele stanął Brudziński. Nawet szefem struktur pierwszy raz, w 2006 r., został dlatego, że Przemysław Gosiewski odmówił. Wtedy Brudzińskiego, sejmowego debiutanta, który kiedyś działał w Porozumieniu Centrum, ale nawet nie poznał osobiście Kaczyńskiego, wymyśliła na sekretarza generalnego słynna „pani Basia” – Barbara Skrzypek. W 2007 r. PiS oddał władzę PO i Brudziński zapłacił za to dymisją. Jednak jego następcą Jarosław Zieliński okazał się organizacyjnym beztalentem, więc w 2009 r. prezes znów na szefa struktur powołał Brudzińskiego. Teraz dowodzi nimi Krzysztof Sobolewski, bliski współpracownik Joachima.

On sam podobno polubił brukselskie życie, ale jako europoseł nie zaznaczył szczególnie swojej obecności. – *Nie prowadzi ważnych projektów. Najczęściej zabiera głos w sprawach, w których może pokrzywić na Niemców lewaków czy bronić suwerenności* – opowiada europoseł PiS. Według naszego rozmówcy są dwa powody europejskiej emigracji Brudzińskiego. Po pierwsze, 55-letni polityk pozazdrościł kolegom europoślom, że się tak dobrze finansowo urządzają. Kadencję europośla w 2019 r. zaczynał z domem wpisanym w oświadczenie majątkowe. Już po roku kupił 132-metrowe mieszkanie warte ok. 280 tys. euro i wziął 200 tys. euro prywatnej pożyczki, którą już zdążył spłacić, bo nie wpisał jej w oświadczeniu za 2022 r. Jest też i polityczny powód wyjazdu do Brukseli. – *Joachim czeka na ostateczne rozstrzygnięcia na partyjnym podwórku* – mówi ważna osoba w PiS. – *Raczej nie chce zawalczyć o przywództwo po prezesie, ale funkcja pierwszego wiceprezesa go satysfakcjonuje.*

Ostatnio można było odnieść wrażenie, że we frakcyjnych starciach Brudziński trzymał stronę Morawieckiego. 2 stycznia, kiedy prezes PiS przebywał w szpitalu, stanął obok premiera, i to w centrali przy Nowogrodzkiej, by ogłosić dziesięciolecie podniesienia wieku emerytalnego przez rząd PO-PSL. Niektórzy zrozumieli, że w rozgrywce z Sasinem pierwszy wiceprezes stawia na premiera. Po wejściu prezesa do rządu, według naszego rozmówcy, sytuacja jest jasna: – *Kaczyński chce kontrolować Morawieckiego, bo mu nie ufa, a jak PiS wygra wybory, to nie chce, by Morawiecki stał się tego twarzą. Joachim dobrze rozumie, że powinien być lojalny wyłącznie wobec Jarosława.*

Podobno dlatego do sztabu doprosił Pawła Majewskiego, byłego dziennikarza, od 2015 r. związanego z PiS, który o premierze nie ma najlepszego zdania. Chodzi o to, aby był równowagą dla „chłopaków z KPRM”, których prezes wpuścił do sztabu. Majewski w mailu z grudnia 2018 r. (Poufna Rozmowa) do Brudzińskiego tłumaczył, dlaczego jego zdaniem partia przegrała wybory samorządowe. Wszystko przez Mateusza Morawieckiego, który stał się obciążeniem po ujawnieniu nagrań z restauracji Sowa i Przyjaciele. Zarzuca premierowi: „Stopniowe w agendzie politycznej odchodzenie od kluczowych interesów elektoratu na rzecz fanaberii salonu. Ta czaszka już się nie uśmiechnie”.

Chcieliśmy spytać Brudzińskiego, jakie ma plany na kampanię, ale odmówił rozmowy. Zmiany są wszakże widoczne. Po pierwsze, już pierwszego dnia urzędowania nowego szefa sztab wyborczy



© TWITTER/OACHIM BRUDZIŃSKI

Joachim Brudziński z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na szczycie beskidzkiego Koziarza.

został wydatnie powiększony. Dołączyli ludzie z otoczenia Morawieckiego (rzecznik rządu Piotr Müller i – formalnie bezpartyjny – szef Centrum Informacyjnego Rządu Tomasz Matynia), a także szef gabinetu prezydenta Paweł Szrot, wspomniany już Paweł Majewski oraz wiceminister spraw wewnętrznych Paweł Szefernaker. Taki skład ma dać spokój w partii, lepszą koordynację działań, a także zaspokoić ambicje różnych środowisk. Do sztabu dołączyli również koalicjanci – Adam Bielan (Partia Republikańska) i Patryk Jaki (Suwerenna Polska).

Włączenie ziobrystów w kampanię oznacza rozejm PiS z Suwerenną Polską. Nie słyhać już pohukiwań mniejszego koalicjanta o samodzielnym starcie, nie ma krytyki Morawieckiego, a PiS wrócił do szyldu Zjednoczonej Prawicy. Na wiecu w Bogatyni przemawiali Zbigniew Ziobro i Bielan, a nawet liderzy ugrupowań, o których nikt nigdy nie słyszał – wiceminister obrony Marcin Ociepa (OdNowa) i poseł Zbigniew Girzyński (Polskie Sprawy). Nie było Pawła Kukiza, ale jego nieobecność usprawiedliwił Kaczyński – lider Kukiz'15 miał tego samego dnia ślub córki. Dla PiS najważniejsze było unormowanie relacji z Suwerenną Polską (pozostali koalicjanci nie mają sił, by odegrać jakąkolwiek rolę). Wygląda na to, że oferta Kaczyńskiego dla ziobrystów (podobno 21 miejsc na listach wyborczych PiS), choć niezbyt hojna, okazała się dla Ziobry wystarczająca, żeby przestać brykać.

Tuż po przyjeździe Brudzińskiego PiS porzucił plany zorganizowania konwencji partyjnej w Łodzi 24 czerwca. Zjazd miał być zwieńczeniem przedwakacyjnego etapu prekampanii, ale nowy sztab uznał, że konwencja to kiepski pomysł. PiS wyciągnął wnioski z „Programowego ula”, na którym w połowie maja Kaczyński obiecał waloryzację dodatku 500 plus. Tamta dwudniowa impreza jest dziś w partii uznawana za porażkę, bo obietnice prezesa nie

poprawiły notowań, a o całym „ulu” wyborcy szybko zapomnieli. Kaczyński miał też ponoć pretensje o koszty wydarzenia (mówi się o ponad 3 mln zł).

– *Teraz nie mieliśmy świeżych obietnic, a samo zwiezienie do Łodzi kilku tysięcy działaczy w garniturach na nikiem nie zrobiłoby wrażenia. Musieliśmy znaleźć coś, co da nam energię i pokaże, że jesteśmy z ludźmi* – tłumaczy odwołanie łódzkiej konwencji jeden ze sztabowców. Tak urodziła się koncepcja wiecu w Bogatyni. To niewielkie miasto na pograniczu z Czechami i Niemcami, opodal którego działa kopalnia węgla brunatnego Turów. W pirowskim imaginariu jest to miejsce szczególnie, symbol walki z dyktatem Unii Europejskiej i obrony suwerenności energetycznej Polski (w 2021 r. na wniosek Czech unijny Trybunał Sprawiedliwości nakazał zamknięcie odkrywki; Polska zawarła potem z Czechami ugodę w tej sprawie).

Wiec koło kopalni Turów był więc dla PiS okazją, by pokazać się jako obrońcy kopalni, która daje tysiące miejsc pracy mieszkańcom regionu. Nowych obietnic rzeczywiście zabrakło, Kaczyński i Morawiecki mówili za to dużo rzeczy już znanych – że wybory będą bitwą o suwerenność Polski, że pod rządami PiS państwo dogania Zachód, a Donald Tusk to człowiek Berlina. Brudziński tam nie przemawiał. – *Zawadywał ruchem pod sceną* – relacjonowała posłanka PiS.

Wraz z nowym szefem sztabu PiS postawił też na zmianę dominującego wcześniej motywu kampanii. Przycichł temat ustawy o komisji ds. badania rosyjskich wpływów (tzw. lex Tusk). Prawo teoretycznie weszło w życie, terminy biegną, ale PiS nie wskazał kandydatów na członków komisji. Sejm uchwalił prezydencką nowelizację ustawy, która pozbawia komisję wielu uprawnień, ale nowa ustawa nie weszła jeszcze w życie i komisja powstanie najwcześniej w drugiej połowie lipca. Emocje w tej sprawie – przy najmniej na razie – wygasły.

Nową zabawką PiS jest natomiast referendum w sprawie „przymusowej relokacji uchodźców”. To reakcja na porozumienie państw członkowskich Unii (Polska była przeciw) w sprawie tzw. mechanizmu solidarności: każde państwo miało do wyboru albo przyjęcie pewnej liczby uchodźców (Polska – ok. 2 tys. osób rocznie), albo zapłaty 20 tys. euro od osoby. PiS po cichu bardzo ucieszył się z tego porozumienia (które nie weszło jeszcze w życie), bo uznał, że może zagrać jednocześnie kartą antyimigrancką i antyunijną. Kaczyński ogłosił z mównicy sejmowej, że odbędzie się w tej sprawie plebiscyt, a politycy z jego partii precyzują, że stanie się to w dniu wyborów parlamentarnych. PiS liczy na to, że większość Polaków opowie się przeciwko przyjmowaniu uchodźców, że temat zmobilizuje na nowo byłych wyborców obozu władzy, a opozycja się w tej sprawie podzieli.

Wszystkie te zmiany w kampanii PiS zdają się świadczyć o tym, że rządzący są świadomi błędów, które popełnili w ostatnich tygodniach. Jednocześnie jednak można odnieść wrażenie, że podstawowy kłopot PiS jest inny; że samo poprawienie organizacji, komunikacji i koordynacji to warunki konieczne, ale nie wystarczające do utrzymania władzy. PiS stracił część swojej potęgi. Brakuje pewności siebie, wrażenia, że jest nie do pokonania, zatracił nawet moc zarządzania debatą publiczną, co pokazała zarówno dyskusja o 800 plus, jak i o lex Tusk. To może być tylko wrażenie, ale stoją za nim także wyniki różnych sondaży, które pokazują, że w ciągu ostatnich dwóch i pół roku wyraźnie pogorszyły się zarówno nastroje społeczne, jak i oceny pracy rządu, a przewaga nad Platformą stopniała niemal do zera. W tej sytuacji wymiana Poręby na Brudzińskiego, spacyfikowanie Ziobry, a nawet sojusz z posłem Girzyńskim mogą się okazać niewystarczające.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Akcje Konfederacji

Konfederaci czują, że rosną. W miarę sondażowego postępu sami siebie zaczynają postrzegać inaczej niż do tej pory. Obrastają nowymi ambicjami, pod które naprędce konstruują coraz odważniejsze polityczne plany. Mentalnie czują się świeżo awansowani do politycznej ekstraklasy.

M

RAFAŁ KALUKIN

Manifestacją dobrostanu była sobotnia konwencja wyborcza na 2,5 tys. sympatyków, z laserami, pirotechniką i konfetti. Za takie show trzeba było zapłacić co najmniej 2 mln zł. Ale nie wszyscy potrafią się odnaleźć w segmencie premium. Szczególnie ciężko musi być Grzegorzowi Braunowi,

k którego wystąpienie na konwencji mocno się wyróżniało na tle pozostałych. Wbrew panującemu triumfalizmowi szef Korony zaprosił widownię do „seansu wspomnień” o starej dobrej „Konfie”, racząc ją rzewną opowieścią o inicjatywnej „drużynie pierścienia”, która wbrew przeciwnościom losu i opresji systemu wyruszyła na podbój Mordoru.

Mogło się wydawać, że Braun przywołuje starą i zapomnianą legendę, chociaż od tamtych zdarzeń minęły raptem cztery lata. I dopiero na gruncie rozbudzonego sentymentu pozwolił sobie podać na stół swoją mieszankę firmową, czyli miszmasz sloganów o Niemcach, Żydach, „dewiantach”,

Słyszymy, że krótko po wyborach **Sławomir Mentzen** będzie forsować likwidację kolektywnego przywództwa i zastąpienie go rządami osobistymi.

„eurokołchozowej radzie komisarzy ludowych”, „sanitarystach”, „ukrainizacji Polski”. „Dziękuję za te lata, co złego, to nie ja” – żachnął się jeszcze przed zejściem ze sceny.

I wyglądało to tak, jakby wkrótce miał już zejść na dobre, chociaż podkrecona publika na stojąco wiwatowała Braunowi. Zapewne była to rozpaczliwa próba zalegalizowania się w obecnej formule, gdzie ma już nie być miejsca na pokręcone treści, szurnięte teorie spiskowe i polityczny ekstremizm. Konfederacja chce przesunąć się w stronę centrum i być atrakcyjna dla klasy średniej, zwłaszcza przedsiębiorców. W czym nadmierna ekspozycja Brauna nie pomaga, chociaż pozbywać się go mimo wszystko nie warto. Bo startując z Podkarpacia, obsługuje gęstniejący szczególnie w przygranicznych powiatach antyukraiński nastrój, co – jak szacuje otoczenie rozdającego dziś karty Sławomira Mentzena – daje Konfederacji dodatkowe 1–2 pkt proc. w sondażach. Szef Korony ma jednak robić swoje dyskretnie, z czym chyba trudno mu się pogodzić. Niedawno znów przegiął antysemickim ekscesem podczas wykładu prof. Jana Grabowskiego.

Tuż po zakończeniu konwencji „koroniarze” zwoływali się zresztą, żeby całą grupą stanąć na scenie i pokazać, że w składzie Konfederacji stanowią poważną siłę. Ale jak długo wytrwają na tym boisku? Coraz częściej słychać, że po wyborach może ich czekać zejście do szatni. Bo tamtej Konfederacji z heroicznej legendy tak naprawdę już nie ma. Pomyślana jako zlepek prawicowych nisz wedle słynnej „piątki Mentzena” („nie chcemy Żydów, gejów, aborcji, podatków i UE”), już okrzepła i ciągle ewoluje. I jak tak dalej pójdzie, to być może już wkrótce ktoś rzuci: „Stop braunizacji Konfederacji”.

Ale Konfederacja na obecnym etapie to ciągle jeszcze coś pomiędzy starym i nowym. Można to było dostrzec choćby po uczestnikach konwencji. Nie tyle zresztą działacze, co sympatycy – bo zarejestrować mógł się każdy, chociaż nie dla wszystkich chętnych starczyło miejsca. Pojawiły się zatem charakterystyczne „kuce” (fani Korwina z kucykami), nie brakowało też wszechpolsaków z mieczykami Chrobrego w klapie. Tylko że jedni i drudzy tym razem ginęli w tłumie. Ogólnie pełen przekrój wiekowy i nawet całkiem sporo, jak na środowiskową normę, kobiet.

Konwergencję ruchu widać też było w wystąpieniach, języku i zaprezentowanym programie. Już nie da się powiedzieć, że to tylko kompilacja haseł wywiedzionych z ekonomicznego leseferyzmu, nacjonalizmu i katolickiego integryzmu. Konfederacja staje się spójnym środowiskiem. Jego rdzeń tworzą oczywiście wychowankowie Korwin-Mikkego, chociaż on sam poszedł w odstawkę. Jego następcą Mentzen używa zaś korwinowskich klisz z przymrużeniem oka. Na kanałach społecznościowych opowiada o likwidacji PiT, CiT, VAT i ZUS, ale już w poważniejszych formatach zapowiada tylko reformy. Drugi z wodzirejów tej kampanii narodowiec Krzysztof Bosak może i częściej odwołuje się do tradycyjnych wartości, ale w kwestiach ekonomicznych obaj mówią jednym głosem, co kiedyś nie było oczywiste. Cały przekaz wyraża teraz slogan #TakChcemyŻyć.

Czyli po prostu zamożniej niż teraz, co Konfederacja chce zapewnić dzięki obniżce podatków, cięciom w administracji i odrzuceniu rygorów unijnych, zwłaszcza wynikających z Zielonego Ładu. W niedawnej radiowej debacie Mentzena z Ryszardem Petru konfederat wiał się jak piskorz, żeby uniknąć deklaracji w sprawie pozostania w Unii. I trudno się dziwić, gdyż poparcie członkostwa mogłoby wkurzyć najdawniejszych sympatyków Konfy, tych od „piątki”, ale jeszcze gorzej – opowiedzieć się za polexitem. W polskich realiach to na dobrą sprawę zamyka drogę do centrum.

Ewolucja ruchu bynajmniej nie dobiegła jednak końca i chyba sami liderzy nie mają pewności, dokąd dojadą.

Bo rosnąca Konfederacja – od stycznia jej średnia sondażowa urosła z 7 do 12 proc. – zbiera coraz to nowe grupy wyborców, pragmatycznie dopasowując się do ich oczekiwań. Najczęściej kosztem innych ugrupowań opozycyjnych, zwłaszcza Polski 2050, ale też KO i PSL. Dzisiaj Konfederacja jest ugrupowaniem „symetrycznym”, scementowanym kontestacją „socjalistycznego” rozdawnictwa, co zarzuca i PiS, i Platformie.

Wiadomo nie od dziś, że cieszy się względami głównie młodych mężczyzn, chociaż jednoznaczny dawniej profil elektoratu coraz bardziej się rozrzedza. Rozkład poparcia niemal idealnie rozlewa się po mapie kraju. Trudno uchwycić ten elektorat w poręcznych kategoriach. Na grupach fokusowych ujawniają się świeżo nawróceni przedsiębiorcy, urzędnicy, emeryci. Najczęściej zniechęceni do całej polityki. To obywatele „trzeciej Polski”, która gdzieś na boku egzystuje sobie z dala od frontu wojny Tuska z Kaczyńskim. Raczej słabo zainteresowani polityką i konsumujący ją dorywczo, nie są podatni na dominujące medialne narracje, wyznaczone przez TVP Info i TVN24. Wiedzę o polityce czerpią głównie z internetu, ale nie systematyzują jej i nie pogłębiają. Bardziej kojarzą, niż rozumieją.

Co ich zawiodło w orbitę Konfederacji? Trochę upraszczając sprawę: Sławomir Mentzen pijący piwo. Czyli młody spryciarz, który robi sobie jaja z elit. Do tego sprawny komunikacyjnie, dający się zrozumieć. I jeszcze *self-made man*, który pracuje na swoim i trzepie kasę, co dodatkowo uwiarygodnia przekaz, że „każdy jest kowalem własnego losu”. Jego zwolennicy świadomi są jednak narracyjnych skrótów i nie biorą zapowiedzi młodego polityka zbyt dosłownie. Powiadają, że pewnie nie zrealizuje wszystkiego, ale i tak warto dać mu szansę. Bo inni już rządzą i pozawodzili. Przy takim typie relacji trudno innym partiom zabiegać o odbicie wyborców Konfy. Poważniejsze propozycje słabo trafiają do takich grup, rozbijając się o mur nieufności do klasy politycznej. Niewiele też na razie przynoszą próby wciągnięcia Mentzena w pogłębione dyskusje (czego ostatnio próbował z nie najgorszym efektem Ryszard Petru), podobnie jak wyciąganie „piątki”, zaginionych stu ustaw i innych dowodów na niepowagę lidera Konfederacji. Z prostego powodu: większość jego zwolenników też nie bierze go całkiem serio.

Otwarcie już deklarowany apetyt Konfederacji na co najmniej 15 proc. w wyborach wydaje się mieć realne podstawy. Niepokojąc zarówno obóz władzy, jak demokratycznej opozycji. Już przy obecnej średniej 12 proc. ugrupowanie Mentzena może liczyć na 50 sejmowych mandatów, co praktycznie uniemożliwia zbudowanie parlamentarnej większości bez jego udziału. Jakiegokolwiek.

Dawniej zwyczajowo Konfederacja była zapisywana do koalicji z PiS, ale można powiedzieć, że im bardziej Konfa rośnie, tym w większym stopniu jej jawny sojusz z Kaczyńskim staje się trudny. Przede wszystkim dlatego, że nie życzą sobie takiego dealu „antysocjalistyczni” wyborcy Mentzena i spółki. Potraktowaliby to jak zaprzędzenie się systemowi. I jak można się spodziewać, wielu z nich od razu by odeszło. Tymczasem środowisku, które zasmakowało w dwucyfrowych wynikach, już się nie uśmiecha orka nad progiem. Aspiracje są dzisiaj dużo większe, niż zostać kolejną przystawką Kaczyńskiego. Taką, która – jak uczy doświadczenie – wcześniej czy później będzie musiała zostać skonsumowana. Tymczasem Konfa nastawia się już na grę o najwyższą stawkę, czyli o władzę. Jest ►

► jak uczestnik popularnych kiedyś „Milionerów”, któremu wystarczyłoby odpowiedzieć na parę prostych pytań, żeby zgarnąć skromną wygraną, ale woli zaryzykować najeżoną trudnościami rozgrywkę o milion.

Wprowadzono zakaz jakichkolwiek konszachtów z partią władzy, gdyż przecieki mogłyby osłabić dotychczasową dynamikę kampanii. Listy wyborcze Konfederacji niby są już dogadane, chociaż na razie ogłoszono tylko część jedynek. Za kulisami jednak słyszymy, że lider nie wyklucza jeszcze ostatniego remanentu. Chodziłoby o prewencyjne usunięcie postaci, które mają zbyt dobre relacje z PiS i po wyborach mogłyby lobbować za koalicją lub przejść na drugą stronę. Skalpel miałby ciąć głównie po narodowcach oraz nominatach Brauna.

I Mentzen może sobie na to pozwolić, gdyż krok po kroku wyrasta na nieformalnego dyktatora Konfederacji. Oficjalnie zarządzanej przez 12-osobową Radę Liderów, a faktycznie jeszcze nie tak dawno przez duet Sławomir Mentzen – Robert Winnicki. Ten ostatni niedawno jednak odszedł z polityki, oficjalnie z powodu problemów zdrowotnych, a zastąpił go na czele Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak, dużo sprawniejszy w kreowaniu wizerunku niż zarządzaniu ludźmi. Przede wszystkim jednak narodowcy nie mają własnego elektoratu, więc zmuszeni są słuchać Mentzena. On jeden może pójść na swoje i utrzymać się na scenie.

Część komentatorów obawia się jednak, że młody lider nie zdoła zapanować nad przyszłą sejmową gromadą, którą pokątnie będzie mu rozbrajać sztukujący po wyborach większość Kaczyński. Bo jeżeli faktycznie, na co się teraz zanosi, Konfederacja będzie miała kilkudziesięciosobowy klub, z pewnością niemało tam będzie postaci przypadkowych, podatnych na korupcję bądź straszenie hakami. I pewnie nietrudno odmówić takim obawom logiki, szczególnie mając w pamięci smętny finał ruchu Pawła Kukiza. Ale już zaplecze Mentzena bagatelizuje problem, wskazując na dobrodziejstwa wynikające z równomiernego rozkładu poparcia w całym kraju.

Z obecnych prognoz wynika bowiem, że Konfa weźmie mandaty we wszystkich okręgach, tyle że najczęściej tylko po jednym, góra dwa. A to oznacza, że wejdą głównie forsowane w kampanii „jedyнки”, czyli ludzie sprawdzeni. Połowę z nich wyłoniono w organizowanych pod czujnym okiem Mentzena prawyborach Nowej Nadziei, a reszta to głównie narodowcy – mający za sobą wychowanie w sekciarskim reżimie organizacyjnym – i na okrasę pojedyncze rodziny z parytetu Korony Brauna. A jeśli dodatkowo wejdą jacyś kandydaci z dalszych miejsc, to też raczej z górnych rejonów listy, tych kontrolowanych. I chyba nie są to rachuby jedynie życzeniowe, bo kiedy pytamy o konfederacką odporność Artura Dziambora – znającego środowisko na wylot, tyle że usuniętego po konflikcie z Mentzenem – on również nie ma takich obaw.

Jednocześnie w planie Mentzena raczej też nie ma miejsca na koalicję antypisowską z obecną opozycją. Ewentualnie mówi się o wynegocjowanym wsparciu przez Konfederację wotum zaufania dla mniejszościowego rządu Tuska. Oczywiście nie za darmo, ceną ma być szybkie przyjęcie paru ważnych dla formacji Mentzena ustaw. Bo chodzi o to, żeby zademonstrować skuteczność, ale nie brać odpowiedzialności i pozostać poza „duopolem”. Taki gabinet bez większości oczywiście już na dobre stałby się zakładnikiem Konfederacji, która stawiałaby mu warunki

przy każdym ważniejszym głosowaniu. Bez szans na dłuższe trwanie, politycznie krwawiący niemal od pierwszego dnia. Ludzie Mentzena oceniają, że pewnie już na początku przyszłego roku trzeba by przeprowadzić egzekucję podczas uchwalania budżetu. Z wyjściem na kolejne wybory, do których konfederaci przystępowaliby jako ostatnia jeszcze nieskompromitowana siła.

Taki jest właśnie ogólny zarys planu, tylko że trzeba jeszcze będzie zestroić detale z osobistymi ambicjami Mentzena. A te rosą ponoć równie szybko jak jego mołojcka sława. Na otwartych spotkaniach opowiada, co zamierza zrobić jako minister finansów. W rzeczywistości 37-latkowi z Torunia marzy się jednak prezydentura. I coraz chętniej zakłada, że jeśli tylko zdoła się dostać do drugiej tury, to wygraną ma w kieszeni. Po drodze trzeba jeszcze będzie ostatecznie podporządkować sobie konfederackie struktury. Słyszymy więc, że krótko po wyborach Mentzen będzie forsować likwidację kolektywnego przywództwa i zastąpienie go rządami osobistymi.

Niemało w tych zapowiedziach pychy, świeżo rozbudzonej manii wielkości. Takich dobrze zapowiadających się karier, podobnie jak niezrealizowanych ambitnych planów, polityka zna wiele. O czym przekonuje się ostatnio chociażby Szymon Hołownia, któremu silnik zatarł się niemal na ostatniej prostej. Chociaż trzeba Mentzenowi oddać, że niezależnie od komunikacyjnych zdolności zdążył już dowieść, iż jest sprawnym politycznym graczem. Na wiele miesięcy przed odejściem Korwin-Mikkego szkicował w nieoficjalnych rozmowach scenariusz swojej sukcesji, który później sprawdził się co do joty.

Po drodze usunął intrygą konkurującego z nim Dziambora, następnie uciszył coraz bardziej kłopotliwego starego patrona, wreszcie owinął sobie wokół palca Radę Liderów Konfederacji. Wszystko to powinno skłaniać do poważnego potraktowania jego ambicji.

Ale najtrudniej chyba mimo wszystko odgadnąć prawdziwą naturę tego środowiska. Po stronie opozycji demokratycznej dosyć powszechna jest dzisiaj obawa, iż zdobywając wpływ na kraj, konfederaci zrzucą maski i zafundują nam turpopopulizm, pod którym będziemy ciepło wspo-

minąć rządy Kaczyńskiego. Czego do końca pewnie wykluczyć nie można, gdyż kilka zdecydowanie niesympatycznych rysów Konfederacji – zwłaszcza ksenofobiczny, antysemicki, antyeuropejski i antykobiecy – wybija się nawet spod grubej warstwy kampanijnego pudru. Podobnie jest z wolnorynkowym fanatyzmem, który dzisiaj wielu wyborcom wydaje się trafną odtrutką na pisowskie rozdawnictwo, ale na dłuższą metę uniemożliwi powstanie nowoczesnego państwa, inwestującego w usługi publiczne.

Z drugiej strony warto sobie uświadomić, że nasz stosunek do populizmu określa w głównej mierze doświadczenie długich rządów Kaczyńskiego, którego żelazna wola łamania społecznego oporu, często wbrew panującym nastrojom, jest mimo wszystko unikatowa. W europejskiej polityce dużo więcej znajdziemy przykładów ekstremistycznych u zarania formacji, które w miarę zbliżania się do centrum przejmowały tożsamość swoich raczej umiarkowanych zwolenników, uciekając w pragmatyzm. Pokazują to obecnie nieoczekiwane odpowiedzialne rządy włoskiej premier Giorgii Meloni z populistycznej partii Bracia Włosi. Przydałoby się zatem więcej spokoju w ocenach rodzącego się fenomenu Konfederacji. Chociażby po to, żeby wiedzieć, jak ją zatrzymać.

RAFAŁ KALUKIN

Plan jest taki: po wyborach Konfederacja nie wchodzi do żadnego rządu. Czeki na kryzys, wcześniejsze wybory i wtedy idzie po władzę; albo chociaż po 25 proc.



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Znikające sufity, przebite bańki

Sufity i podłogi nie istnieją, a bańki mają to do siebie, że niekiedy pękają. Mowa oczywiście o terminach stosowanych namiętnie do opisu sceny politycznej. Czy Platforma może zatem trwale przebić 30-procentowy pułap, a PiS swoje notowania utrzymać?

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

Historia – także w ciągu ledwie 30 lat demokratycznej Polski – wielokrotnie przypominała nam, że przedwczesne odsyłanie polityków do lamusa lub – odwrotnie – uznawanie kogoś za wyborczego pewniaka może się skończyć kompromitacją. A mimo to wciąż wracamy do utartych schematów rozmowy o polityce, które niezmiennie wodzą nas na manowce. Podczas bieżącej kampanii sytuacja się powtarza.

Zacznijmy od sufitu. Po wielkim mar-szu 4 czerwca słyszymy, że Koalicja Oby-watelska nie tylko zyskała kilka punktów procentowych i zbliżyła się do PiS – a w jednym z badań wysunęła się ►

► nawet na pierwsze miejsce – ale przede wszystkim przekroczyła magiczną granicę 30 proc. poparcia. Czy jednak ta granica naprawdę tam była? Przecież partia pod przewodnictwem Donalda Tuska wielokrotnie w swojej historii notowała poparcie na wyższym poziomie. Dlaczego nagle ta trójka z przodu miałyby stanowić barierę nie do przekroczenia? A – przypomnę – nie tak dawno dało się słyszeć głosy, że sufit poparcia KO zawieszony jest jeszcze niżej – na poziomie 25 proc.

Posłuszenie się pojęciem sufitu sugeruje istnienie jakiejś nieprzekraczalnej bariery, której dany polityk czy partia nie może sforsować. W rzeczywistości jednak osoba posługująca się tym terminem przekazuje nam jedynie to, co widzi w sondażach. Partia „A” ma przez dłuższy czas poparcie na poziomie 19 proc.? To oznacza, że ma „sufit zawieszony na poziomie 20 proc.”. Chwilę potem partia „A” notuje 23 proc. poparcia? Słyszymy, że poprzedni sufit przebiła, a teraz uderza w ten zawieszony na poziomie 25 proc. To po prostu wyjaśnienie *post factum*, na nic innego nie ma żadnych dowodów.

Fantastyczne sukcesy, spektakularne porażki

Interpretacja zjawisk politycznych, jak wszelkich faktów społecznych, jest zawsze zapośredniczona przez społeczne emocje, kontekst, w jakim się pojawiają. Te same słowa, wypowiedziane przez tego samego polityka, raz mogą przejść niezauważone, innym razem sprowokują burzę. I nie trzeba daleko szukać, by się o tym przekonać.

Kiedy w 2014 r. rząd PO-PSL świętował sukcesy ćwierćwiecza III RP jako najlepszego okresu w dziejach naszego kraju, kiedy z dumą organizował obchody 25-lecia wyborów z 4 czerwca, które uświetnili najważniejsi politycy świata, na czele z amerykańskim prezydentem Barackiem Obamą, to wydawało się, że dobrze trafia w społeczne emocje. Gdy jednak kilka miesięcy później Bronisław Komorowski próbował w tym samym tonie prowadzić kampanię wyborczą, skończyło się społecznym rozdrażnieniem i roztrwonieniem wysokiego poparcia.

To nie Komorowski się zmienił, zmieniły się nastroje. Nie wybuchł żaden wielki skandal, ówczesny prezydent nie przejechał ciężarnej zakonnicy na przejściu dla pieszych. Mało tego – nie popełnił żadnego skandalicznego błędu. Rzucona młodemu działaczowi PiS odpowiedź, by „zmienił pracę i wziął kredyt”, była niezręczna, ale przecież, gdy analizować ją na chłodno, nie ma w niej nic szokującego.



Łukasz Pawłowski jest doktorem socjologii, publicystą i doradcą politycznym. Wspólnie z Piotrem Tarczyńskim prowadzi „Podkast amerykański”.

Wielu ludzi tak właśnie próbuje radzić sobie z problemami materialnymi. Nagle okazało się jednak, że niemal wszystko, co Komorowski mówi, trąci oderwaniem od rzeczywistości i zwykłym „obciachem”. A najlepszym tego dowodem słynny orzeł z czekolady, którego odsonięto nie w kampanii wyborczej przecież, lecz dwa lata wcześniej, na początku maja 2013 r.! Ten sam polityk, który w grudniu 2014 r. miał niemal 60 proc. poparcia, w maju stał się symbolem nieznośnego *status quo*. Ten sam zestaw cech i styl bycia zwyczajnie przestał działać. Pod byłym prezydentem osunęła się podłoga i poparcie tapnęło. A jednocześnie okazało się, że konkurujący z Komorowskim Andrzej Duda nie ma nad sobą niezniszczalnego sufitu.

Przegrana Bronisława Komorowskiego była zaskoczeniem, ale nie jest niczym wyjątkowym. Niejeden polityk u szczytu kariery spektakularnie osuwał się w przepaść. Znany (a raczej niesławny) Joseph McCarthy przez pierwsze trzy lata swojego urzędowania był niewyróżniającym się senatorem ze stanu Wisconsin. W 1950 r. dosłownie z dnia na dzień jego nazwisko poznał wszyscy, kiedy podczas przemówienia w pewnym prowincjonalnym miasteczku ogłosił, że odkrył siatkę komunistycznych szpiegów, rzekomo penetrujących amerykański rząd. Przez cztery lata senator rzucał oskarżenia na lewo i prawo, łamiąc ludziom kariery i życiorysy. Żadnego szpiega nie wykrył, ale parł dalej, sięgał coraz wyżej, aż w końcu... poparcie się skończyło.

Symbolicznym początkiem końca była krótka wymiana zdań. W odpowiednim momencie prawnik amerykańskiej armii, z którą McCarthy wziął się za bary, rzucił w jego stronę słynne pytanie: „Czy nie ma pan za grosz przyzwoitości?”. Tę scenę obejrzało w szybko rozwijającej się wówczas telewizji kilkadziesiąt milionów Amerykanów i popularność senatora poleciała na łeb na szyję. Próbował wrócić, ale dawne sztuczki przestały działać. Niedługo później zmarł przeżarty alkoholem.

McCarthy wzniósł się na szczyt przed ukończeniem 50. roku życia. Inni

na eksplozję popularności musieli czekać znacznie dłużej. Kto by pomyślał, że 75-letni socjalista ze stanu Vermont nagle stanie się idolem młodzieży i poważnym kandydatem do urzędu prezydenta USA. Przez lata senator Bernie Sanders próbował przebić się ze swoim przekazem, ale „chwyciło” dopiero w 2016 r. Bernie ostatecznie nie zdobył nominacji Partii Demokratycznej, ale stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków w kraju, a część jego poglądów weszła do głównego nurtu debaty publicznej.

Prezydent George W. Bush, który w 2004 r. zdobywał reelekcję, zaledwie 12 lat później mógł się tylko przyglądać, jak jego słynne nazwisko mieszał z błotem Donald Trump, który sam szukał drogi do Białego Domu już wcześniej, lecz za każdym razem nie trafiał do wyborców. Aż wreszcie trafił.

Historia każdego z tych polityków pokazuje, że nie ma jednego zestawu cech, które z góry określają szanse człowieka na wygraną w wyborach. „Wybieralny” jest po prostu ten, kogo ludzie wybiorą. Raz będzie to wyszczekany chuligan, gotów zaatakować wszystkie świętości, innym razem elokwentny centrysta o sposobie bycia wykładowcy uniwersyteckiego.

Potrzeba wiary

„Wydarzenia wiodą podwójne życie, a wrazenie, jakie sprawią wydarzenia w polityce, jest tak samo ważne jak rzeczywistość”, pisał w klasycznej książce o kampanii prezydenckiej z 1968 r. amerykański reporter Theodore H. White.

Owo wrazenie jest zapośredniczone przez społeczne nastroje. A co jest ich źródłem? Z jednej strony są zakorzenione w otaczającej nas rzeczywistości. Nawet dysponując rozbudowanym aparatem propagandy, trudno przekonać wyborców, że kraj rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej, jeśli na własne oczy widzą dookoła siebie oznaki kryzysu – rosnące ceny, dotykające ich bezrobocie, zaniedbaną okolicę czy rosnącą przestępczość.

Zwykle jednak nawet kiepskie rządy nie doprowadzają kraju do całkowitej ruiny w ciągu kilku lat. Kampania wyborcza jest więc w istocie walką o pewną interpretację rzeczywistości, walką właśnie o „wrażenie”. O to, by wyborca zechciał spojrzeć na świat oczami tego czy innego polityka. A potem uwierzył, że to właśnie ten polityk ze swoją drużyną może coś zmienić na lepsze.

Idealiści mogą twierdzić, że polityka jest sztuką jednoczenia ludzi, ale to nie do końca prawda. Nieodłącznym elementem jednoczenia jest również tworzenie

podziałów – na nas, popierających polityka „A”, i na nich, którzy tego zrobić nie chcą. To, jak zdefiniowane zostaną kryteria podziałów, ma fundamentalne znaczenie.

W Polsce przez lata rywalizacji pomiędzy Donaldem Tuskiem i Jarosławem Kaczyńskim podziały przebiegały według znanych linii: po jednej stronie bardziej nowoczesna, europejska Platforma Obywatelska, która na pierwszym miejscu stawia modernizację i wolność jednostki ponad obowiązkami społecznymi. Po drugiej stronie PiS straszące rewolucją obyczajową, deklarujące przywiązanie do wartości wspólnotowych i pod hasłami obrony tradycji mówiące ludziom, że nie muszą się zmieniać, bo nie ma nic złego w tym, jacy są obecnie.

Przez pierwsze miesiące tzw. prekampanii raz po raz widzieliśmy, jak Donald Tusk próbuje przełamywać ten podział, wykonując ukłony w stronę osób o wrażliwości konserwatywnej (np. całując chleb na spotkaniu w Płońsku, gdzie opowiadał też o religijności w swoim domu rodzinnym), a także wobec mieszkańców średnich i mniejszych miast, regularnie je odwiedzając.

Tournée Tuska trwa od miesięcy i choć wydaje się rzeczą oczywistą, że jeśli chce się pozyskać wyborców, trzeba do nich dotrzeć, to nie zawsze takie wizyty przynoszą pożądane skutki. Służą one zresztą nie tylko rozmowie z wyborcami, ale także weryfikacji sprawności lokalnych struktur partii. W przypadku spotkań lidera KO wypadało na ogół dobrze – frekwencja dopisywała, a o poważnych wpadkach nie było słyhać. Podobnie było z marszem 4 czerwca. Część uczestników słusznie zwracała uwagę na niedostatki nagłośnienia. Ale jak na tak liczną manifestację, przebiegła sprawnie i bez incydentów. To nie stało się samo, wymagało niemałego wysiłku organizacyjnego i również ma przekonać Polaków, że największa partia opozycyjna jest w „gotowości bojowej”. Wiara może nie jest w stanie dokonać dowolnych cudów, ale z pewnością wpływa na nasze zachowanie, także wyborcze. I dlatego właśnie tak bardzo znaczenie wiary w zwycięstwo podkreślał Tusk podczas swojego wystąpienia 4 czerwca.

„Wierzę w to, że ten ogrom ludzi, to morze głów, to morze biało-czerwonych sztandarów jest dzisiaj w Warszawie, ponieważ uwierzyliście także w zwycięstwo. Chcieli wam wmówić, że nie macie już szans, od lat powtarzali wszystkie możliwe kłamstwa, także na wasz temat. Ich wielką nadzieją był brak naszej nadziei, ich siłą była nasza bezsila” – mówił w kluczowym momencie przemówienia.

Te słowa podchwyciły media, a komentatorzy zgodnie twierdzą, że taki właśnie był główny cel marszu – pokazanie wyborcom Koalicji Obywatelskiej czy szerzej opozycji, że mają szansę na sukces.

Kolejnym ważnym wątkiem była kolejna próba przekroczenia tradycyjnych linii podziału i „odebrania” PiS monopolu na patriotyzm i biało-czerwone barwy. „Jesteś patriotką, jesteś patriotą i dlatego sprzeciwiasz się złu. Jesteś patriotką, jesteś patriotą, to znaczy, że opowiadasz się za wolnością, za Polską bezpieczną. Tu jest biało-czerwona, tu jest Polska!” – mówił Tusk. Nie bez powodu na marszu aż roilo się od polskich flag, a wielu uczestników maszerowało w biało-czerwonym serduszkem na piersi.

Dokąd teraz?

Czy te zabiegi doprowadzą do sukcesu demokratycznej opozycji jako całości, nie sposób przewidzieć, bo zbyt wiele czynników jest w grze. Niewiadomą pozostają chociażby losy Trzeciej Drogi, która nerwowo reaguje na spadki sondażowe, spychając ją w granicę 8-proc. poparcia. Błędem byłoby jednak postrzegać te spadki jako nieuchronny los partii próbującej przełamać dominację KO i PiS. Trzecia Droga nie jest jeszcze skazana ani na osunięcie się w polityczny niebyt, ani na wspólny start z Koalicją Obywatelską. Musi jednak zbudować podmiotowość, a to jej się na razie nie udaje.

Niedawny pomysł, by zorganizować powszechne konsultacje w sprawie reformy edukacji i tym samym wyróżnić się jako podmiot, który „rozmawia ze wszystkimi”, okazał się absurdalny. Przecież te same postulaty – wzrost nakładów na edukację i poprawa jej jakości – Hołownia i Kosiniak-Kamysz mogli przedstawić jako propozycję programową dla całej opozycji, bez angażowania PiS. Przekaz mógłby wyglądać następująco: „Jesteśmy partią mniejszych i średnich miast, gdzie nie ma dostępu do dobrych szkół prywatnych czy dużej liczby korepetytorów. Poza tym wielu ludzi nie stać na opłacanie dodatkowych zajęć. Dobra edukacja publiczna to narzędzie wyrównywania szans nie tylko między bogatymi i biednymi, ale także mniejszymi i średnimi miastami a aglomeracjami. I dlatego o nią zadbamy”. Tymczasem meritum zagubiło się, przykryte wezwaniem do pozorowanego dialogu z przedstawicielami PiS. Pozostało fatalne wrażenie, a wrażenia – jak już wiemy – kształtują rzeczywistość.

W najnowszych analizach czytamy, że Koalicja Obywatelska „żywi się” poparciem innych partii opozycyjnych, one

tymczasem – zwłaszcza Trzecia Droga – stają się nieuchronnymi ofiarami politycznej polaryzacji. I znów wpadamy w stare koleiny.

Nie dajmy sobie wmówić, że polską polityką rządzą ściany, sufity i podłogi, że pewne partie nigdy nie spadną poniżej pewnego poziomu, a inne nigdy powyżej pewnego poziomu nie urosną. Decyduje fala i dynamika, która potrafi przebić wszystkie bariery. Prawo i Sprawiedliwość w kampanii przed wyborami w 2019 r. liczyło nie tylko na samodzielne rządy, ale większość zdolną przełamać prezydenckie weto. Skończyło się na zdobyciu 43,5 proc. głosów. Dziś średnie poparcie dla Zjednoczonej Prawicy jest o 10 pkt proc. niższe. I nic nie stoi na przeszkodzie, by spadło jeszcze bardziej, nawet jeśli przez ostatnie dwa lata trwa na niezmiennym poziomie. Nic nie jest dane raz na zawsze. Wyniki sondażowe są wypadkową nastrojów społecznych, ale politycy mogą te nastroje aktywnie kształtować. I albo na danej fali popłyną, albo ich przykryje. A wtedy ten, który jeszcze wczoraj wydawał się pewniakiem, stanie się „przegrywem”. Kto nie wierzy, niech nieco wyteży pamięć.

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty - Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM



Straszne małe liczby

Rozmowa z prof. Izabelą Grabowską, socjolożką i ekonomistką, o tym, co PiS może zyskać, grając na przebrzmiałej antyuchodźczej nucie, i dlaczego UE, a z nią Polska, tak słabo sobie radzi z wyzwaniem migracji.

JOANNA CIEŚLA: – Czy PiS-owi kolejny raz opłaci się straszenie Polaków najazdem uchodźców?

IZABELA GRABOWSKA: – To działanie o trudnych do obliczenia skutkach. Nie ma wątpliwości, że w 2015 r. antyuchodźcze przekazy przechyliły szalę zwycięstwa na korzyść Prawa i Sprawiedliwości. Ale od tamtej pory zmieniliśmy się jako społeczeństwo. Jesteśmy w innej sytuacji geopolitycznej i na innym etapie rozwoju, po fali solidarnościowej wobec uciekających przed wojną Ukraińców i Ukrainek. Polacy znacznie lepiej, namacalnie rozumieją, co znaczy wojna, konflikt, cierpienie dorosłych i dzieci. W 2015 r., gdy Afgańczycy i Syryjczycy tracili domy i bliskich z tych samych powodów co dziś Ukraińcy, był to dramat trudny do wyobrażenia, także ze względu na to, że odległy.

A jednak dziś wciąż trudno się połapać, jaki w zasadzie jest stosunek Polaków do uchodźców, czy nawet do referendum, które partia władzy zapowiedziała w reakcji na „przymusową relokację migrantów”, jakoby narzucaną nam przez Brukselę. W niedawnym sondażu „Rzeczpospolitej” ponad połowa pytanym stwierdziła, że nie miałyby nic przeciwko ewentualnej relokacji, gdyby Polska mogła liczyć na dodatkowe wsparcie finansowe. W tym samym

czasie dwie trzecie pytanym w badaniu dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” powiedziało, że nie popiera unijnej propozycji dotyczącej przyjmowania migrantów. Jednak według opublikowanego w lutym Europejskiego Sondażu Społecznego 65 proc. Polaków nie ma nic przeciwko osiedlaniu się w Polsce osób innej rasy.

Odpowiedzi w dużym stopniu zależą od sposobu zadania pytania sondażowego. W części badań, publikowanych zwłaszcza w mediach sprzyjających władzy, w swoim czasie nadużywano terminu „kryzys migracyjny”, sugerując, że on już ma miejsce. A to niejako zachęcało pytanym, żeby odpowiadać w sposób „antyuchodźczy”. Często w takich badaniach stosowany jest też specjalistyczny język, usiany terminologią, której ludzie po prostu nie rozumieją, a wstydzą się pytać. Dlatego najwięcej rzetelnych danych można zaczerpnąć z projektów, które nie są prowadzone w reakcji na bieżące wydarzenia, tylko systematycznie sprawdzają, jak nastawienie do różnych problemów społecznych czy grup zmienia się z upływem czasu – jak właśnie Europejski Sondaż Społeczny, Europejski Sondaż Wartości czy Eurobarometr.

To by znaczyło, że Polacy życzliwiej patrzą na uchodźców. Mimo

że do odbiorców prorządowych mediów nie docierają informacje o setkach ludzi ginących na Morzu Śródziemnym ani o ciałach znajdujących przy murze na granicy polsko-białoruskiej. W prorządowych mediach widać za to zdjęcia tłumów śniadych mężczyzn w trakcie jakichś rozruchów, a ostatnio pełno jest też doniesień podkreślających narodowość „mężczyzny z Bangladeszu”, aresztowanego w związku z zabójstwem młodej Polki w Grecji.

Ale partiom prawicowym może wystarczyć samo dotarcie do ich twardego elektoratu, mobilizacja, by poszedł do wyborów.

Chodzi o 30 proc. wiernych wyborców PiS?

Chodzi o mężczyzn, starszych i młodszych, oczywiście białych, tradycyjnie patrzących na świat, chętnie dzielących go na „nas” i „ich”, a nawet na „naszych migrantów” i migrantów „tamtych”. To podział związany z autentycznym podziałem kolonialnym Europy. Dla osób z Afryki czy Bliskiego Wschodu z przyczyn historycznych bardziej oczywista jest migracja do Holandii, Francji, Wielkiej Brytanii czy – w trochę innym wymiarze – do Niemiec. A Polska przede wszystkim powinna brać odpowiedzialność za uchodźców z Ukrainy, z którymi kiedyś tworzyliśmy jedną



państwowość. Ale to przecież nie może usprawiedliwiać narracji wykluczania, etykietowania czy dzielenia na lepsze i gorsze kategorie migrantów. Jednak polityka migracyjna dwóch prędkości i podwójnych standardów, odczłowieczania przybyszów zza Morza Śródziemnego i sprowadzania ich do „karty, którą chce grać Unia” albo Aleksandr Łukaszenka, prowadzona jest w Polsce od dawna.

I dalej może się sprawdzać?

Może, w różnym stopniu, na różnych poziomach. Antyuchodźcza narracja, co oczywiste, świetnie nadaje się do odwracania uwagi od wszystkich innych problemów wytworzonych lub nierozwiązanych przez lata sprawowania władzy, jak nieudana polityka mieszkaniowa czy polityka przeciwdziałania ubóstwu. Socjologowie od dawna zwracają uwagę na niebywałą siłę oddziaływania takich zabiegów w zestawieniu z rzeczywistą liczbą migrantów, która realnie może przybyć do jakiegoś kraju. Wiele lat temu amerykańsko-hinduski antropolog Arjun Appadurai napisał na ten temat przejmujący esej „Obawa przed małymi liczbami”. Ale takie manipulacje, zwłaszcza w odniesieniu do migracji bliskowschodnich, w Europie stosowane są od początku XXI w., kiedy w Austrii populści doszli do władzy.

2 tys. migrantów, którzy podobno mieliby przyjechać do Polski na podstawie wstępnych porozumień wewnątrz UE, to niewielka część uczestników weekendowej konwencji PiS.

Tak, kropla w 38-milionowym społeczeństwie. A w ostatnich dniach pojawiły się doniesienia, że polscy dyplomaci i tak wynegocjowali sobie możliwość odstąpienia od obowiązkowej solidarności ze względu na przyjęcie już ponad miliona uchodźców z Ukrainy.

W Polsce mamy świetne tradycje uprzedzeń bez obiektywności, na czele ze słynnym antysemityzmem bez Żydów. A Zygmunt Bauman w „Obcym u naszych drzwi” pisał, że antyimigrancka panika ma podłoże m.in. właśnie w ubożeniu Europejczyków i Amerykanów na skutek globalizacji i w potrzebie poczucia się lepszym, choćby z racji tego, że się jest u siebie. I oczywiście w pierwotnym strachu, kanalizowanym w figurze imigranta terrorysty.

Pozostaje faktem, że w skali Europy nielegalna migracja cały czas trwa, w szczególności szlakiem przez Morze Śródziemne. Wpływają na to – i będą wpływać – nie tylko nowe konflikty zbrojne, ale przede wszystkim zmiany klimatyczne. Afryka pustynnieje w dramatycznym tempie, a grupy ludzi, które docierają do Europy, to i tak tylko ułamek ruchów migracyjnych w obrębie kontynentu afrykańskiego czy azjatyckiego.

To powód, dla którego w Unii wrócono do prób regulacji tego tematu.

Tak, ponieważ wysiłki podjęte m.in. w 2015 r. nie przyniosły skutku, wspólnej polityki migracyjnej nie udało się wypracować. Ale tak jest od lat. Zawsze pojawiają się te argumenty, że biedni Afrykańczycy

najadają Europę. Prawicowo-populistyczne rządy, np. Węgier, Włoch (ale też wielu indywidualnych polityków), budowały swój kapitał polityczny właśnie na sięganiu do narracji kryzysu uchodźczego. Akurat z polskiej perspektywy warto pamiętać o tym, że w Holandii to polscy migranci w przeszłości byli tematem dla partii Geerta Wildersa, który założył nawet stronę internetową poświęconą ich zachowaniom. Brytyjskie media podnosiły bardzo podobne populistyczne argumenty. Warto zapytać, czy to było fair i adekwatne, gdy ci ludzie przyjechali ze względów zarobkowych, chcieli w miarę normalnie funkcjonować, może jakoś zaburzając życie otoczenia, bo tak to jest w miejscach zbiorowego zakwaterowania. Albo gdy brytyjscy czy holenderscy rodzice narzekali, że polskie dziecko, wchodzące do systemu, obniża poziom edukacji. Polacy szybko zapomnieli, że byli przedmiotem wielu takich krzywdzących przekonań.

Albo właśnie doskonale pamiętają...

Jeśli tak, to dobrze by było, żeby wyciągnęli lekcje z tamtych sytuacji.

W każdym razie dzięki temu, że za sprawą prawicowych populistów z różnych krajów Europy unijnej wspólnej polityki migracyjnej nie ma, polski PiS też ma argument, że działania Unii są nieskuteczne i bezproduktywne, więc nie ma sensu się w to włączać. A wyniki państwa trzyletnich badań, przeprowadzonych w ramach projektu MIMY (ang. Migrant Youth Integration & Empowerment) we współpracy z ekspertami z ośmiu europejskich krajów na młodych dorosłych migrantach, to kolejni dowody na to, że Europa sobie nie radzi. Sytuacja tych ludzi jest zła.

Jest bardzo trudna, właśnie dlatego, że każde państwo ma własne, odrębne rozwiązania. Skutek jest taki, że ponad jedna trzecia młodych ludzi, którzy przyjeżdżają do Europy z Afryki, Azji i Bliskiego Wschodu, jest zagrożonych ubóstwem. W przypadku migrantów przemieszczających się między europejskimi krajami, np. Polaków, którzy pojechali do Wielkiej Brytanii, gdy jeszcze była w Unii, ludzi z krajów bałtyckich, Bałkanów czy Rumunów wyjeżdżających do Niemiec lub Holandii, to ryzyko wynosi niecałe 20 proc.

Też niemało.

Czas wchodzenia w dorosłość stał się ogólnie trudny. Wielu młodych ma problem z założeniem gospodarstwa domowego, gniazdują w domu rodziców, bo nie stać ich, żeby za pierwsze pensje opłacać mieszkanie. Wyobraźmy sobie sytuację młodego Polaka z niezbyt majątnej rodziny, która zbiedniała jeszcze bardziej ►

► w wyniku inflacji, zmagają się ze spłaceniem pożyczek i do tego wszystkiego pojawia się konflikt zbrojny. Migranci nawet nie mają możliwości gniazdować. Musieli z domu wyjść lub uciec ze względu na wojnę, suszę albo inne napięcia społeczne, kompletny brak możliwości pracy. Często mają za sobą różne traumy, nie mówią językiem kraju przyjmującego. Jeśli tych ludzi nie wesprzemy, nie pomożemy im zbudować odporności psychicznej i nie nauczymy brania życia w swoje ręce, wszystkim nam będzie bardzo trudno.

Na ile planowane teraz w Unii działania niosą rozwiązania tych problemów?

Ten pakt, nazwany delikatnie „porozumieniem między państwami członkowskimi”, jest kolejną próbą przemyślenia, co z tą sytuacją zrobić. Z jednej strony musimy kontrolować zewnętrzne granice UE, ale z drugiej chcemy stworzyć legalne kanały migracji, jasne zasady. Zahamować handel ludźmi, ukrócić procedury przemytnicze i dochód czerpany z transportu łodziami, na których ludzie giną za kilkanaście tysięcy dolarów. Nie mając wspólnej polityki migracyjnej, nie mamy też narzędzi, by stawać do globalnego wyścigu o talenty. Pod dyktando partii prawicowych i populistycznych skupiamy się w dyskusji na osobach z grup najniżej wykształconych. Zapominamy, że tracimy również rozwiązania pozwalające ściągać wysoko wykwalifikowanych pracowników, na czym zyskują Kanada, USA, Australia i Japonia. UE tutaj jest graczem.

Tak samo potrzebne są osoby ze średnimi kwalifikacjami praktycznymi, manualnymi, jak hydraulicy, tynkarze, operatorzy maszyn różnego rodzaju. Polska też ma w tym interes, bo wciąż ma duże zewnętrzne inwestycje i potrzebuje rąk do pracy. Ludzi jest po prostu za mało względem wielkości gospodarki i jej roli geopolitycznej na przedmurzu Ukrainy, która wraz z końcem wojny stanie się jednym wielkim placem budowy. Jeśli nie będziemy konkurencyjni w przyciąganiu pracowników, przegramy rozwój i wzrost gospodarczy.

Innymi słowy, jak najbardziej potrzebna jest nam migracja zarobkowa, którą prawica populistyczna przedstawia jako nieuprawnioną i konieczną do ukrócenia, jednocześnie zresztą sprowadzając migrantów z Indii, Pakistanu i Turkmenistanu, by rozkiblować rafinerię Orlenu pod Płockiem.

To właściwie samokomentujący się przykład cynizmu. Zachęcam też, aby pamiętać o naturalnym eksperymencie społecznym, który dokonał się w Polsce w tragicznych okolicznościach wojny w Ukrainie. Przyjeżdżający do Polski



Prof. dr hab. **Izabela Grabowska** – socjolożka i ekonomistka, autorka ponad 50 publikacji międzynarodowych i polskich, szefuje Centrum Badań nad Zmianą Społeczną i Mobilnością Akademii Leona Koźmińskiego.

uchodźcy od razu zyskiwali możliwość legalnej pracy. W ten sposób trochę przypadkiem zrealizowaliśmy postulaty holenderskich ekspertów, sformułowane w głośnym raporcie „No time to lose”. Jeśli wpychamy ludzi w długie i zawile procedury uchodźcze, zamykamy na miesiące w ośrodkach, w których tracą sprawczość i samodzielność, generują się napięcia i problemy społeczne. Pierwszy dzień pobytu w kraju przyjmującym powinien być dniem, w którym zaczyna się pracę.

A co z bezpieczeństwem? Potencjalnymi powiązaniem z siatkami terrorystycznymi itd.?

Oczywiście, że trzeba ustanowić procedury i ich przestrzegać, ale to nie znaczy, że one muszą wykluczać z rynku pracy. Państwa wielokrotnie nie potrafiły wyeliminować zagrożenia terrorystycznego w innych kontekstach, także wtedy, gdy chodziło o ich obywateli, miejscowych. Ale myślę, że obecny moment w Polsce, przeciążenie ludzi pomocą to nie jest dobry czas na – nawet teoretyczną – dyskusję o dalszym zaangażowaniu, w zwiększonym zakresie, jeśli chcemy taką rozmowę przeprowadzić uczciwie i rzetelnie, a nie po to, by generować polityczne napięcia.

Lepiej byłoby z unijnym paktem zacząć?

Chciałabym, żeby jego kształt był skutkiem świadomej decyzji, wypracowanej na forum Rady UE, przy udziale ekspertów i w oparciu o wiedzę naukową. Bo narracja „przyjeżdżają tylko młodzi mężczyźni” też nie miała poparcia w statystykach. Trzeba wydyskutować rozwiązania, pokazując wysiłek pomocowy polskiego społeczeństwa, a nie zasać argumentami, rozumieć proces przemian społecznych, politycznych, klimatycznych. Pytanie nie brzmi: czy przyjmować czy nie, ale: jak mądrze i godnie przyjmować? Gdzie i jakie mamy do tego przestrzenie i zasoby?

W jakim sensie?

W dosłownym. Integracja odbywa się przede wszystkim na poziomach lokalnych. Z poziomu centralnego należy mądrze i obiektywnie dystrybuować środki, ale decyzje i rozwiązania powinny zapadać w urzędach miast. Tam jest wiedza o możliwościach, potrzebach, a także instrumenty, projekty, współpraca z trzecim sektorem. Z chęcią pytałabym o gotowość

do przyjęcia migrantów władze samorządowe i mieszkańcy. Niektóre społeczności lokalne będą bardziej skłonne, inne mniej, by w ramach mechanizmu relokacyjnego przyjąć grupę uchodźców. Zachęcałabym do tego szczególnie władze z regionów dotkniętych depopulacją. Z projektów badawczych realizowanych równoległe do naszego, w tym samym konkursie MIMY, wynika, że to jest szansa dla miast, miasteczek i wsi, żeby całkowicie się nie wyludniły. W pierwszym okresie za tymi ludźmi będą szły pieniądze publiczne, międzynarodowe, potem oni założą własne biznesy, krajobraz trochę się różnicuje, to może być ciekawe. Tatarzy krymscy, którzy przyjechali do Polski i od czegoś musieli zacząć, tworzą bardzo interesującą enklawę etniczno-kulturową, bo daliśmy im szansę.

Decyzje dotyczące pozwoleń na pracę też nie powinny zapadać w urzędach wojewódzkich, tylko miejskich – tak jak to się dzieje w Holandii i w Wielkiej Brytanii. W odniesieniu do migracji nie da się przenieść jeden do jednego rozwiązań z poszczególnych krajów do innych, ale to, że poziom lokalny jest kluczowy w zarządzaniu tymi procesami, wiemy na pewno.

Zamiast referendum krajowego o migracji proponuje pani referenda lokalne?

Nie! Nie referenda i straszące ludzi hasła. Proponuję konsultacje społeczne i rozmowy. Wiem, że dla obecnej władzy to jest niepopularne, żeby pytać o zdanie prezydentów i burmistrzów miast czy korporacje samorządowe, organizacje pozarządowe, przedstawiciele biznesu. Ale jeśli chcemy mądrych, a nie populistycznych odpowiedzi, trzeba zrobić konsultacje społeczne na poziomie lokalnym. Może powinna je zorganizować opozycja albo sektor pozarządowy. Tak wynika z prowadzonych przez nas badań w konsorcjum międzynarodowym MIMY.

Opozycja z tematem migracji też ma problem. Jej przedstawiciele deklarowali, że wcale nie popierają pomysłu relokacji migrantów.

Prodemokratyczni politycy też muszą znaleźć sposób rozmowy na ten temat z wyborcami centrowymi czy centroprawicowymi – spoza trzonu populistycznej prawicy. Ale to również jest prostsze w konsultacjach na poziomie lokalnym. To w miastach i osiedlach jesteśmy w stanie edukować – i przybyszy, i populację przyjmującą – tych, którzy będą dzielić życie z innymi: na bazarkach, w szkołach, na placach zabaw. Tam ludzie żyją, tam się integrują, tam przyjmujemy migrantów.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Partia
Zbigniewa Ziobry
przejęła całkowitą kontrolę nad
Polskim Związkiem Łowieckim, tak
jak wcześniej nad Lasami Państwowymi.
Zarówno Lasy, jak i PZŁ zarządzają ogromnym
majątkiem, z którego teraz można wspomóc
kampanię kandydatów Suwerennej Polski.

Łowy na łowczych

AGNIESZKA SOWA

© MICHAŁ PORĄCKI/SHUTTERSTOCK

Jest się o co bić. Samych pieniędzy ze składek członkowskich myśliwych jest ok. 50 mln zł w skali roku. Do tego majątek trwały, tereny, ośrodki hodowli zwierzyny (OHZ), nieruchomości, choćby 49 wypasionych siedzib zarządów okręgowych, zazwyczaj w centrum miasta (w Warszawie to kamienica na Nowym Świecie). – *To są setki milionów złotych, a wszystkie ze składek myśliwych, budowane od 100 lat, bo tyle ma PZŁ* – mówi Rafał Malec, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej.

– *A dziś przychodzi jakaś partia i chce tym wszystkim dysponować. To jest całkowite zawłaszczenie Polskiego Związku Łowieckiego przez Suwerenną Polskę.*

Chodzi więc o kasę, ale nie tylko. Suwerenna Polska (dawniej Solidarna) na bazie PZŁ buduje dziś swoje struktury partyjne. Polski Związek Łowiecki ma blisko 3 tys. kół, 49 zarządów okręgowych, do tego OHZ (17 należy do zarządu głównego, a 30 do zarządów okręgowych). – *W zarządzie głównym i w okręgowych oraz w OHZ są pracownicy etatowi, około*

340 etatów, a to świetne miejsca dla nominatów partyjnych do wywianowania za związkowe pieniądze – mówi prezes Malec. – W ciągu dwóch lat wymieniła się kadra w ok. 70 proc. Nie zatrudni się merytorycznych pracowników, naukowców, biologów, tylko nominatów politycznych z Suwerennej Polski.

Swoją wdzięczność dla partii okazać w kampanii. Choćby zapewniając kielbaski z dzika na festyn uświetniony obecnością lokalnego posła czy senatora. W dokumentach uzasadni się to promocją ►

► dziczyzny. Bo statut PZŁ przewiduje, że można pieniądze ze składek myśliwych przeznaczyć na cel związany z promocją łowiectwa. Tak było z cysterną gulaszu z dziczyzny (5 tys. porcji), którą książd Tomasz Duszkiewicz i jego protegowana Marcelina Puchalska, prezeska Ekologicznego Forum Młodzieży, zawieźli Tadeuszowi Rydzkowi na urodziny Radia Maryja. EFM nie wydało na to pieniędzy, mięso na gulasz pochodziło z kół łowieckich z lubelskiego, a wszystko załatwił łowczy okręgowy z Lublina Michał Pietrzak. Mimo hojnych datków dla Radia Maryja (gulaszowa darowizna nie była jedyna) łowczy stracił niedawno stanowisko. Choroba alkoholowa sprawiła, że nie wywiązywał się ze swoich obowiązków (nie udało mu się nawet powołać członków zarządu okręgowego) i w końcu nawet toruński parasol nie wystarczył. Zwłaszcza że łowczego zostawiła żona, prominentna sędzia.

Po linii partyjnej

Wśród sędziów i prokuratorów zawsze było wielu myśliwych, nietrudno jest więc zioibrystom znaleźć swoich i obsadzić na łowieckich stołkach.

Członkiem zarządu głównego PZŁ jest prokurator Ewa Kraska z Prokuratury Krajowej. Była bliską współpracowniczką Bogdana Świączkowskiego i to on ściągnął ją z Katowic do Warszawy. Do zarządu głównego PZŁ powołał ją w 2020 r. ówczesny minister środowiska Michał Woś (Suwerenna Polska), na wniosek łowczego krajowego Pawła Lisiaka. Czy czynny prokurator może być we władzach wykonawczych podmiotu prowadzącego działalność gospodarczą? Poseł Lewicy Arkadiusz Iwaniak ma wątpliwości. Złożył do Najwyższej Izby Kontroli zawiadomienie, że Ewa Kraska w rażący sposób łamie ustawę o prokuraturze, która stanowi, że czynny prokurator nie może wchodzić w skład organu zarządzającego osoby prawnej prowadzącej działalność gospodarczą, a taką jest zarówno Polski Związek Łowiecki, jak i koło łowieckie „Cietrzew” w Rudzie Śląskiej-Kochłowicach, gdzie prokurator Kraska jest skarbnikiem.

Nie dość na tym. Życiowy partner prokurator Kraski, Michał Gawdzik, jest łowczym okręgowym w Katowicach. Mają razem dziecko, więc nie jest to przelotny związek. Rodzi to pytanie: czy powinna być między nimi zależność służbowa, bo w PZŁ Ewa Kraska jest zwierzchnikiem swojego partnera.

Dodajmy, że matka chrzestna dziecka prokurator Kraski, czyli Aleksandra Dzieciół-Gęsiarz, jest z kolei łowczynią okręgową w Krakowie. Panie polują razem w kole łowieckim „Cietrzew”.

Głównym rzecznikiem dyscyplinarnym PZŁ został w 2018 r. prokurator Dariusz Bereza, którego Bogdan Świączkowski awansował najpierw do prokuratury okręgowej w Częstochowie, a potem na prokuratora rejonowego w Myszkowie.

– *Teraz łowczymi okręgowymi zostają tylko członkowie rodziny lub zaufani przyjaciele polityków Suwerennej Polski* – mówi myśliwy z 30-letnim stażem. Wcześniej, kiedy jeszcze partia Zbigniewa Ziobry nie była tak skonfliktowana z Prawem i Sprawiedliwością, a obóz Zjednoczonej Prawicy był rzeczywiście zjednoczony, nominacje dostawali też myśliwi związani z PiS.

I tak dwa lata temu łowczym okręgowym w Krośnie został Bolesław Kazalski, szwagier słynnego Stanisława Piotrowicza, sędziego Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, w PRL prokuratora oskarżającego opozycjonistów, nagrodzonego za zasługi w stanie wojennym. Kazalski w ogóle nie powinien otrzymać nominacji, bo ustawa Prawo łowieckie zakazuje pełnienia funkcji w PZŁ osobom, które pracowały lub współpracowały z peerełowskimi organami bezpieczeństwa. A według IPN Bolesław Kazalski, pseudonim „Leszek”, był kontaktem operacyjnym Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krośnie od 1986 do 1990 r.

Całkowite przejście kontroli nad PZŁ przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska było możliwe dzięki zmianom w Prawie łowieckim, uchwalonym w 2020 r. pod pozorem walki z ASF. Specustawa w sprawie zwalczania chorób zakaźnych u zwierząt, tzw. lex Ardanowski, zmieniła Prawo łowieckie. I w tej chwili to minister powołuje Łowczego Krajowego i zarząd główny zrzeszenia. Do czasu tej zmiany minister wręczał wprawdzie nominację Łowczemu, ale wybierał go spośród trzech zaproponowanych przez myśliwych kandydatów. To pierwsze, częściowe podporządkowanie PZŁ władzy wykonawczej, dokonało się w 2018 r. Myśliwi zawdzięczają jej jeszcze łowczemu krajowemu Lechowi Blochowi, który zaprzyjaźniony z ówczesnym ministrem środowiska, nieżyjącym już Janem Szyszka, wymyślił, że minister zapewni mu dożywotnią władzę w zrzeszeniu i ochroni go przed Naczelną Radą Łowiecką, która chciała go odwołać. I tak nowelizacja Prawa łowieckiego sprzed pięciu lat otworzyła drogę do upolitycznienia łowieckiej organizacji. Dziś już

partyjny minister decyduje po prostu sam o tym, kto będzie stał na czele PZŁ.

Wskazany przez ministra łowczy krajowy również sam, jednoosobowo, powołuje i odwołuje 49 łowczych okręgowych, uzgadniając oczywiście wszystkich kandydatów z ministrem właściwym ds. środowiska. Więc wszystkie władze w zrzeszeniu są z nadania partii Zbigniewa Ziobry, bo to ona, w myśl umowy koalicyjnej, kontroluje w resorcie leśnictwo i łowiectwo. Wiceministrem odpowiedzialnym za łowiectwo jest zioibrysta Edward Siarka, myśliwy z 20-letnim stażem. Jednak myśliwi twierdzą, że jest tylko figurantem, za sznurki dalej pociąga Michał Woś, który po kilku miesiącach szefowania Ministerstwu Środowiska wrócił do resortu sprawiedliwości Ziobry.

Sieć powiązań i muflony

Mianowany przez Suwerenną Polskę łowczy krajowy wymienił w ciągu ostatnich dwóch lat większość łowczych okręgowych. Jednak nie wszyscy popierają upolitycznienie PZŁ, bo zastanawia ich, dlaczego nagle Zarząd Główny zleca kontrolę jakiegoś obiektu, np. strzelnicy, w ich okręgu, za którą płacić muszą z okręgowej kasy. Kontrole wykonuje firma zewnętrzna, kancelaria Aventus, która obsługuje także Lasy Państwowe. Za przejrzanie dokumentów (bo na tym głównie polega kontrola) łowczy okręgowy musi zapłacić 20–30 tys. zł. Zdaniem członków NRŁ ma to na celu poprawę wyniku finansowego centrali. Zadają też pytanie: po co zatrudniać podmiot zewnętrzny, skoro PZŁ ma własne organy, które mogą bez dodatkowych kosztów prowadzić takie audyty.

Inni łowczy okręgowi ze zdumieniem stwierdzają, że w ich preliminarzach budżetowych pojawiają się pozycje, których tam nie umieścili. Dopisane wydatki opiewają na kilkadziesiąt tysięcy złotych. W preliminarzu budżetowym okręgu słupeckiego pojawiła się zaskakująca pozycja: 80 tys. zł na muflony.

Jednak łowczy okręgowi siedzą cicho i nie protestują, świadomi, że w każdej chwili mogą zostać odwołani przez łowczego krajowego. Bez wahania namawiają myśliwych do zbierania podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o obrocie polskich lasów przygotowanym przez Suwerenną Polskę.

Z kolei łowczy okręgowi i zarządy okręgów mają ogromne przełożenie na koła łowieckie i wiele instrumentów, by przywołać do porządku zarządy kół. Mogą chociażby kwestionować odstrzały,

prorowadzenie dokumentacji i wykonanie planów pozyskania zwierzyny. A nawet doprowadzić do rozwiązania koła. Wystarczy wysłać okręgową komisję rewizyjną, która potwierdzi zarzuty. Dlatego jeśli łowczy okręgowy prosi łowczego koła o dwa dziki i jelenia, to je po prostu dostaje.

Ostatni bastion łowieckiej demokracji

Kiedy niedawno PZŁ wystawiło na sprzedaż siedzibę zarządu okręgowego i strzelnicę w Gdańsku, na myśliwskich portalach pojawiły się komentarze: „Suwerenna Polska zbiera środki na kampanię wyborczą”. Pomysł sprzedaży strzelnicy uzasadniano usytuowaniem w willowej dzielnicy Trójmiasta. Lokalizacja dla strzelnicy nie najlepsza, za to teren wart ok. 30 mln zł. Jednak zarząd główny, aby transakcję przeprowadzić, musi mieć zgodę Naczelnej Rady Łowieckiej. A ta obwarowała ją takimi warunkami, jakby komentarze o zbieraniu funduszy na kampanię wyborczą uważała za uzasadnione.

– *Zanim Naczelna Rada Łowiecka wyrazi zgodę na sprzedaż, zastrzeżliśmy, że przetarg musi być otwarty, wycena dokonana przez niezależnego rzeczoznawcę, a wszystkie środki zainwestowane w okręgu gdańskim na budowę strzelnicy, ścieżki edukacyjnej i siedziby okręgu – mówi prezes Malec. – I wygląda na to, że odstąpili od sprzedaży, bo do dziś nie otrzymaliśmy wyceny dokonanej przez rzeczoznawcę majątkowego oraz nie przedstawiono zasad przetargu.*

Naczelna Rada Łowiecka jest jedynym organem PZŁ wybieranym przez myśliwych. Najpierw delegaci na zjazdach okręgowych wybierają delegatów na zjazd krajowy, a ci potem na zjeździe wybierają członków Naczelnej Rady Łowieckiej. Rada sprawuje nadzór nad zarządem głównym oraz Łowczym Krajowym, nie ma jednak możliwości ich odwołania. To może zrobić tylko minister. Więc zarząd główny nie wykonuje uchwał NRŁ i zataja przed nią podjęte przez siebie uchwały, wiedząc, że konsekwencji nie będzie.

Mimo że to minister środowiska nominuje łowczego krajowego, umowę o pracę podpisuje z nim i płaci mu wynagrodzenie Naczelna Rada Łowiecka. Pensja zresztą nie jest mała. Kiedyś było to 30 tys. zł. Było, bo teraz nie wiadomo, jaki jest tryb zatrudnienia oraz ile wynoszą zarobki łowczego krajowego. Pewne jest tylko, że dalej jest opłacany ze składek myśliwych.

Po serii pierwszych partyjnych nominacji łowczych okręgowych, szeregu wątpliwych decyzji i niewykonywaniu uchwał

Naczelnej Rady Łowieckiej przez łowczego krajowego, Rada postanowiła łowczego zdyscyplinować i sześciokrotnie zmniejszyła Pawłowi Lisiakowi wynagrodzenie (z 30 tys. do 5 tys. zł), dodając bardzo wysoką premię (500 proc.), na którą jednak musiałby sobie zasłużyć. Lisiak nowe warunki przyjął i odwołał się do sądu pracy. Domagał się też od kadrowej wypłacania 30 tys. zł. Kadrowa zażądała decyzji na piśmie. Wystawił ją dyrektor biura zarządu głównego (na polecenie łowczego krajowego) i przez pół roku łowczy pobierał nienależne mu wynagrodzenie. Ówczesny prezes NRŁ Paweł Piątkiewicz („król kłusowników”, niesławny bohater reportażu w TVN24) wręczył w końcu łowczemu Lisiakowi dyscyplinarne zwolnienie w trybie art. 52. Ten znów odwołał się do sądu pracy. Domaga się zadośćuczynienia, a nie przywrócenia do pracy. Sprawa w toku. Podobno łowczy ma już podpisany kontrakt menedżerski, jak w prywatnym biznesie. – *W ten sposób nie będzie podlegać Naczelnej Radzie Łowieckiej – mówi prezes Malec. – Tak sobie to wymyślili razem z urzędnikami Ministerstwa Środowiska.*

Ale jest też plan B.

– *W Ministerstwie Klimatu i Środowiska powstał projekt nowelizacji Prawa łowieckiego, zakładający powoływanie 16 członków Naczelnej Rady Łowieckiej przez ministra – mówi Rafał Malec. – Na szczęście sprzeciwiła się temu pomysłowi minister Moskwa i na razie projekt nie wyszedł poza resort.*

Jeżeli tak by się stało, to już wszystkie władze PZŁ zostałyby podporządkowane partii sprawującej akurat nadzór nad zrzeszeniem, a politycy zyskaliby możliwość dowolnego dysponowania jego funduszami. Podobno nowelizację przygotowano w porozumieniu z Zarządem Głównym PZŁ. Wojna między Naczelną Radą Łowiecką i Zarządem PZŁ trwa od kilku lat. Prokuratura Okręgowa w Warszawie prowadzi postępowanie dotyczące szkód, jakie Polskiemu Związkowi Łowieckiemu wyrządzić miały osoby reprezentujące Zarząd Główny pomiędzy kwietniem 2019 r. a czerwcem 2021 r. – *opiewać one mają na kwotę nie mniejszą niż milion złotych. – Sprawy nie ułatwia to, że członkiem zarządu głównego jest czynna prokurator Prokuratury Krajowej – mówi prezes NRŁ Rafał Malec.*

Na konferencji prasowej po posiedzeniu Naczelnej Rady Łowieckiej prezes Malec stwierdził, że Polski Związek Łowiecki jest w stanie rozkładu. Nie jest już organizacją społeczną tylko ministerialną, partyjną przybudówką.

AGNIESZKA SOWA

BEKSIŃSKI



KRAKÓW, ŚW TOMASZA 26

1 - 30 CZERWCA 2023

CZYNNIE CODZIENNIE

11:00 - 18:00

WORKS
ON
PAPER



MARC CHAGALL

1 - 30 CZERWCA 2023

WTOREK - SOBOTA
GODZ. 11:00 - 18:00

WARSZAWA,
UL. WILCZA 69



Oportunizm Dei

Rektor powinien stać na straży autonomii i politycznej neutralności uczelni. Ale życie jest życiem, a pieniądze daje władza. Uniwersytet Wrocławski wybrał sobie rektora związanego z Opus Dei. I teraz jest kłopot. Oraz pytanie: co wolno rektorowi?

KATARZYNA KACZOROWSKA

Kiedy prof. **Robert Olkiewicz**, fizyk i rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, zdecydował się osobiście pilnować pomnika Jana Pawła II przed zbeczczeniem, część środowiska zareagowała zdumieniem, część uznała jednak, że skoro mamy wolność wyznania, to jako parafianin może pilnować, czego tylko chce. Pomnika papieża postawionego ze składek członków jednej z największych wrocławskich parafii też. Zagotowało się, kiedy rektor wziął udział w debacie na temat zasług Jana Pawła II. Razem z europosłanką ziobrystów Beatą Kempą.

– Trudno było to w ogóle nazwać debatą, bo każdy z trojga uczestników tego spotkania wygłosił coś na kształt oświadczenia w obronie papieża. Jeden z nich, profesor

z politechniki, uznał, że ataki na Jana Pawła II to dzieło szatana. Można się oczywiście z tego śmiać, ale na plakacie zapraszającym na to spotkanie w kościele prof. Olkiewicz podpisany był jako rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, a nie jako parafianin – mówi prof. Ludwik Turko, w latach 80. związany z opozycją solidarnościową, po przełomie w 1989 r. poseł i sędzia Trybunału Stanu.

Prawdziwa bomba wybuchła jednak dopiero wtedy, kiedy rektor Olkiewicz wyszedł z uroczystości wręczenia Nagrody Viadriny, przyznawanej przez Europejski Uniwersytet Viadriny. W tym roku odbierał ją prof. Krzysztof Ruchniewicz, historyk, dyrektor Centrum im. Willy'ego Brandta na Uniwersytecie Wrocławskim, a więc podwładny rektora UW.

Prof. Olkiewicz wyszedł z uroczystości w proteście przeciwko upolitycznionej – jego zdaniem – laudacji wygłoszonej

przez Basila Kerskiego, dyrektora Europejskiego Centrum Solidarności. O dyplomatyczno-akademickim skandalu poinformowała pierwsza lokalna prasa niemiecka, a potem głosy się podzieliły. Prawa część sceny medialnej pisała, że rektor wyraził milczący protest przeciwko szkalowaniu Polski i polskiego rządu, liberalne media uznały, że naruszone zostały nie tylko zasady dobrego wychowania i dyplomacji. Rektora w obronę wzięli wojewoda dolnośląski, a więc reprezentant rządu Zjednoczonej Prawicy, a na stronie Uniwersytetu Wrocławskiego znalazło się oświadczenie, w którym można przeczytać: „W ocenie władz Uniwersytetu Wrocławskiego uroczystość wręczenia tak ważnej Nagrody powinna być poświęcona podkreśleniu zasług i osiągnięć osoby nagrodzonej, a nie miejscem wyrażania własnych – słusznych lub nie, bo nie to jest istotą problemu – poglądów politycznych.

W akcie niezgody na zamienienie laudacji na cześć prof. Ruchniewicza w polityczny wiec przez pana Basila Kerskiego, rektor prof. Robert Olkiewicz wyszedł przed zakończeniem wykładu, uznając, że tak ważna dla obu Uniwersytetów uroczystość powinna być wolna od bieżącej polityki”. – *Tylko że Nagroda Viadriny od polityki nie ucieka. W zeszłym roku przyznano ją Róży Thun. Na liście laureatów są też Tadeusz Mazowiecki i Rita Süßmuth, honoruje się zaangażowanie w porozumienie polsko-niemieckie, nie osiągnięcia naukowe, a jak to porozumienie dzisiaj wygląda, można zobaczyć na Twitterze, gdzie minister Czarnek o byłym premierze Polski pisze per „Oppositionsführer Tusk”* – mówi prof. Turko.



Opus Dei rządzi?

Prof. Robert Olkiewicz przyznaje, że w szkole średniej w ogóle nie chodził na religię. Dopiero na studiach (lata 1982–87) zbliżył się do Kościoła. Dokładniej – do Duszpasterstwa Akademickiego „Dominik”, z charyzmatycznym ojcem Ludwikiem Wiśniewskim na czele.

– *To był czas stanu wojennego i po jego zniesieniu. Kościół był dla nas miejscem wolności. Chodziliśmy z kolegami nie tylko na msze, ale też na koncerty, wykłady, dyskusje. Wtedy zacząłem czytać dużo książek wydawanych w drugim obiegu, dotyczących religii. I wybrałem* – mówi Robert Olkiewicz, który w swojej karierze akademickiej był dziekanem i prorektorem, a rektorem został w nieoczekiwanych wyborach w 2022 r., kiedy minister Przemysław Czarnek stwierdził wygaśnięcie mandatu jego poprzednika prof. Przemysława Wiszewskiego.

O to „stwierdzenie wygaszenia”, a ściślej okoliczności mu towarzyszące, wybuchła awantura – bardziej polityczna niż naukowa. Przeciwno byłemu już rektorowi ruszyli uczelniani związkowcy i... studenci. Jeden z nich był wtedy asystentem społecznym posła Krzysztofa Śmiszka, a drugi asystentem posłanki Marceliny Zawiszy i działaczem Strajku Kobiet. Pretekstem były zbyt wysokie zarobki rektora Wiszewskiego i uchybienie formalne: uzyskana po terminie zgoda rady uczelni na dodatkowe dochody – z grantu badawczego, jaki zdobył dla UW wr jeszcze jako dziekan. W kampanii wyborczej studenci poparli kontrkandydata Wiszewskiego, na którego swoje głosy przekazali też inni kandydaci.

– *I najwyraźniej nie mieli problemu z tym, że środowiska progresywne popierają człowieka związanego z Opus Dei*

– mówi w przekazem jeden z profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego.

Rektor Olkiewicz: – *Ależ studenci mnie zaatakowali, tylko że pomylili Opus Dei z Ordo Iuris. A jak się zorientowali, że z tym drugim nie mam nic wspólnego, to powiedzieli, że tak to OK, jest „miodzio”. A może powiedzieli „spoko”? I przeprosili.*

Prof. Robert Olkiewicz członkiem Ordo Iuris nie jest, choć zgadza się z niektórymi działaniami tego stowarzyszenia. Przede wszystkim prawnym wsparciem osób prześladowanych za swoją wiarę, ale też z działaniami, które OI podejmuje, by nie dopuścić do legalizacji w Polsce małżeństw jednopłciowych. Bo takie możliwości w coraz większej liczbie krajów Unii Europejskiej są, a nie ma ich w Polsce.

– *Na Polskę wywierana jest tu presja, a Ordo Iuris stara się do niej nie dopuścić* – mówi rektor Olkiewicz, który nie kryje, że jest współpracownikiem Opus Dei.

Do tej współpracy zaprosił go też fizyk prof. Jan Sobczyk, który przez kilka miesięcy po wygaszeniu mandatu prof. Wiszewskiego pełnił funkcję rektora jako najstarszy wiekiem senator uczelni. Sobczyk jest supernumerariuszem. I przyznaje, że rzeczywiście zaprosił swojego kolegę.

– *Robi się z nas katolickich masonów, którzy skrycie rządzą światem. A tak naprawdę chodzi o to, by czynami i codziennymi wyborami dawać świadectwo swojej wiary* – mówi prof. Sobczyk, który pytany, czy w tym dawaniu świadectwa mieści się udział rektora w kościelnej debacie na temat Jana Pawła II z udziałem Beaty Kempy, po chwili wahania przyznaje, że Robert Olkiewicz w takim spotkaniu mógł uczestniczyć, ale rektor Olkiewicz już powinien ten udział rozważyć.

Po chwili prof. Sobczyk sięga po słowa przestrogi założyciela Opus Dei Josémarii Escrivy (nie stawiając kropki nad „i”, kogo mogłyby dotyczyć w polskiej sytuacji): „Przy pomocy dobrze zorganizowanych kampanii politycznych udaje się im zbici z tropu opinię publiczną, wywołując przekonanie, że tylko oni mogą być przedmurzem, obroną Kościoła w konkretnych okolicznościach. (...) Utrzymują przez cały czas, przez jaki im się udaje, sztuczną sytuację zagrożenia, żeby katolicycy obywatele wspierali partię, która oficjalnie przyjęła obronę Kościoła. (...) Niekiedy oszustwo jest tak rzeczne, że nawet władze kościelne nie zdają sobie z niego sprawy i w jakiś sposób popierają taką wyznaniową partię. (...) Katolicy oficjalni, którzy rządzą w tej partii, nie są gotowi na utratę swojej uprzywilejowanej pozycji i próbują utrzymać ją za wszelką cenę. W tym celu zaczynają stosować szantaż moralny. Albo

oni będą dalej przy władzy, ze wsparciem hierarchii, albo wszystko się zawali, dlatego że otwartą drogę będą mieli nieprzyjaciele Kościoła”.

Prawnik związany z wydziałem, który poparł Olkiewicza w walce wyborczej: – *Zdumiał mnie atak na rektora, że jest związany z Opus Dei. Nigdy ani jako dziekan, ani jako prorektor nie dał ludziom odczuć swoich poglądów politycznych czy zaangażowania religijnego. A tu nagle wytoczono armatę, że sekciarz...*

Prof. Ludwik Turko, też fizyk: – *Rzeczywiście kwestia zaangażowania religijnego w przypadku Roberta nie miała wpływu na jego decyzje czy działania. Aż został rektorem... A rektorowi wolno mniej. Reprezentuje na zewnątrz nie tylko siebie i swoje prywatne poglądy, ale całą społeczność akademicką, jakkolwiek patetycznie to brzmi. Wierzących, niewierzących, agnostyków, prawych, lewych i środkowych. I tu nie ma żadnej płaszczyzny do dyskusji.*

A rektor Olkiewicz tłumaczy, że jego współpraca z Opus Dei polega na udziale raz na dwa miesiące w konferencji, czyli spotkaniu, podczas której odczytywany jest fragment rozważań Josémarii Escrivy, założyciela OD, dyskusji o tych rozważaniach i wspólnej modlitwie. W przerwie są oczywiście rozmowy uczestników konferencji.

– *Nie biczą się, nie mam włosienicy* – mówi prof. Olkiewicz i deklaruje, że przyjąłby do pracy każdego bez względu na poglądy, jeśli będzie spełniał wymogi konkursu i przejdzie proces rekrutacji.

– *Kodeks pracy nie przewiduje pytań o wyznanie, przynależność partyjną, poglądy. Jeśli ktoś ma osiągnięcia, jest przygotowany merytorycznie, to jego wiara czy legitymacja partyjna mnie nie interesuje. Sam zresztą nigdy do żadnej partii nie należałem i nie należę* – deklaruje rektor Uniwersytetu Wrocławskiego. I od razu na pytanie o wpływy Opus Dei na polskich uczelniach odpowiada: – *Niewielkie albo żadne. Wpływają w Hiszpanii, gdzie Opus Dei ma swój uniwersytet, i w Argentynie, ale nie w Polsce.*

Ilu członków Opus Dei pełni wysokie funkcje na polskich uczelniach? Nie wiadomo. Przynajmniej oficjalnie.



Fizyka, polityka i matematyka

Znajomy rektora Olkiewicza, także profesor: – *W dzisiejszej polskiej rzeczywistości kierowanie publiczną uczelnią jest jak chodzenie po bagnie. Chwila nieuwagi i wpada się w grząski grunt. Jesteśmy ▶*

► *zależni od ministra, który daje nam pieniądze na utrzymanie. A że może nie dać, pokazała kara, jaką minister Czarnek wymierzył socjologom z Polskiej Akademii Nauk, nie dając im pieniędzy na podwyżki, przewidziane zresztą ustawą. Bo nie odcięli się od prof. Engelking.*

W styczniu 2023 r. premier Mateusz Morawiecki przyznał Uniwersytetowi Wrocławskiemu 80 mln zł w bonach skarbowych na budowę Centrum Badań Fizycznych i Chemicznych UW. Bomba wybuchła, kiedy się okazało, że Centrum będzie nosić imię Kornela Morawieckiego, ojca premiera. Wniosek o przyznanie funduszy (całość inwestycji ma kosztować ok. 800 mln zł) został z uczelni wysłany w listopadzie 2022 r. z pominięciem senatu.

Byli pracownik uczelni: – *Opowieści korytarzowe były takie, że premier spotkał się z rektorem, a ten pod wrażeniem spotkania upadł na pomysł upamiętnienia Morawieckiego seniora, przynajmniej formalnie, bo tak naprawdę chodziło o pieniądze na inwestycję. A tu granat wybuchł w rękę.*

Rektor Olkiewicz: – *Centrum na razie imienia nie ma. O tym, czy Kornel Morawiecki będzie jego patronem, zdecyduje senat naszego uniwersytetu.*

W styczniu 2023 r. dziennikarzowi „Gazety Wrocławskiej” należącej do Polska Press tłumaczył: „Nie jest tajemnicą, że starania o budowę tej nowej siedziby trwają już od lat. (...) Propozycja patrona była moją inicjatywą, którą konsultowałem w środowisku prorektorów i kolegów z wydziału. Nikt nie zgłaszał wątpliwości”. I wyjaśnił, że Morawiecki senior, absolwent fizyki na Uniwersytecie Wrocławskim, „na uczelni realizował doktorat u prof. Jana Rzewuskiego, jednego z współtwórców Instytutu Fizyki Teoretycznej. (...) Nie zapominajmy o jego niepodważalnych zasługach w działaniach w opozycji demokratycznej. Jeśli chodzi o Wrocław, to jedna z wybitniejszych postaci pod tym względem. Przecież symbolami opozycyjnego Wrocławia tamtych czasów są Władysław Frasyniuk, Pomarańczowa Alternatywa i właśnie Kornel Morawiecki i jego Solidarność Walcząca”.

Jeden z kolegów naukowców rektora Olkiewicza: – *Można było wytykać rektorowi, że dba o swoich, a więc o fizyków, a nie np. historyków czy filologów. Ale nazwisko potencjalnego patrona Centrum wszystko sprowadziło do bieżącego konfliktu politycznego. I to jest zasadniczy problem, bo dzisiaj na polskich uczelniach wszystko może się stać polityczne.*

Nie tylko Morawiecki jako patron, ale fe-minatywy czy badania, które jakiś polityk uzna za niezgodne z polską racją stanu. Cokolwiek pod tym hasłem się kryje.

Profesor z Uniwersytetu Wrocławskiego: – *8 maja był u nas wiceminister obrony narodowej Marcin Ociepa, który miał wykład zatytułowany „Świat od nowa. Wnioski z rosyjskiej agresji na Ukrainę dla polskiej polityki zagranicznej i obronnej”. Potem był czas na rozmowy. Czyli – jak rozumiem – na kampanię, bo na ten wykład zapowiedzieli się kurator dolnośląski, i wiceminister nauki Wojciech Murdzek, notabene członek bractwa Komunia i Wyzwolenie.*

Po chwili jednak dodaje, że gołym okiem widać było do niedawna strategię „panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”, bo równocześnie na wniosek rektora Olkiewicza Kolegium Rektorsko-Dziekańskie UW 17 maja jednogłośnie przyjęło uchwałę, w której uznało, że „wolność wyrażania poglądów jest fundamentalną zasadą społeczeństwa obywatelskiego i nawet najtrudniejsze kwestie etyczne, moralne lub polityczne powinny być rozważane w otwartej debacie naukowej, prowadzonej bez obawy przed jakimikolwiek sankcjami”.



Poligon ministra Czarnka

To odpowiedź na działania ministra Czarnka, ale też wsparcie wspólnego stanowiska Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności, Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Parlamentu Studentów RP, Krajowej Reprezentacji Doktorantów, Rady Dyrektorów Jednostek Naukowych PAN i wielu innych organizacji akademickich w sprawie zapewnienia wolności badań naukowych.

Prof. Turko: – *Od lat nie widziałem takiej zgody w środowisku akademickim, które jest podzielone, z reguły bojaźliwe i stara się wychodzić z założenia, że ministrowie i rządy się zmieniają, a uniwersytety i politechniki trwają, i na tym trzeba się skupiać.*

Kolega rektora Olkiewicza: – *Pierwsi uchwałę podjęli socjologowie. Myślałem, że rektor ją zignoruje, w myśl zasady „ciszej nad tą trumną”. I przyznam, że mnie zaskoczył, bo w tym samym czasie na jednej z publicznych uczelni władze odwołały studencką debatę o praworządności, a wcześniej mieliśmy skandal z odwołaniem na Uniwersytecie Warszawskim wykładu dr Machińskiej, która upomina*

się o uchodźców koczujących na granicy białoruskiej.

W 2018 r. ówczesny dziekan Wydziału Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, późniejszy jego rektor (ten od skróconej kadencji), prof. Wiszewski, wystosował list otwarty do ówczesnego wiceministra nauki prof. Aleksandra Bobki. Ten bowiem w apelu do wszystkich jednostek, które prowadzą badania z zakresu nauk humanistycznych i społecznych, napisał: „Nieobecność polskich naukowców na arenie międzynarodowej prowadzi do tego, że są nam narzucone inne narracje, które mogą marginalizować znaczenie polskiej kultury i historii. Powinnością badaczy zorientowanych na kulturę narodową oraz historię regionalną winno być nie tylko badanie lokalnych ojczyzn w sposób cechujący się doskonałością naukową, ale również pokazywanie światu bogactwa polskiej kultury oraz prezentowanie na forum międzynarodowym polskiej racji stanu”.

Apel nie wzbudził zainteresowania, choć zareagował na niego Wiszewski, mediewista, który ministrowi odpowiedział m.in.: „nie rozumiem, jak zarządzający nauką 30 niemal lat po upadku opresyjnego systemu politycznego mogą mówić, że rolą nauki jest prezentowanie »polskiej racji stanu«? Nigdy po 1989 r. nie słyszałem tak szczerego i tak sprzecznego z samym sednem etosu badacza, w tym historyka, nakazu – bo co innego sugeruje zwrot »winno być«? – ze strony ludzi władzy jak ten, który zacytowałem”.

Profesor z UW: – *Uczelnie pod nadzorem Czarnka są poligonem doświadczalnym dla władzy. Łatwo je pacyfikować, bo to władza decyduje o pieniądzach. Olkiewicz jako prorektor był człowiekiem cienia, jako rektor daje twarz wszystkim decyzjom, które podejmuje. I pilnowaniu po nocy pomnika papieża, bo proboszcz gdzieś usłyszał, że go będą farbą polewać, i apelowi o wolność badań. Ten apel pokazywał, że się uczy, ale skandal w Viadrinie traktowałbym jednak jako pozornie apolityczne opowiedzenie się po jednej ze stron politycznych. Choć i tak to, w jakiej jesteśmy sytuacji, zobaczymy dopiero w październiku, po wyborach parlamentarnych.*

W październiku na uczelniach zaczęła się też kampania wyborcza – nowi rektorzy będą wybierani wiosną 2024 r. Rektor Olkiewicz nie kryje, że będzie się ubiegał o reelekcję.

– *Ale krajobraz ułoży nam tak naprawdę Sejm. I nowy rząd – mówi profesor z Uniwersytetu Wrocławskiego.*

KATARZYNA KACZOROWSKA



Robert Lewandowski podczas meczu Mołdawia–Polska przegranego 3:2.

© PAPI PIOTR NOWAK

Od Wembley do Kiszyniowa

Porażka z Mołdawią w okolicznościach przynoszących polskim piłkarzom wstyd skłoniła do pytania: dlaczego Polacy nie potrafią grać w piłkę?

STEFAN SZCZEPŁEK

Pytanie wraca zawsze wtedy, kiedy przegrywamy mecz z teoretycznie słabszym przeciwnikiem, nie kwalifikujemy się na turnieje rangi mistrzostw świata i Europy lub szybko z nich odpadamy. Czyli dość często. Skoro takie sytuacje się powtarzają, to może nie powinno się mówić o rozczarowaniach, tylko przyjąć z pokorą do wiadomości fakt, że Polacy nie są stworzeni do piłki nożnej. W przeciwieństwie do Brazylijczyków, Argentyńczyków, Holendrów, Niemców, Brytyjczyków, Hiszpanów, Francuzów czy Włochów.

Trudno się zgodzić z taką tezą, śledząc od kilku lat karierę Roberta Lewandowskiego, który stał się w tym czasie jednym z najbardziej znanych sportowców świata, w dyscyplinie uprawianej od Pruszkowa po Tasmanię. Tyle że Lewandowski zadziwia za granicą, jest jeden, a żeby osiągać sukcesy w futbolu,

potrzebnych jest co najmniej 11 dobrych graczy. Muszą mieć odpowiednich trenerów i warunki do pracy.

W reprezentacji Polski nie ma 11 zawodników choćby na europejskim poziomie, Lewandowski będzie obchodził w sierpniu 35. urodziny, a wśród obrońców walczących przeciw niemu jest coraz więcej takich, którzy za punkt honoru przyjęli sobie zakończenie jego kariery. Kiedy Lewandowski gra w Bayernie lub Barcelonie, ma wokół siebie inne gwiazdy, z którymi się rozumie i które obsługują go podaniami, wiedząc, że zakończy je golem. W reprezentacji Polski nie ma zawodników na miarę Thomasa Muellera, Serge'a Gnabry'ego, Joshuy Kimmicha czy Raphinhy. Fakt, że w meczu z Mołdawią pierwszego gola strzelił Arkadiusz Milik z podania Lewandowskiego, a drugiego Lewandowski z podania Milika, dobrze świadczy o obydwu. Ale to powtórka sprzed lat, kiedy obydwaj byli czołowymi napastnikami reprezentacji Adama Nawalki. Od tamtej pory nie pojawił się nikt równie utalentowany.

Dla Lewandowskiego to była pierwsza bramka od mundialu, a dla Milika – pierwsza od jesieni 2021 r. Może to łabędzi śpiew tej pary. Kiedy byli młodzi i w wyższej formie, grali lepiej nie tylko dlatego, że byli dobrzy, ale że mieli obok innych wybitnych na polskie (ale i europejskie) warunki: Jakuba Błaszczykowskiego, Łukasza Piszczka (obydwaj mistrzowie Niemiec, finaliści Ligi Mistrzów), Grzegorza Krychowiaka (dwukrotnego zdobywcy Pucharu Ligi Europy w barwach Sevilli), Kamila Glika (wyróżniającego się środkowego obrońcy AC Torino i AS Monaco), Kamila Grosickiego (szybkiego skrzydłowego Stade Rennais, Hull i West Bromwich). Odeszli piłkarze czasami krytykowani, ale to byli „chłopcy z charakterem”.

Gdyby wszyscy grali w Kiszyniowie, nie doszłoby do kompromitacji. Ale Łukasz Piszczek (rocznik 1985) pożegnał się z kadrą po mundialu w Rosji, Krychowiaka (33 lata), Glika (35) i Grosickiego (35) po mistrzostwach w Katarze nie powoływano, a Błaszczykowskiemu, ►

► nieobecnemu w kadrze od trzech lat, urządzono przed niedawnym meczem z Niemcami pożegnanie, godne jego kariery i postawy fair play.

Dziś w reprezentacji Polski nie ma już tak charyzmatycznych postaci. Zmiana pokoleniowa powoduje, że nowi zawodnicy bywają zagubieni i nie ma nikogo, kto mógłby nimi pokierować. To ich jednak tłumaczy w niewielkim stopniu. Prawie wszyscy grają w dobrych klubach europejskich. Piotr Zieliński i Bartosz Bereszyński są mistrzami Włoch, Sebastian Szymański – Holandii, Przemysław Frankowski wybrano do najlepszej jedenastki sezonu ligi francuskiej, Jakub Kiwior przebija się do pierwszej drużyny Arsenalu Londyn, Nicola Zalewski jest podstawowym obrońcą AS Roma, Karol Świdzki strzela regularnie bramki w lidze USA, Juventus właśnie przedłużył kontrakt Arkadiusza Milika, Wojciech Szczęsny jest wciąż czołowym bramkarzem Serie A.

Dlaczego przegrali z zawodnikami Mołdawii, których nikt nie zna?

Ponieważ są zawodowcami tylko z nazwy. Prawdziwi profesjonalści widząc, że przeciwnik trzęsie przed nimi spodkami, dołożyliby do tych dwóch szybko zdobytych bramek dwie kolejne i w drugiej połowie mogliby sobie grać z nimi „w dziadka”. Nie zmęcziliby się, nie ryzykowali i na wakacje, o których myśleli pewnie częściej niż o pracy, wyjechali by wypocząć.

Nazajutrz po meczu prezes PZPN Cezary Kulesza wezwał na pilną rozmowę trenera Fernando Santosa. Zagranie typowo piarowskie. Prezes postawił na dywaniku selekcjonera, bo nie mógł wezwać całej reprezentacji, która się zblamowała. Na problemy drużyny narodowej kolejni selekcjonerzy mają ograniczony wpływ. Oni tylko typują najodpowiedniejszych ich zdaniem zawodników, wybierają dla nich ustawienie, taktykę, przeprowadzają trzy–cztery treningi, bo na więcej nie ma czasu. I to wszystko. Reszta w nogach graczy. No, jeszcze w głowach.

Kazimierz Górski, który był trenerskim geniuszem, potrafił dobrą drużynę i taktykę odpowiednio do przeciwnika. Ale kiedy reprezentacja wychodziła na boisko, zwykł mawiać: „Moja rola kończy się w momencie pierwszego gwizdka sędziego. Teraz moje miejsce zajmuje Kazimierz Deyna. On jest waszym szefem”. Do kogo takie słowa mógłby skierować Fernando Santos? Nie ma nikogo takiego jak Deyna czy Boniek.

Problemem polskiej reprezentacji nie są selekcjonerzy.

Może z wyjątkiem dwóch poprzednich. Paulo Sousa traktował PZPN jak bankomat, bo płacono mu bez względu na wyniki, a i tak porzucił tę pracę dla lepszej. Czesław Michniewicz był słabym trenerem, którego na szczyt wyniosła sytuacja towarzyska i polityczna. Nie dawał sobie rady w pracy, która go przerosła, i nie potrafił się zachować także poza boiskiem.

Fernando Santos sprawia wrażenie zupełnie innego trenera. To jest stateczny starszy pan (urodził się w 1954 r.), osiągał sukcesy z klubami i reprezentacją Portugalii. Praktykujący katolik, ceniący sobie rzetelną pracę i uczciwość. Chyba też trochę naiwny, bo tego samego oczekuje od zawodników. Podobno jest to pierwszy trener od czasu Franciszka Smudy, którego zawodnicy się boją, ale jakoś tego nie widać. Nikt tak jak Santos nie zaczynał pracy z reprezentacją. W marcu, po trzech minutach spotkania w Pradze, Czesi prowadzili z nami 2:0. Już wtedy miał prawo pomyśleć: w co ja się wpakowałem, przecie to są amatorzy. Minęły niecałe trzy miesiące i historia powtórzyła się w Kiszyniowie, tylko minuty strat bramek i ich kolejność były inne. O czym ci zawodnicy myśleli, wychodząc na boisko?

To są w kilku przypadkach ci sami gracze (z Lewandowskim włącznie), którzy podczas mistrzostw świata w Katarze, przed meczem z Francją, w środku nocy razem z trenerem liczyli i dzielili między siebie premie, jakie obiecał im premier Mateusz Morawiecki. Nie ma to wiele wspólnego z profesjonalizmem. A poza tym wykazali się naiwnością, bo wprawdzie obiecał, ale to nie znaczyło, że da.

Czy tak w polskiej piłce było zawsze? Z grubsza tak. Reprezentacja Polski dziewięciokrotnie wystąpiła na mistrzostwach świata, dwa razy kończyła je na trzecim miejscu, więc czymś się w historii futbolu zaznaczyła. W 1974 r. nasza ofensywna gra (w siedmiu meczach mistrzostw świata Polacy strzelili 16 bramek, najwięcej ze wszystkich zespołów) stała się wzorem dla całego świata. Kazimierz Górski inspirował trenerów w najbardziej rozwiniętych piłkarsko krajach.

Ale to był epizod. Anglia i Szkocja dały światu nowoczesny futbol. Brazylia – piękną grę, opartą na cyrkowych zdolnościach panowania nad piłką i nowatorskim ustawieniu graczy – brazylianie. Była węgierska złota jedenastka, szwajcarski rygiel, włoskie catenaccio, niemiecki walec, czeska uliczka, holenderski

futbol totalny, hiszpańska tiki taka.

Polacy dali piłce nożnej cwaniactwo. Cechę wyrabiającą w narodzie od XIX w., kiedy trzeba było walczyć z zaborcą i pokonywać go sposobem. Potem oszukiwać niemieckiego okupanta, a wreszcie urządzić się w demokracji ludowej, gdzie wszystko było wspólne, więc można było kraść. Bo przecie, jak coś było państwowe, to nasze. Praca została na drugim planie, bo przecie „się się stoi, czy się leży...”.

Polska piłka przed wojną była amatorska faktycznie, a po wojnie tylko z nazwy. Ponieważ w Moskwie uznano, że sport jest dobrym nośnikiem propagandy, robiono wszystko (łamając zasady i przepisy), aby sportowcy radzieccy, stojąc na najwyższych stopniach podium igrzysk olimpijskich czy mistrzostw świata, dawali świadectwo wyższości ustroju komunistycznego nad kapitalizmem.

Sowieckie wzory przeniesiono do Polski, a to oznaczało przyzwolenie na kręactwa.

W przypadku piłki nożnej wyglądało to tak, że na różnych etapach historii PRL faworyzowane były kluby związane z konkretnymi resortami. Kiedy trwała zimna wojna, CWKS Legia pod pretekstem służby wojskowej mogła sprowadzać do Warszawy najlepszych młodych piłkarzy z całego kraju. Milicyjne Gwardia w stolicy czy Wisła w Krakowie miały nad sobą parasol Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Kiedy potrzebny był węgiel (a zawsze był), Górnik Zabrze zdobywał seryjnie tytuł mistrza Polski. Korzystał i hutniczy Ruch Chorzów. Czasami kluby dzieliły się trofeami, zgodnie z ustaleniami nie na boisku, ale w gabinetach ministerstw. To nie przypadek, że drużyna ze Śląska zdobyła ostatni raz tytuł mistrza Polski w 1989, czyli roku przemian ustrojowych. Dopiero w 2019 r. sukces Ruchu powtórzył Piast Gliwice, niemający nic wspólnego z górnictwem. Kiedy w połowie lat 70. Zagłębie Sosnowiec – klub, któremu kibicował Edward Gierek – było po rundzie jesiennej bardzo poważnie zagrożone spadkiem, wiosną wygrało większość meczów i utrzymało się w lidze. Wystarczyło, że przed zawodami do szatni sędziów wszedł trener lub działacz Zagłębia z kurtuazyjną wizytą, która zwykle kończyła się rzuconą mimochodem uwagą: Aha, oczywiście wiecie panowie, że towarzyszy pierwszy sekretarz jest zainteresowany wynikiem dzisiejszego meczu?



Gierek mógł o tym nawet nie wiedzieć. Zawsze był jednak ktoś ważny na różnych poziomach władzy, na kogo się powoływało. Sportowcy i kibice to wszystko widzieli, więc piłkarze mieli prawo zadać sobie pytanie: jaki to ma sens, skoro niewiele zależy od nas. Nie warto było trenować, można było pić i oddawać się innym, zresztą nielicznym, rozrywkom.

Sytuacja nieco się zmieniła, kiedy Gierek został szefem partii i państwa. On, w przeciwieństwie do Władysława Gomułki, rozumiał integracyjną i propagandową rolę sportu, a w dodatku słuchał młodych doradców partyjnych. Kiedy zapalił zielone światło, nagle wszystko się zmieniło. Kluby, zwłaszcza śląskie, nie wymyślały już argumentów przeciw oddawaniu swoich zawodników do kadry narodowej, tłumacząc, że to grozi kontuzjami. Legioniści bez problemów dogadywali się z zabrzanami, a wszyscy razem mieli (śmy) niezwykle szczęście, że na dwa tygodnie przed przyjściem Gierka trenerem reprezentacji został Kazimierz Górski.

Tyle że wraz z sukcesami pucharowymi Legii i Górnika, złotym medalem olimpijskim i po wyeliminowaniu z mistrzostw świata Anglii zaczęły się wymagania oraz roszczenia. Piłkarze poczuli swoją siłę, bo też mieli ku temu wyjątkowe powody. Dlaczego mieli wciąż zarabiać grosze w porównaniu z niebotycznymi gażami przeciwników, których pokonali?

Do tej pory jednym z głównych źródeł zarobku reprezentacyjnych sportowców był przemysł (dotyczyło to wszystkich dyscyplin i krajów socjalistycznych). O niewyobrażalnych pomysłach sportowców-szmuglerów można napisać książkę. Jednak było w tym coś upokarzającego, bo przemysłem trudni się zwykle ktoś biedniejszy. A nasi chcieli zerwać wreszcie etykietę ubogiego krewnego i zacząć zarabiać na tym, w czym są dobrzy.

Robert Gadocha jeszcze przed mundialowym turniejem w Niemczech podpisał w tajemnicy umowę wstępną z klubem Bundesligi MSV Duisburg. Wtedy to było marzenie każdego polskiego piłkarza. Ale dla Gadochy to był przyczółek, więc szalał na boiskach, pragnąc zwrócić na siebie uwagę lepszych klubów. Polska zajęła trzecie miejsce, a jemu przyznano tytuł najlepszego lewoskrzydłowego świata. Rok później został piłkarzem FC Nantes. Jako pierwszy piłkarz drużyny Górskiego przeszedł oficjalnie do zawodowego klubu, stając się obiektem zawiści, ale i przykładem dla wielu kolegów.

Kiedy na tych samych mistrzostwach w Niemczech podczas strzału w meczu

z Włochami Kazimierzowi Deynie pękł but, nazajutrz Adidas, który pierwszy raz ubierał polskich piłkarzy, przywołał mu drugą parę. Ale Deyna zwrócił uwagę, że to samo może się zdarzyć każdemu innemu graczowi. Działacze nie chcieli zostać z tyłu, więc i oni zażądali od firmy świadczeń. Wszystkie zostały spełnione.

Polacy dowiedzieli się, że włoscy piłkarze pobierają od dziennikarzy pieniądze za udzielenie wywiadu. Powstał więc w ich głowach pomysł, aby po zwycięstwie nad Włochami pobierać od dziennikarzy włoskich dwa razy tyle, bo jako triumfatorzy są warci dwa razy więcej. Kiedy skarbnik polskiej ekipy wypłacał na miejscu zawodnikom drobne kwoty w formie diet i premii, jeden z graczy, najbardziej obrotowy, z kalkulatorem w głowie, zapytał, według jakiego kursu płaci. Bo między tym we Frankfurcie a w Londynie jest różnica jednego feniga. Z mundialu pięciu zawodników, sekretarz generalny PZPN i komentator TVP Jan Ciszewski wracali najnowszymi modelami BMW, ponieważ firma uznała, że warto dać 42-procentową zniżkę komuś, o kim mówi cały świat.

Szybko się uczyli. Tak szybko, że wkrótce pieniądze stały się ważniejsze od wyników. Jeszcze siłą rozpędu zdobyli srebrny medal olimpijski w Montrealu, ale już nawet Kazimierz Górski przestał być dla nich autorytetem, tym bardziej że on nie gonił za pieniędzmi. Złota era trwała zaledwie niecałe sześć lat. Kończyła się era romantyzmu.

Na mundialu w Argentynie zawodnicy klócili się z działaczami o premie. Na mundialu w Hiszpanii zajęli trzecie miejsce, bo obudzili się w nich duch narodowy. W Polsce trwał stan wojenny, a wszyscy piłkarze znaleźli się w opozycji (Jana Tomaszewskiego już w kadrze nie było). Wyjazdy zagraniczne zawodników stawały się normą, choć wciąż były marzeniem. Nic dziwnego, że do „Piłkarskiego pokera” (premera w 1988 r.) trafiła scena, w której żona (Adrianna Biedrzyńska) zwraca się nieparlamentarnymi słowami do męża – piłkarza klubu Czarni Zabrze (Mariusz Benoit): „Ty mniej gorzółka pij, ty więcej trenuj, ty zagranicą jedziesz, ciulu ty”. Janusz Zaorski, pytany, kiedy nakręci część drugą filmu, od lat odpowiada tak samo: „Kiedy pierwsza przestanie być aktualna”.

Nie wszystkim takie wymarzone wyjazdy wyszły na dobre. Przeskok z siermiężnego biednego kraju do krain mlekiem i miodem

płynących, bez obycia, kontaktów z literaturą, znajomości języka i obyczajów, okazał się trudny. Na miejscu dowiadawali się, że tam płacą za pracę, a nie obecność, a do tego polscy piłkarze nie byli przyzwyczajeni. Narzekali więc zwykle, że mało grają, bo trenerzy niszczą ich za to, że są Polakami.

Pokonywała ich też technologia. Jeden ze słynnych napastników, powołany przez trenera Wojciecha Łazarka na mecz z Cyprem, postanowił zaszpanować przed kolegami. Kupił sobie w Hamburgu najnowszy model Mercedesa i ruszył nim w drogę do Gdańska. Przyjechał na zbiórkę – co weszło do piłkarskich anegdot – niemal upieczony, bo nie wiedział, jak się wyłączyć ogrzewanie siedzenia kierowcy. W dodatku Polacy zremisowali wtedy z Cyprem, co nie było ani pierwszą, ani ostatnią kompromitacją reprezentacji. No bo jak to? Z Cyprem to wygramy na kacu i jedną nogą.

Dziś polscy piłkarze są obywatelami świata. Grają w najlepszych ligach, kupują mieszkania i wille za granicą, prowadzą rozmaite interesy, pomnażając swoje majątki (poza tymi, których zgubił alkohol, hazard i bukmacherka). Jeżdżą takimi samymi samochodami jak ich koledzy klubowi, którzy bywają mistrzami świata, zwycięzcami Ligi Mistrzów. Porozumiewają się zazwyczaj w kilku językach. Są milionerami. Zgrupowania kadry stanowią dla nich okazję do zaszpanowania drogimi zegarkami. Brylują w internecie wraz ze swoimi efektywnymi partnerkami. Osiągnęli sufit, są syci. To co się będą męczyć z Mołdawianami w Kiszyniowie.

Po „zwycięskim remisie” w 1973 r. na Wembley i brązowym medalu w Niemczech w 1974 r. książki o Polakach napisali m.in. Karol Zbyszewski (sam był w młodości piłkarzem) – „Nogami do sławy” – oraz Wiktor Osiatyński, o którego związkach ze sportem nie słyszałem. Nosila tytuł „Przez Wembley do Monachium”. Tytuł mówił o drodze do sukcesu. Wembley było szczyblem, Monachium – celem. Minęło 50 lat i dziś taka książka, pokazująca degrengoladę polskiego futbolu

za piękną fasadą sukcesów Roberta Lewandowskiego w zagranicznych klubach, mogłaby nosić tytuł „Od Wembley do Kiszyniowa”. Byłaby to książka o upadku, do którego doprowadziły przede wszystkim pieniądze, nieetycznie wysokie w stosunku do umiejętności piłkarzy i ich podejścia do pracy.

STEFAN SZCZEPŁEK





Kasa prawa i lewa

PiS manipuluje budżetem państwa, żebyśmy stracili orientację, co naprawdę dzieje się z naszymi pieniędzmi. A obywatele są od tego, by spłacać zaciągnięte przez rząd długi... Takie są konkluzje miażdżącego raportu NIK, oceniającego wykonanie budżetu za 2022 r.

JOANNA SOLSKA

Z podobną sytuacją jeszcze nie mieliśmy do czynienia po 1989 r. Po tak negatywnej ocenie ze strony NIK rząd natychmiast powinien zostać odwołany. Ale widać, że Marianowi Banasiowi, mianowanemu na stanowisko prezesa NIK przez kolegów z PiS, zadrżała jednak ręka: kolegium NIK nie odmawia wprost udzielenia rządowi absolutorium.

– Zostawiamy tę sprawę posłom. Zapewne ktoś z opozycji taki wniosek złoży, mocno krytyczna analiza zarządzania finansami państwa daje do tego podstawę – twierdzi nasz rozmówca z NIK. Praktycznego znaczenia to i tak nie ma, ponieważ sejmowa większość wniosek odrzuci. Co pośrednio potwierdza stawiane przez NIK zarzuty, że posłowie pozwolili sobie odebrać gwarantowane im konstytucyjnie prawo i obowiązek decydowania o wielkości i celowości wydatków państwa. Pozwolili rządzić partii: spektakularna dymisja wszystkich wicepremierów, których zastąpił jeden – prezes PiS Jarosław Kaczyński – jeszcze to podkreśla.



Ani obywatele, ani ich reprezentanci w parlamencie nie wiedzą, ile pieniędzy naprawdę wydaje nasze państwo ani na co. Powinna to pokazywać ustawa budżetowa, najważniejsza w roku, za złamanie której premierowi oraz ministrowi finansów grozi Trybunał Stanu, ale od kilku lat prawdy z niej wyczytać nie sposób. Stała się atrapą, wyduszką. Pokazuje zaledwie część prawdziwych wydatków, ale także wpływów państwa. Coraz większa pula środków rozdysponowywana jest poza nim, powstał drugi budżet, poza wszelką kontrolą. Premierowi stwarza to wielki komfort rządzenia, nic go w wydawaniu pieniędzy nie ogranicza, nikt nie rozlicza. Społeczeństwu może opowiadać o urojonych sukcesach i ukrywać wielkość szybko rosnących długów. Na zasadzie „po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy”.

Po 2020 r. wielkość lewego budżetu zaczęła szybko rosnąć. W raporcie NIK pada określenie „prywatyzacja państwa”. Coraz większe sumy są transferowane z budżetu prawdziwego do kieszeni beneficjentów, wskazanych przez partię rządzącą albo

nawet, pośrednio, do partyjnej kasy. Jak „willa plus”. To skrajna patologia, uwłaszczenie się na majątku publicznym.

Premier Morawiecki ukrywa prawdę przed obywatelami Polski, ale – na szczęście – nie może jej ukryć przed Komisją Europejską. Z prostego powodu: ten alternatywny budżet obraca także pieniędzmi pożyczonymi, zwiększając zadłużenie państwa. Po kryzysie Grecji, spowodowanym bez troską w zadłużaniu państwa, KE żąda już dokładnych sprawozdań. Nasi rządzący Brukseli pokazują więc inną prawdę – prawdziwą. Wersja na użytek wewnętrzny, czyli dla Polaków, drastycznie różni się od tej raportowanej do Brukseli. NIK porównała obie. Prysł mit o odpowiedzialnych rządach Prawa i Sprawiedliwości, dzięki którym gospodarka kwitnie, a Polacy żyją dostatniej.

Raport NIK odpowiada na ważne pytanie: co się stało z sumą 302,6 mld zł? Rzeczywisty dług publiczny państwa jest bowiem aż o tyle większy niż ten, który przedstawia nam rząd. Czyli aż o jedną czwartą. A dokładniej – był po 2022 r., bo szybko rośnie, obecnie ta różnica przekroczyła już 320 mld zł. Na co cichcem wydano te pieniądze, jak je zdobyto? W wyszukiwaniu sposobów kiwania podatników PiS okazał się bardzo kreatywny.

W oczach swoich wyborców Prawo i Sprawiedliwość cieszy się wiarygodnością. Dużo obiecało i dotrzymało słowa, do kieszeni faworyzowanych przez rządzących grup płyną spore sumy. Skąd się biorą? Premier Morawiecki powtarza, że ukrócono działalność mafii zarabiających na oszustwach VAT. Sławomir Dudek z Instytutu Finansów Publicznych SGH, wcześniej wiolełten pracownik Ministerstwa Finansów, twierdzi, że z uszczelniania luki podatkowej mamy maksymalnie 20 do 30 mld zł rocznie, a sam program 500 plus kosztuje 42 mld zł. Państwo co prawda oszczędza na placach sfery budżetowej i usługach publicznych, ale i te oszczędności na hojne wydatki by nie starczyły. Więc skąd te pieniądze? Mateusz Morawiecki zapewnia, że deficyt budżetu w 2022 r. wyniesie zaledwie 12 mld zł i będzie o wiele mniejszy, niż wcześniej szacowano (29 mld).

Ekonomiści, którzy studiują raporty wysyłane do Brukseli, stwierdzili, że to nieprawda: prawdziwa dziura budżetowa 2022 r. sięgnęła 100 mld zł. NIK to potwierdza. No i co z tego? Zwyczajni Polacy raportów nie czytają, a 500 plus oraz 13. czy 14. emeryturę dostali. Niektórzy także dodatek węglowy. Większości tych pozycji w budżecie jednak nie zapisano, czyli nie było na nie pieniędzy. Zostały sfinansowane z... Funduszu Przeciwdziałania Covid-19, zarządzanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Ale państwowy bank też tych pieniędzy nie zarobił, on je pożyczył.

BGK zarządza już wieloma funduszami, do których rząd wypycha swoje wydatki, manipulując wielkością deficytu budżetowego. Im więcej wypchnie do funduszy, tym niższy niedobór rząd wykaże w jawnym budżecie państwa, za który ponosi odpowiedzialność. Więc kombinuje, nie wykazując wszystkich wydatków. Przesuwa je do funduszy.

Największym – Funduszem Przeciwdziałania Covid-19 – osobicie dysponuje premier. Powstał po wybuchu pandemii i miał służyć walce z nią, ale to fikcja. W rzeczywistości finansuje wydatki niemające z pandemią nic wspólnego. Jeśli rządowi brakuje na coś pieniędzy, finansuje je fundusz. Jakby miał tajną maszynę do drukowania pieniędzy.

Każdy minister marzy o tym, żeby mieć swój fundusz, Mariusz Błaszczak się doczekał. Do jego dyspozycji jest Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. Parlament nie wie, na co i kiedy wyda, nie wie nawet ile. Chyba że ktoś ogląda koreańską telewizję i z niej się dowie, że minister obrony starał się tam o potężny kredyt – równowartość 75 mld zł – na zakup uzbrojenia. Ekspertcy szacują, ►

► że w tym roku na tajne wydatki na wojsko pójdzie co najmniej 100 mld zł, tych pieniędzy też w budżecie nie ma.

NIK potwierdza, że parlament nie jest informowany, na co owe liczne fundusze celowe wydają pieniądze. Nie można kontrolować, czy poszczególni dysponenci gospodarują nimi racjonalnie. Raczej nie, bo nie stosują procedur, obowiązkowych przy wydatkach z budżetu państwa. Nie ma też o nich pojęcia minister finansów, który konstytucyjnie odpowiada za całość finansów publicznych, a więc także za pieniądze wydawane bokiem. Kiedyś ci urzędnicy zostaną rozliczeni. Nawet jeśli parlament odrzuci teraz wniosek o wotum nieufności dla rządu, raport NIK stanie się tykającą bombą, która kiedyś wybuchnie.

Z raportu Izby dowiadujemy się, że wydawane przez fundusze pieniądze nie spadły z nieba, są pożyczane. Już w 2024 r. musimy zacząć te długi oddawać. My, podatnicy, to na nasz rachunek zostały zaciągnięte. Liczne fundusze, którymi zarządza BGK oraz Polski Fundusz Rozwoju, finansujące hojne wydatki rządu, wyemitowały bowiem obligacje albo zaciągnęły kredyty na sumę już ponad 240 mld zł. W oficjalnym budżecie państwa kwota ta nie powiększyła deficytu budżetowego, ale trzeba ją oddać. Musimy wykupić wyemitowane przez owe fundusze papiery oraz w latach 2024–40 zwrócić zaciągnięte pożyczki. Za to, co rozdał rząd PiS, zapłacimy już po wyborach, jeśli władza się zmieni, pójdzie na jej konto.

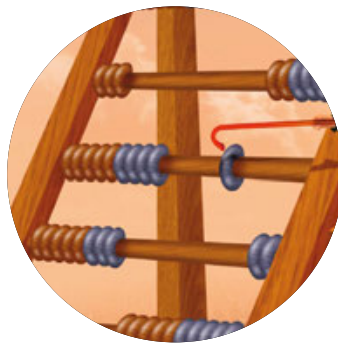
To jeszcze nie wszystko, za co przyjdzie nam zapłacić.

Na przykład zapłacimy też za hojne dotacje, najpierw 2 mld, a od tego roku już 2,7 mld zł rocznie dla TVP. To kolejny sposób polityków PiS, żeby nie powiększać formalnego deficytu, który w Sejmie skrytykuje opozycja. Kontrolerów oburza, że wiele dotacji rząd przekazywał beneficjentom, takim jak przyjazne media, organizacje, stowarzyszenia, fundacje, rozmaite instytuty, właśnie w obligacjach Skarbu Państwa. To autorski pomysł PiS, na który inne kraje jakoś jeszcze nie wpadły. Żeby nie ujawniać wydatku w budżecie, choć już na drugi dzień obdarowani zamieniali papiery na gotówkę. Do zadłużenia, jakim obarczył nas PiS, dopisać więc trzeba kolejne prawie 29 mld zł, rozdane przez partię w obligacjach.

Slawomir Dudek zauważa, że PiS ucieka się do trików nie tylko wtedy, gdy w budżecie państwa pieniędzy na coś brakuje, ale nawet wtedy, gdy ważny wydatek można sfinansować z rezerwy budżetowej. Tak było, gdy budżetowe pieniądze z rezerwy, przeznaczone na wsparcie gospodarstw domowych w związku z szalejącymi cenami gazu i energii, przekazano do... funduszu antycovidowego. To stąd popłynęło wsparcie dla gospodarstw. Dlaczego tak dziwacznie?

Im więcej pieniędzy wydają fundusze celowe, tym łatwiej ich dysponenci mogą uszczknąć część dla siebie lub swojej partii. PiS skonstruował maszynę, która przepompowuje publiczne pieniądze do kieszeni prywatnych lub partyjnych. Zapewne dlatego prawie 19 mld zł, czyli zysk NBP, oraz pieniądze ze sprzedaży praw do emisji CO₂ nie zasilily w 2022 r. budżetu, jak działały wcześniej, ale zostały przelane na konto... Funduszu Przeciwdziałania Covid-19.

Marian Banaś we wniosku do Trybunału Konstytucyjnego uważa, że rząd powierzył realizację programów pomocowych (chodzi mu o kolejne tzw. tarcze pomocowe dla przedsiębiorców



PiS skonstruował maszynę, która przepompowuje publiczne pieniądze do kieszeni prywatnych lub partyjnych.

po wybuchu pandemii) PFR SA, czyli spółce prawa handlowego, która nie jest agendą rządową, i nazywa to bezprawną prywatyzacją zadań publicznych. Ale w ten sposób rząd zrezygnował z obowiązku kontroli ich realizacji.

Podejrzenia potwierdza fakt, że państwowym Bankiem Gospodarstwa Krajowego, zarządzającym funduszami celowymi obracającymi setkami miliardów złotych, jest dobra znajoma Mateusza Morawieckiego jeszcze z okresu jego pracy jako prezesa banku WBK. W prywatnym banku o jej zawodowych osiągnięciach niewiele wiadomo, cieszyła się opinią wiernej wykonawczyni poleceń prezesa. Od kwietnia w BGK ma też swojego człowieka Jarosław Kaczyński, członkiem rady nadzorczej został jego wierny druh Kazimierz Kujda, wieloletni prezes partyjnej spółki Srebrna.

Wprawdzie uznany sądownie za współpracownika Służby Bezpieczeństwa, ale prezes z wyrokiem sądu się nie zgodził i zaufania do Kujdy nie stracił.

Na zawartą w raporcie krytykę polityki pieniężnej natychmiast zareagował Adam Glapiński, prezes NBP. Uznał, że NIK „narusza niezależność banku centralnego”, co jest niezgodne nie tylko z naszą konstytucją, ale także z Traktatem o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, i może skutkować wniesieniem sprawy do Trybunału Sprawiedliwości UE. Zdanie prezesa podzieliło sześciu członków RPP – Glapiński nie konsultował jednak swej opinii z całą Radą Polityki Pieniężnej – przyznaje Ludwik Kotecki, członek RPP, który wnioski NIK podziela.

Nasz informator z NIK spokojnie stwierdza, że prawo kontroli polityki pieniężnej daje Izbie konstytucja. – *W ubiegłych latach też to robiła, a jej prawo do kontroli kwestionowane nie było.* Wnioski nie były jednak aż tak krytyczne. Nie było też aż tak wysokiej inflacji. W raporcie NIK czytamy, że tylko w 2022 r. cichy podatek inflacyjny zabrał Polakom co najmniej 150 mld zł. To suma zbliżona do rocznych wydatków NFZ na publiczną ochronę zdrowia. Ceny ciągle rosną, więc i ten rachunek nie jest jeszcze zamknięty.

Gdyby nie „afery Banasia”, NIK – podobnie jak TK oraz inne ważne instytucje państwowe – zostałyby podporządkowane partii rządzącej.

Raport w jego obecnym kształcie z pewnością by się nie ukazał. Marian Banaś, wskazany na stanowisko prezesa NIK przez partyjnych kolegów, zachowuje niezależność, której partia rządząca usiłuje go pozbawić, m.in. ograniczając Izbie fundusze na działalność. NIK w rewanżu informuje o tym publicznie. Sejm na obecny rok obciął budżet NIK o 51 mln zł z dotychczasowych 332,4 mln, podczas gdy fundusze na funkcjonowanie Kancelarii Premiera Rady Ministrów zwiększono aż o 80 proc. O systemowych ograniczeniach niezależności NIK przez najważniejsze instytucje państwa polskiego informuje też raport INTOSAI Development Initiative, niezależny organ międzynarodowej organizacji zrzeszającej instytucje kontrolne.

Największe spółki kontrolowane przez państwo, na czele z PKN Orlen, kwestionują prawo NIK do przyglądania się ich finansom, uważają, że są prywatne. Albo w ogóle kontrolerów nie wpuszczają do siebie, albo też ukrywają część papierów. Kiedyś te dane może wyjdą na jaw, ale zanim to się stanie, można jeszcze wydać w kampanii sporo pieniędzy, żeby wygrać i żeby się nie wydało.

JOANNA SOLSKA

Blisko i egzotycznie



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektimpulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Złapani w sieci

Energetyka odnawialna wpadła w sieci. Trzymają je mocno państwowe spółki przesyłowe i dystrybucyjne, które coraz częściej odmawiają przyłączenia nowych instalacji wytwórczych. Tłumaczą, że ich druty już więcej zielonego prądu nie pomieszczą. Z czarnym, węglowym, prądem jakoś nie mają tego problemu.

ADAM GRZESZAK

ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Na początku czerwca w Hucie Stalowa Wola premier Mateusz Morawiecki i przewodniczący NSZZ Solidarność Piotr Duda pod okiem prezesa Kaczyńskiego uroczystie podpisali porozumienie. Określono w nim warunki, na jakich „S” gotowa jest poprzeć PiS w nadchodzących wyborach. Jedno z najważniejszych ustaleń dotyczy aktualizacji Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. (PEP2040). To kluczowy dokument wyznaczający tempo i kierunek zmian w naszej energetyce. Musi uwzględniać realia ekonomiczne, transformację technologiczną i politykę klimatyczną Unii Europejskiej. Prace właśnie zbliżają się do finału, ale Solidarności bardzo nie podoba się plan dekarbonizacji energetyki. Bo z projektu wynika, że tempo odchodzenia od węgla będzie szybsze, niż pierwotnie górnicy się spodziewali. Jeszcze przed 2040 r. produkcja energii elektrycznej z węgla może stracić rację bytu. A przecież rząd obiecał górnikom, że będą fedrować do 2049 r. Kto zatem zużyje ten węgiel, jeśli już dziś elektrownie palą importowanym?

Na razie wynegocjowano zawieszenie broni. Rząd do wyborów wstrzyma prace nad PEP2040, a „S” nie będzie go atakować. PiS obiecał też, że jeśli utrzyma władzę, to górnicy będą mogli współtworzyć politykę energetyczną. Takie porozumienie jest Kaczyńskiemu potrzebne nie tylko, by uspokoić górników, ale także, by pozbawić paliwa wyborczego koalicjanta, czyli Suwerenną Polskę. Ziobryści liczyli, że przeciągną górników na swoją stronę, przekonując, że PEP2040 jest dowodem na miękkość Morawieckiego i całego PiS. Bo należy blokować transformację energetyczną UE i bronić polskiego węgla, a nie słuchać ekologów i zwolenników energetyki odnawialnej i podpisywać się pod Zielonym Ładem czy planem „Fit for 55”.

Podcięte śmigła

Energetyka odnawialna już dawno stała się zakładniczką polityki. PiS jej nie lubi i często demonstruje swą niechęć. Bo podkopuje pozycję ekonomiczną tradycyjnej energetyki węglowej, bo jest rozproszona, niesterowna i co gorsza w dużej części prywatna. Dlatego odnawialne źródła energii (OZE) bardzo szybko poczuły ciężką rękę nowej władzy. Zwłaszcza elektrownie wiatrowe, które stanowiły fundament zielonej energetyki. Wprowadzenie reguły 10H (turbina wiatrowa nie może powstać, jeśli w promieniu wyznaczonym przez 10-krotność jej wysokości stoją domy) podcięło śmigła wiatrakom. Okazało się, że nie ma już w Polsce miejsc, gdzie zgodnie z ustawą mogą powstać nowe instalacje.

Pojawił się nawet plan, by istniejące wiatraki rozebrać, ale na szczęście nie wszedł w fazę realizacji. Bo niezależnie, co o tym sądzą górnicy związkowcy, jakoś musimy tworzyć energetykę zeroemisyjną. Mamy w tej dziedzinie unijne zobowiązania i nieustannie spore opóźnienia. Także polski przemysł upomina się o zieloną energię, bo już dziś musi przed swoimi akcjonariuszami i klientami tłumaczyć się, jakiego koloru jest prąd, z którego korzysta. Informacja, że czarny (w 70 proc.) będzie podkopywać jego rynkowe szanse. Dlatego coraz częściej przemysł sam buduje własne źródła OZE albo szuka z nimi bezpośrednich połączeń z pominięciem państwowej energetyki.

Reguła, że popyt rodzi podaż, zadziałała też na rynku OZE. Kiedy władza zablokowała wiatraki, w Polsce wybuchła rewolucja fotowoltaiczna. Polska pokryła się panelami PV. Korzystając ze wsparcia programu „Mój prąd”, zwykli Polacy na swoich dachach instalują mikroinstalacje, stając się prosumentami. Nie tylko konsumują własną energię, ale też ją sprzedają do sieci. Jest ich ok. 1,26 mln, a instalacje mają już łączną moc 9,5 tys. MW. Powstają też zawodowe elektrownie PV, niektóre nawet dość duże. Największa – w Zwartowie na Pomorzu – ma moc 204 MW. To już odpowiednik sporego bloku w elektrowni węglowej. Oczywiście porównania są tu ułomne, bo elektrownia fotowoltaiczna daje prąd tylko w dzień, kiedy świeci słońce, a ponieważ z nasłonecznieniem bywa różnie, więc nie zawsze produkuje z maksymalną mocą.

Elektrowni solarnych szybko jednak przybywa i to one zastąpiły wiatraki jako podstawa polskiego sektora OZE. W ubiegłym roku dostarczyły 55 proc. energii odnawialnej. Mikroinstalacje wraz z tymi większymi dysponują łączną mocą 13,5 tys. MW. Instalacja PV o mocy 1 MW wytwarza ok. 1,1 tys. MWh energii rocznie. W elektrowni węglowej taka ilość prądu wymaga spalania ok. 500 ton węgla. Trudno się dziwić, że górnicy chętnie wstrzymaliby słońce, by ruszyć pod ziemię. Zwłaszcza że zużycie energii elektrycznej ostatnio maleje. Liczniki energii pierwsze sygnalizują, gdy gospodarka zwalnia.

Dwa światy

Tymczasem rodzą się kolejne projekty nowych inwestycji OZE. I choć PiS ostatnio zdecydował się na poluzowanie przepisów dotyczących budowy elektrowni wiatrowych, to luz jest niewielki i inwestorów na razie nie skusił. Wciąż dominuje energetyka solarna. Więcej jednak projektów pada, niż jest realizowanych. Powód? Odmowa wydania warunków przyłączenia do sieci. To kluczowy dokument, bez którego żadna inwestycja nie dojdzie do skutku. Odmowy wydają operatorzy sieci dystrybucyjnych, głównie ci najważniejsi, należący do państwowych grup energetycznych. W ubiegłym roku padła rekordowa liczba odmów, bo aż 7 tys. W sumie planowane instalacje, głównie PV, ale też wiatrowe, wodne, magazyny energii itd., miały łączną moc 51 tys. MW.

Operatorzy formalnie mają obowiązek przyłączania nowych źródeł, więc jeśli odmawiają, muszą to uzasadnić. Zwykle zasłaniają się przeszkodami technicznymi, ekonomicznymi, zbyt dużą ilością wniosków o przyłączenie, a także nadmiarem energii w stosunku do zapotrzebowania. Bo energia w tym samym czasie musi być produkowana i zużywana. Możliwości jej magazynowania są na razie ograniczone. O wszystkich odmowach muszą informować prezesa Urzędu Regulacji Energetyki (URE).

– Sieci działają w dwóch rzeczywistościach – fizycznej i handlowej. W jednej mamy kontrakty, rozliczenia, producentów i odbiorców, w drugiej zaś prawa fizyki, które decydują o przepływach energii w sieci. To rodzi poważne wyzwania zwłaszcza przed sieciami dystrybucyjnymi, do których przyłączane są odnawialne źródła fotowoltaiczne. Sieci muszą pracować dwukierunkowo, przesyłając i odbierając energię, choć tworzone je z myślą jedynie o jej dostarczaniu – wyjaśnia prezes URE Rafał Gawin. – Duża część ►

► energii odnawialnej produkowana jest nie tam, gdzie jest na nią największe zapotrzebowanie, a jej przesył na większe odległości rodzi kolejne problemy. Bez poważnych inwestycji w sieci transformacja energetyczna nie będzie możliwa – dodaje. Projekt PEP2040 zakłada, że na rozbudowę sieci do 2040 r. wydanych zostanie 500 mld zł, ale w branży energetycznej traktowane jest to jako fantazja. – Nawet jeśli znajdą się takie pieniądze, to czy znajdą się wykonawcy, którzy tak wielkie inwestycje zrealizują? – zastanawia się Gawin. Prezes jest współautorem porozumienia sektora energetycznego w sprawie transformacji sieci, bo – jak podkreśla – bez tego planowany 50-procentowy udział OZE w miksie energetycznym w 2030 r. nie będzie możliwy.

Włacznik-wyłacznik

Pan Piotr (imię zmienione) jest deweloperem i operatorem farm wiatrowych i fotowoltaicznych. Zajmuje się przygotowaniem inwestycji: od znalezienia lokalizacji, przez wszystkie formalności (dzierżawa terenu, procedura środowiskowa, decyzje budowlane, przyłączeniowe itd.), aż po znalezienie inwestora, który chce zarabiać na własnej zielonej energii. – Jeszcze kilka miesięcy temu odmowa warunków przyłączenia dotyczyła przeciętnie 20 proc. projektów. Dziś co drugi nasz projekt spotyka się z odmową. PGE Dystrybucja tłumaczy najczęściej, że stacje transformatorowe są niezmodernizowane, więc ich moc jest ograniczona. I to mimo że staramy się znajdować lokalizacje, gdzie nie ma żadnych innych instalacji odnawialnych – tłumaczy nasz rozmówca, który chce być anonimowy, bo wolałby się nie narazić na gniew spółki sieciowej. – Odnoszę wrażenie, że państwo chce położyć tapę na energetyce odnawialnej. Kontroluje sieci, więc łatwo się będzie nas pozbyć. Już dziś obserwujemy ludzi, którzy krążą, zawierając umowy dzierżawy pod farmy fotowoltaiczne Orlenu. Obok Orlenu w energetykę odnawialną inwestują PGE i pozostałe państwowe grupy energetyczne. Te same, które w swoich strukturach mają spółki sieciowe. Tworzą farmy fotowoltaiczne i wiatrowe, nie przejmując się problemami z przyłączeniem. W branży OZE rośnie ferment, bo trudno uwierzyć, by spółki sieciowe zachowały w takiej sytuacji neutralność.

Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej, jest pod wrażeniem niedawnej decyzji PSE, które 23 kwietnia ogłosiły stan zagrożenia bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej „ze względu na skalę nadpodaży energii elektrycznej”. To umożliwiło legalne odłączenie instalacji OZE, głównie małych źródeł fotowoltaicznych. Odłączono farmy o łącznej mocy ok. 2,2 tys. MW.

– Operatorzy pod hasłem bezpieczeństwa energetycznego nie tylko nie przyłączają nowych, ale zaczynają odłączać działające instalacje OZE. Sieci stały się kulą u nogi transformacji energetycznej i dobrą wymówką, żeby jej uniknąć – ocenia prezes Wiśniewski. – Gdyby państwo poważnie

potraktowało zobowiązania do zwiększania udziału odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym, gdyby zostało to wcześniej zapisane w Polityce Energetycznej Polski, to spółki musiałyby rozbudowywać moce przyłączeniowe. A ponieważ nie ma zatwierdzonego nowego PEP2040, nie ma planów rozwoju OZE, to spółki mogą spokojnie odsyłać inwestorów OZE z kwitkiem.

PSE tłumaczy się z chwilowego odłączenia instalacji OZE tym, że w sytuacji nadmiaru energii, której nie potrzebowała polska gospodarka, a wyeksportować nie zmagazynować jej się w całości nie dało, nie można było dopuścić do wyłączenia elektrowni węglowych. Te bowiem muszą pracować przynajmniej z minimalną mocą, bo wieczorem, gdy słońce przestaje świecić, ktoś musi dostarczyć brakujące megawaty. Elektrownie węglowe są wysłużone i nie da się ich włączać i wyłączać na zawołanie.

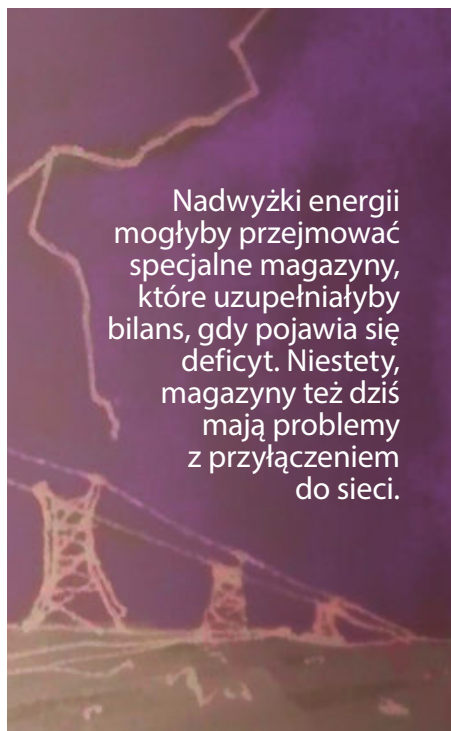
Wkrótce po tamtym wyłączeniu spróbowano rynkowego sposobu na radzenie sobie z chwilowym nadmiarem energii – pojawiły się ujemne ceny prądu. Tak – ujemne,

co oznacza, że producent dopłaca odbiorcy za zużycie jego energii. Czy to ma sens? Ma, bo jeśli wyłączenie, a potem włączenie bloku w elektrowni będzie kosztowało jeszcze więcej, to lepiej dopłacić do konsumpcji. Oczywiście był to tylko epizod, który zdarzył się po raz pierwszy w czerwcu tego roku i dotyczył rynku hurtowego. Nikt z odbiorców domowych na takiej okazji nie skorzystał. Natomiast koszt takiej ujemnej ceny zostanie dopisany odbiorcom do rachunków, bo ktoś musi za to zapłacić.

– Sposobem, by unikać takich sytuacji, są magazyny energii, które mogą przejmować nadwyżki w chwili nadpodaży i uzupełniać bilans, gdy pojawia się deficyt. Można je łączyć w układy hybrydowe z farmami wiatrowymi i instalacjami PV. Niestety, magazyny też dziś mają problemy z przyłączeniem do sieci. Choć mogą stabilizować ich pracę, są traktowane jako źródła wytwórcze – wyjaśnia Krzysztof Kochanowski, wiceprezes Polskiej Izby Magazynowania Energii i Elektromobilności.

PSE i operatorzy systemów dystrybucyjnych zapewniają, że sieci będą modernizowane i rozbudowywane. Każdy chwali się planami, są już porezerwowane moce przyłączeniowe dla państwowych elektrowni jądrowych i małych reaktorów SMR, które zapowiedział Orlen. Pada nawet hasło budowy energetycznej autostrady przez Polskę. To gigantyczna inwestycja, warta 10 mld zł, która ma doprowadzić do powstania linii najwyższego napięcia prądu stałego północ-południe. Chodzi o to, by prąd z elektrowni jądrowej, jaka ma powstać na Wybrzeżu, i z farm wiatrowych na Bałtyku (także w planie) przetransportować bez dużych strat. Trafi na Śląsk spragniony energią, w rejon Jaworzna, gdzie ma powstać fabryka samochodów Izera. Także w planie. I zapewne także do kopalń, które są wielkimi odbiorcami prądu. O ile oczywiście górnicy zaakceptują PEP2040.

ADAM GRZESZAK



Nadwyżki energii mogłyby przejmować specjalne magazyny, które uzupełniałyby bilans, gdy pojawia się deficyt. Niestety, magazyny też dziś mają problemy z przyłączeniem do sieci.

Letnie łamanie głowy!



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe
– każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w kioskach oraz na sklep.polityka.pl

Kredyt z systemem

OD LIPCA ŁATWIEJ BĘDZIE ZREALIZOWAĆ MARZENIE O WŁASNYM DOMU JEDNORODZINNYM. W PARZE Z BEZPIECZNĄ POŻYCZKĄ PÓJŚĆ POWINIEN TEŻ WYBÓR WYDAJNEGO SYSTEMU BUDOWLANEGO ORAZ ROZWIĄZANIA GWARANTUJĄCE ENERGOOSZCZĘDNOŚĆ BUDYNKU.

Już na początku lipca dostępny ma być „Bezpieczny Kredyt 2 proc.”. To oficjalna nazwa państwowego programu wsparcia, dzięki któremu łatwiej będzie zaciągnąć pożyczkę w bankach. Najczęściej ten tańszy kredyt kojarzony jest z zakupem mieszkań, jednak będzie on również dostępny dla osób budujących dom jednorodzinny albo kupujących już gotową nieruchomość tego typu. Bez względu na to, czy chcemy sfinansować z kredytu zakup mieszkania czy budowę domu, zasady mają być takie same. Kredyt z państwowymi dopłatami (to dzięki nim oprocentowanie ma wynieść ok. 2 proc. zamiast 8–10 proc. jak w przypadku zwykłych pożyczek dostępnych na rynku) jest przeznaczony dla tych, którzy do tej pory nie mieli żadnej nieruchomości. To kluczowy warunek – ze wsparcia nie może skorzystać ten, kto ma lub nawet miał w przeszłości prawo własności lokalu mieszkalnego czy domu jednorodzinne. Jeśli o kredyt stara

się para, wówczas wspomniane ograniczenie dotyczy każdej z osób składających wniosek. Drugi warunek związany jest z wiekiem. Kredytobiorca nie może mieć więcej niż 45 lat, chociaż w przypadku par wystarczy, że jedna osoba nie przekroczyła tej granicy.

Maksymalna kwota kredytu z dopłatą wynosi 500 tys. zł w przypadku singli oraz 600 tys. dla par (niekoniecznie małżeństw) bez względu na to, czy mają dzieci. Także 600 tys. zł mogą pożyczyć osoby samotnie wychowujące dziecko. Pułap wkładu własnego został przez rząd ustalony na 200 tys. zł. W przypadku budowy domu kredyt może sfinansować jednocześnie zakup działki, jak i postawienie nieruchomości i jej wykończenie. Sama działka może również stanowić wkład własny. Jeśli jej wartość przekracza 200 tys. zł, wtedy wkład własny nie będzie mógł już obejmować środków pieniężnych. Pamiętajmy, że także w przypadku tej pożyczki banki muszą dokładnie zbadać zdolność kredytową klientów. Aby

dostać pieniądze, nie wystarczy spełnić tylko warunków zapisanych w ustawie. Niezbędne są również odpowiednie dochody. Samo prawo do kredytu 2 proc. nie jest jednak uzależnione ani od poziomu zarobków, ani zgromadzonych dotąd oszczędności. Oznacza to, że mogą o niego ubiegać się także osoby zamożne czy z wysokimi dochodami.

Ważną i na razie mało znaną możliwością jest skorzystanie z „Bezpiecznego Kredytu 2 proc.”, aby dokończyć budowę własnego domu. Wiele osób, z powodu gigantycznego wzrostu kosztów zarówno materiałów budowlanych, jak i robocizny, musiało w ostatnim czasie wstrzymać swoje inwestycje. Teraz pojawia się możliwość wznowienia prac, bo preferencyjny kredyt będzie można wykorzystać na kontynuowanie budowy prowadzonej dotąd za gotówkę. Chodzi przy tym o kwotę maksymalnie 100 tys. zł w przypadku kredytobiorców prowadzących jednoosobowe gospodarstwo

domowe i 150 tys. zł, gdy inwestycję prowadzi małżeństwo lub osoba wychowująca przynajmniej jedno dziecko.

W przypadku nowego kredytu wsparcie, czyli dopłata do comiesięcznych rat, przewidziane jest przez dziesięć lat od momentu jego udzielenia. Konstrukcja rat malejących sprawia, że od początku spłacane jest stosunkowo dużo kapitału. Natomiast do reklamowanych przez rząd 2 proc. trzeba doliczyć marżę banku oraz ewentualnie inne prowizje. Zgodnie z oczekiwaniami polityków banki mają zaofiarować klientom, którzy zdecydowali się na „Bezpieczny Kredyt 2 proc.”, takie same marże jak wszystkim innym. Wyzwaniem okaże się oczywiście moment ustania dopłat po upływie dziesięciu lat. Jaka będzie wówczas rata? Wiele zależy od stóp procentowych. Trudno dzisiaj przewidzieć ich wysokość za dekadę. Jednak dzięki temu, że przez ten czas uda się spłacić istotną część kapitału, kredyt będzie wówczas mniej wrażliwy na podwyżki stóp.



Domy szeregowe zbudowane z betonu komórkowego.

Samo zapewnienie potrzebnych środków na budowę domu jest oczywiście bardzo ważne, ale nie gwarantuje jeszcze sukcesu. Aby płynnie przejść przez proces budowlany, warto skorzystać z rozwiązań systemowych. Budowanie systemowe umożliwia sprawną realizację głównych elementów budynku. Materiały do budowy trwałych i ciepłych ścian z betonu komórkowego (od lat chętnie stosowanego do wznoszenia domów jednorodzinnych) to bloczki, kształtki U, płytki, a także zaprawy murarskie i tynkarskie czy system ocieplenia.



SOLBET 
ROK ZAŁOŻENIA
1951



Beton komórkowy SOLBET

**Tu zaczyna się
DOM**



Zastosowanie kompletnego systemu budowlanego gwarantuje, że materiały wchodzące w jego skład będą do siebie odpowiednio dopasowane pod względem właściwości technicznych. Pozwala to uzyskać najlepsze parametry przegród i daje pewność, że elementy budynku zostaną wykonane zgodnie ze standardami dotyczącymi na przykład ochrony cieplnej i akustycznej. Budowa systemowa z betonu komórkowego należy też do najprostszych rozwiązań, zapewniających szybkie i bezpieczne prowadzenie prac. Skraca ich przebieg, ograniczając koszty związane z zatrudnieniem ekipy oraz wynajmem sprzętu. Pozwala też uniknąć wielu kosztownych błędów wykonawczych.

Budowa z użyciem systemu usprawni również wykonanie budynku, podniesie komfort jego codziennej eksploatacji, a w przyszłości ułatwi ewentualną przebudowę i modernizację. – *Koszty budowy można zminimalizować rozwiązaniami, które ułatwiają prace budowlane, a koszty eksploatacji ograniczyć dzięki materiałom zapewniającym wysoką energooszczędność budynku. Oba te warunki spełnia beton komórkowy (ABK). Budowanie w systemie z betonu komórkowego jest łatwe i precyzyjne. ABK to materiał wyróżniający się znakomitymi właściwościami termoizolacyjnymi. Elementy murowe z betonu komórkowego wraz z chemią budowlaną tworzą kompletny system. Jego zastosowanie gwarantuje, że dom będzie niedrogi w budowie, pozbawiony słabych miejsc, energooszczędny i trwały* – podkreśla Tomasz Rybarczyk, architekt, rzeczoznawca budowlany i ekspert firmy Solbet. Nawet w przypadku skorzystania z nowego kredytu kontrola kosztów ma przecież znaczenie – nomen omen – fundamentalne.

Chodzi przy tym nie tylko o samą budowę, ale też późniejszą eksploatację. Ceny zarówno prądu, węgla, jak i gazu są nie tylko bardzo wysokie, ale też praktycznie niemożliwe

do przewidzenia w dłuższej perspektywie. Musimy prawdopodobnie przygotować się na to, że wydatki na ogrzewanie pozostaną bardzo istotnym obciążeniem naszych domowych budżetów. Na etapie projektowania i budowy domu trzeba zatem zwrócić szczególną uwagę na wszelkie miejsca, które mogą potem przyczynić się do utraty ciepła zimą, a także do nadmiernego nagrzewania się budynku latem. I jedna, i druga sytuacja prowadzi do konieczności

zewewnętrzne są naprawdę potrzebne? Zdecydowanie tak, bowiem nawet w przypadku okien do domu energooszczędnego, rolety zewnętrzne mogą zredukować straty ciepła o kolejne 15 proc. Dlaczego? Po pierwsze, działa tutaj sam pancerz rolety, który hamuje przepływ powietrza. Po drugie, opuszczona roleta powoduje powstanie tak zwanej poduszki nieruchomego powietrza, która wypełnia przestrzeń między zewnętrzną stroną okna oraz wewnętrzną stroną

fasadowych nad roletami zewnętrznymi jest możliwość kontrolowania i precyzyjnego regulowania ilości światła słonecznego wpuszczanego do wnętrza dzięki ustawieniu pod odpowiednim kątem lameli. Ponadto żaluzje fasadowe wyróżniają się walorami estetycznymi.

Także wybierając drzwi zewnętrzne, trzeba zwrócić uwagę na parametry termooizolacyjne i trwałość. Dobrym rozwiązaniem mogą być drzwi aluminiowe, posiadające wytrzymały system profili, paneli aluminiowych oraz dodatkowy wkład termiczny, dzięki czemu, niezależnie od pory roku, ograniczają wymianę ciepła. Niezależnie od lokalizacji budynku nie można zapominać o bezpieczeństwie – składają się na nie trzpienie antywłamaniowe, wkładka i szyby antywłamaniowe, a także szereg innych zabezpieczeń. Dodatkowo można wybierać z szerokiej gamy nowoczesnych rozwiązań jak klawiatury kodowe czy czytnik linii papilarnych.

Brama garażowa jest dużym elementem, który może prowadzić do istotnej utraty ciepła. Nie jest to istotny aspekt w garażu wolnostojącym, jednak w przypadku garażu usytuowanego w bryle budynku (a to dzisiaj standardowe rozwiązanie przy budowie nowych domów jednorodzinnych) jedną z istotniejszych kwestii pozostaje izolacyjność termiczna. Warto więc zadbać o odpowiednie zabezpieczenie garażu przed utratą cennego ciepła z budynku. Niekwestionowanym liderem wśród bram garażowych są bramy segmentowe – mają doskonałe właściwości izolacyjne, są komfortowe w obsłudze i pozwalają na maksymalne wykorzystanie przestrzeni wewnątrz i przed garażem. Segmenty wypełnione są pianką poliuretanową, która stanowi doskonały izolator. Nowy dom ma być bowiem bezpieczny pod każdym względem, a stabilność raty kredytu jest równie ważna jak comiesięcznych rachunków.

PIOTR CYMERMAN



© MP KRISPOL

NOWY DOM MA BYĆ BEZPIECZNY
POD KAŻDYM WZGLĘDEM, A STABILNOŚĆ
RATY KREDYTU JEST RÓWNIIE WAŻNA
JAK WYSOKOŚĆ COMIĘSIĘCZNYCH RACHUNKÓW.



zużywania większych ilości energii – na ogrzewanie zimą i na chłodzenie latem.

Elementy szczególnie wrażliwe to okna, drzwi zewnętrzne i bramy garażowe. W przypadku okien warto pamiętać nie tylko o ich odpowiednich parametrach, ale także o osłonach. – *Z perspektywy bilansu energetycznego budynku polecamy montaż rolet zewnętrznych. Oczywiście można zapytać: skoro wybraliśmy dobrej jakości energooszczędne okna, które zostały prawidłowo zamontowane, czy rolety*

opuszczonej rolety. To ciepłe powietrze jest doskonałym izolatorem. Choć idea nowoczesnych okien tarasowych opiera się w głównej mierze na stosowaniu maksymalnie dużych przeszkleń, nie zawsze chcemy, aby pozostały one niczym nieosłonięte – mówi Grzegorz Ratajczak, dyrektor wykonawczy firmy KRISPOL.

Wybór pomiędzy roletami zewnętrznymi a żaluzjami fasadowymi to kwestia indywidualna. Podstawową zalecą rolet zewnętrznych są ich właściwości termoizolacyjne. Natomiast przewagą żaluzji



Komplet inteligentnej stolarki od KRISPOL

Każdy projekt zaczyna się od ludzi, od ich marzeń i potrzeb. Stworzyliśmy **konceptję**, która z jednej strony odpowiada wyzwaniom stawianym przez budownictwo energooszczędne, z drugiej jest wizytówką współczesnej architektury.

GWARANCJA SPOKOJU PODCZAS BUDOWY

Stolarka otworowa ma wpływ na użytkowanie budynku i związane z tym wydatki, dlatego decyzja o jej wyborze powinna być przemyślana. Zarówno okna, drzwi, jak i bramy garażowe, powinny zabezpieczać dom, chronić przed hałasem z zewnątrz, a także zapobiegać utratom energii cieplnej. Nowoczesny inwestor szuka rozwiązań, które zagwarantują mu **spokój**. Jednym z nich jest wybór kompletu stolarki do domu od jednego producenta.

DOM NA WŁASNYCH ZASADACH

Bez względu na to, czy inwestor wybierze okna PVC, aluminiowe czy połączy oba te rozwiązania, może liczyć na spójną kolorystykę wszystkich elementów stolarki. Produkty **linii HOME** dostępne są w wielu wzorach, a także bogatej i spójnej ofercie kolorystycznej. To ponad 200 wariantów RAL i kilkadziesiąt wzorów oklein, w tym modne odcienie antracytu i szarości. Integralność kolorów, kształtów, faktur gwarantuje harmonię aranżacji i jest niezwykle pożądanym rozwiązaniem w nowoczesnych projektach.

TAK ŁATWO BYĆ SMART

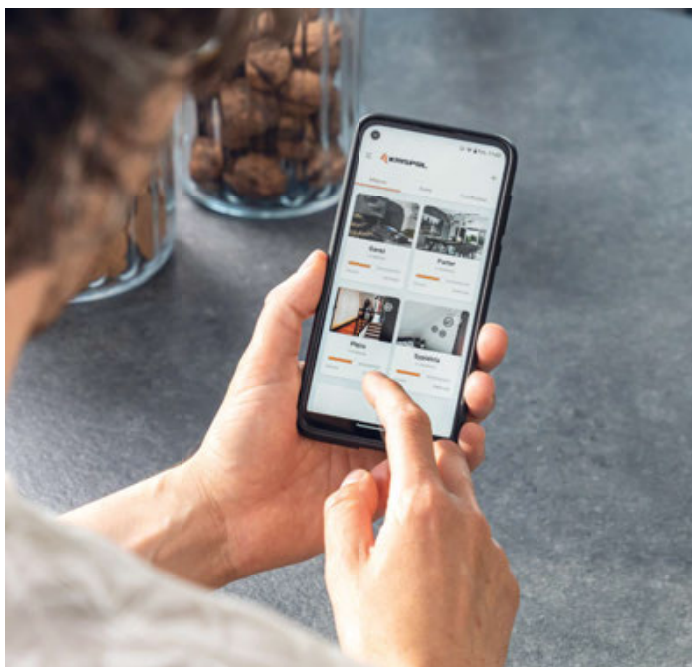
Decyzję o domu smart można podjąć w dowolnym momencie – to rozwiązanie dla każdej inwestycji. W połączeniu z automatyką STARCUS, autorska **aplikacja myKRISPOL** umożliwia projektowanie inteligentnego i bezpiecznego domu zintegrowanego ze światem IoT. Dzięki niej możliwe jest zarządzanie kilkoma lokalizacjami jednocześnie, zidentyfikowanie czy dane urządzenie jest włączone lub wyłączone, a także zsynchronizowanie otwierania i zamykania rolet i żaluzji ze wschodami i zachodami słońca. Niezwykle praktyczna jest także opcja sterowania głosowego.

ZAUFANY PRODUCENT

Dla większości inwestorów to **budżet** jest głównym decydem na każdym etapie budowy domu. Kosztorys jest przeważnie starannie wyliczony, a finalny dobór produktów w dużej mierze musi pokrywać się z założeniami finansowymi inwestycji. Ważna jest również oszczędność czasu podczas wyboru produktów. Zakup bramy, okien, drzwi i osłon w jednym miejscu pozwala zoptymalizować liczbę wizyt w salonie, wielokrotnych pomiarów na budowie czy montażu wykonywanego przez kilka różnych ekip. W przyszłości zapewnia również jednolitą obsługę serwisowo - gwarancyjną.

Znajdź najbliższy **Salon KRISHOME**
lub Partnera Handlowego
w Twoim mieście.

#wspieramybudowy



Graj na ambasadę

Pewien polski generał radził mi dawno temu: „jesteś pułkownikiem – graj na ministra, jesteś generałem – graj na prezydenta. Chcesz dużego awansu – graj na ambasadę”, mając na myśli przedstawicielstwo USA w Warszawie. Jak to jest z tymi wpływami Waszyngtonu w Polsce?

PIOTR ŁUKASIEWICZ

W tych słowach pobrzmiewał kolonialny sentyment rodem z PRL, wtedy z ambasadą radziecką, teraz amerykańską w roli głównej.

O władzy PiS mówi się czasami, że Jarosław Kaczyński obawia się jedynie „ulicy i Waszyngtonu”, czyli masowych demonstracji i wyrazów troski o praworządność dobiegających z USA. Rzeczywiście Kaczyński do tej pory tylko dwa razy się cofnął w swoich zapędach: raz przed protestującymi kobietami i raz, kiedy Amerykanie na serio zaniepokoiili się możliwością przejęcia TVN.

Opozycja demokratyczna poszukuje z kolei w Ameryce uznania i poparcia dla swoich zmagani o praworządność. Waszyngton wzdraga się przed politycznymi ingerencjami, ale pilnuje swoich interesów: geostrategicznego, obronnego i biznesowego w Polsce. Sprzyja im w oczywisty sposób jednoznaczna transatlantycka i proamerykańska orientacja polskich rządów. Po 2015 r. ta postawa się niekorzystnie zniuansowała, a od czasu do czasu dochodzi do zaskakujących kryzysów. Jak obecnie w przypadku komisji weryfikacyjnej ds. rosyjskich wpływów, sądu kapturowego PiS.

A już było tak dobrze. Amerykanie skoncentrowali swoją uwagę na Europie Wschodniej z powodu wojny w Ukrainie. Wstawili do Polski swoje oddziały wojskowe, otworzyli w Rzeszowie wielką bazę przerzutową, a prezydent Joe Biden dwukrotnie odwiedził Warszawę. Andrzej Duda przez cały rok mógł się czuć jak herold wolnego świata, pozdrawiający przejeżdżających tłumnie przez Rzeszów do Kijowa amerykańskich sekretarzy, kongresmenów i dziennikarzy. Wzrostowi amerykańskiego zainteresowania towarzyszyły zakupy sprzętu wojskowego, odżyły też projekty współpracy energetycznej, atomowej i ostatnio w dziedzinie produkcji układów elektronicznych.

Władzę PiS pieściły artykuły w „New York Timesie” i „Politico”, o nas jako wschodzącym mocarstwie europejskim, nieco na wyrost zapowiadające przesunięcie siły ciężkości z Niemiec na Polskę. Nowe mocarstwo

u boku Ameryki mogło w wyobraźni władzy jawić się niemal jak drugi Izrael. Czyli wzorcowy sojusznik Waszyngtonu, który cokolwiek zrobi w swojej polityce wewnętrznej, będzie w oczach Amerykanów usprawiedliwiony dzięki roli, jaką odgrywa w strategii globalnej USA.

Ameryka już to przerabiała

Ale się ewidentnie przeliczono. Oświadczenie ambasadora Brzezinskiego w reakcji na podpis Dudy w sprawie „ruskiej komisji” było jeszcze umiarkowane. Departament Stanu był bezceremonialny i wyraził zaniepokojenie rządu USA, że nowa ustawa może zostać wykorzystana do ingerencji w proces wyborczy w Polsce. To skierowanie uwagi na sprawy zasadnicze – uczciwość wyborów, przekazanie władzy – wywołało raptowne reakcje polityków PiS i okół rządowych mediów. Żądano wezwania ambasadora do MSZ, co stało się ulubionym sposobem dyscyplinowania tej placówki, zajmującej od czasu do czasu nieznośnie dla PiS pryncypialne stanowisko. Niezawodny Witold Waszczykowski grzmiał o „niebывалым skandalu dyplomatycznym”. Twitterowa masa zwolenników PiS ze złośliwością przekazywała sobie zdjęcia Brzezinskiego na Paradzie Równości w Warszawie.

Poprzednio wzywano go już przed srogie oblicze wiceministra Piotra Wawrzyka, kiedy TVN opublikował materiał o domniemanym ukrywaniu przez biskupa Karola Wojtyłę przestępstw pedofilii w podległej mu diecezji. MSZ nie wyjaśnił zresztą w pełni, dlaczego zażądał rozmowy z amerykańskim dyplomatą, pogłębiając wrażenie pogorszenia relacji.

Teraz ambasada USA w gestach nie pozostaje dłużna. Niedawno „Gazeta Wyborcza” opublikowała list, jaki Mark Brzezinski wystosował do polskich urzędników, na czele z marszałek Sejmu Elżbietą Witek. Przestrzegwał w nim przed zagrożeniami dla polskiej infrastruktury krytycznej oraz dla NATO z powodu nieokreślonych działań i kontraktów w sektorze nieruchomości. Jakich? Nie wiadomo, można tylko spekulować, że chodzi o jakiś handel z Chinami. Teatr min po obu stronach daje raczej wrażenie rozstroju niż harmonijnej współpracy mocarstwa ze strategicznym partnerem w Europie Środkowej, jakim chce się widzieć władza.

Rola komisji weryfikacyjnej zaczęła gwałtownie zanikać po pospiesznej rejteradzie Dudy i wycięciu w Sejmie najgroźniejszych sankcji. Jednak nawet w osłabionej wersji – już nie „weryfikacyjna”, ale „pokazowa” i rzekomo ekspercka – wciąż rodzi zagrożenia dla sojuszniczej współpracy.

Co się bowiem wydarzy w relacjach z Ameryką, jeśli przyszedł szefowi komisji – niech to będzie np. tropiciel komunistów w demokratycznym Wojsku Polskim po 1989 r. Sławomir Cenckiewicz – przyjdzie do głowy wyciąganie na światło dzienne korespondencji dyplomatycznej w sprawie amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Redzikowie? Albo umów z Rosjanami o przerzucie sprzętu natowskiego, w tym polskiego, do Afganistanu przez ich terytorium przed 2014 r.?

A już najgroźniejsze byłoby wzywanie przed oblicze „ekspertów” komisji oficerów Wojska Polskiego, np. generałów. Tych wciąż służących, ale przede wszystkim pozostających w rezerwie (czytaj: wyrzuconych z wojska przez Macierewicza). Przedsmak swobodnego traktowania tajemnic wojskowych i wywiadowczych już mieliśmy. Serial „Reset”, pokazywany w TVP o odkrywaniu rosyjskich wpływów w MSZ, zdążył już ujawnić dane oficera Agencji Wywiadu, działającego jako dyplomata w Moskwie.

Jeśli komisja faktycznie ruszy, można się spodziewać, że kwity, kiedyś tajne, będą swobodnie latać w przestrzeni publicznej. Również dotyczące spraw dla Amerykanów wrażliwych, np. resetu z Rosją Baracka Obamy (i Bidena, wówczas jego wiceprezydenta!). Hunwejbinińska zapalczywość weryfikatorów nie uwzględni przecież okoliczności sprzed dekady, kiedy reset z Rosją był mądrością geopolitycznego etapu, a nie moralnym poddaniem się Putinowi, jak chce to widzieć PiS.

Ameryka to już z Polską raz przerabiała, po weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych przez rzeczonego Macierewicza w 2006 r. Dyplomaci i oficerowie amerykańscy z niedowierzaniem słuchali opowieści o raporcie i stylu, w jakim Macierewicz przesłuchiwał polskich oficerów; później się od polskich służb wojskowych odcięli jak od zarażonych, a przywracanie zaufania jeszcze się nie zakończyło.

Brasilia w Warszawie?

Komisja weryfikacyjna odtworzyła atmosferę niepewności i nieprzewidywalności w relacjach polsko-amerykańskich. Jest jednak mimo wszystko wydarzeniem doraźnym, jednym z epizodów, jakimi w przeszłości PiS już zaskakiwał Amerykanów. A to pomyślam misji pokojowej w Ukrainie w połowie 2022 r., a to niepewnością wynikłą z nieznalesienia rosyjskiej rakiety balistycznej, która przeleciała w okolicach Warszawy i spadła pod Bydgoszczą – i tam, na terytorium NATO,

przeleżała nieniepokojona przez cztery miesiące. Takie incydenty da się od biedy zrzucić na mgłę wojenną.

Pozostaje jednak między Waszyngtonem a Warszawą niepewność zasadnicza, można rzec strukturalna, wynikająca ze zbliżających się w Polsce wyborów parlamentarnych. W komunikacie Departamentu Stanu pojawiły się słowa o *free and fair elections*, wolnych i uczciwych wyborach. Polska opinia publiczna odczytała je jako ostrzeżenie przed próbą usunięcia liderów opozycji, głównie Donalda Tuska, z życia publicznego. Jednak Amerykanie sformułowanie *free and fair* rozumieją również jako pokojowe przekazanie władzy w demokratycznym procesie wyborczym. Zwłaszcza wtedy, kiedy niewielkie różnice w wynikach wyborczych mogą zachęcać kogoś kurczowo trzymającego się władzy do nieuznania przegranej. Doświadczenie Bidena i jego ludzi z de facto zamachem stanu Donalda Trumpa 6 stycznia 2021 r., sprokurowanym w warunkach niepewności wyborczej, jest dla tej ekipy formujące.

Pouczeniem jest tu przykład działania Amerykanów przed wyborami prezydenckimi w Brazylii w październiku 2022 r. Ubiegający się o reelekcję prezydent Jair Bolsonaro, populistą w typie Trumpa, jeszcze przed wyborami zastrzegł, że mogą one zostać sfałszowane na korzyść Inácio Luli da Silvy. Niepokój budziły wcześniejsze widowiskowe parady czołgów przed gmachem parlamentu i Sądu Najwyższego. Amerykanie sądzili, że wybory mogą zamienić się w „kryterium uliczne”.

Bolsonaro przegrał wybory z niewielką stratą, nie uznał początkowo ich wyniku i wyjechał z kraju. W Brasili w styczniu 2023 r. doszło jednak do groteskowej próby powtórzenia wydarzeń z amerykańskiego Kapitolu sprzed dwóch lat. Tłum zwolenników Bolsonaro szturmował parlament, choć ostatecznie sprawna akcja policji i neutralność wojska zapobiegła najgorszemu.

„Financial Times” ujawnił niedawno przebieg prowadzonej przez Departament Stanu, Pentagon, CIA oraz Biały Dom akcji dyplomatycznej w celu uodpornienia brazylijskiej demokracji na próby podważenia wyniku wyborów. Liderzy amerykańskiej społeczności wywiadowczej oraz generałowie-dyplomaci z Pentagonu ostrzegali generałów brazylijskich, że korzystna dla nich współpraca dwustronna będzie zerwana, jeśli wojsko opowie się po którejś ze stron.

W Brazylii to zadziało. I pokazało, jak wielką rolę Biden przywiązuje do zapobiegania kłopotom demokracji, zanim zamienią się one w wojnę domową.

Sygnal z Waszyngtonu dla Warszawy jest jasny – *free and fair elections*, czyli przekazanie władzy w wyborach budzi niepokój. Amerykanie prawdopodobnie na razie tylko ►

► wyobrażają sobie czarne scenariusze jesienne. Na skali autorytaryzmu jesteśmy wciąż daleko za Turcją czy Węgrami. Na razie w Warszawie z polskimi generałami nie trzeba paktować. Chyba.

Militaryzacja polityki zagranicznej

Polska pozycja mocarstwowa i opowieść o niezbywalnej roli Warszawy w kalkulacjach Białego Domu, jaką sufluje PiS, jest zdecydowanie przeszacowana. Dostrzegają to również partnerzy europejscy. Na konferencji Polityki Insight w Warszawie przed kilkoma tygodniami ambasador Niemiec Thomas Bagger oświadczył: „Wzrost zainteresowania Polską z powodu jej roli w wojnie nie oznacza wzrostu znaczenia”.

Za tym mało dyplomatycznym sformułowaniem kryje się obserwacja, że koniec wojny oznaczać będzie ponowne zajęcie przez Polskę dalszego miejsca w amerykańskiej i europejskiej polityce. Zwłaszcza jeśli Warszawa utrzyma toksycznie antyeuropejską postawę, a w oczach Waszyngtonu będzie źródłem problemów. Ten relatywny spadek znaczenia Polski dla USA związany będzie choćby z osłabieniem relacji Warszawy z Kijowem, zarówno na tle historycznym (zbliża się rocznica Wołynia!), jak i z możliwością, że przysły rząd może stworzyć PiS z Konfederacją, partią co najmniej wstrzemięźliwą, jeśli nie otwarcie antyzachodnią i antyukraińską.

Warszawa na tę niepewność skazała się sama – i tu leży sedno problemów polsko-amerykańskich, być może nawet dłuższych niż ostatnie osiem lat.

Po pierwsze dlatego, że rząd PiS mocno zmilitaryzował swoją dyplomację z Waszyngtonem i każdy fragment relacji sprowadza się albo do oczekiwania większej ilości wojska amerykańskiego w Polsce, albo sprzedaży kolejnej transzy drogiego sprzętu. Zdawać by się mogło, że rolę dyplomatów przejęli lobbyści przemysłu zbrojeniowego i generałowie cmokający nad każdym typem nowego sprzętu. Wygląda to, jakby Mariusz Błaszczak z Andrzejem Dudą pospołu zabrali z MSZ cały departament amerykański. I obaj używają go do budowania prywatnego wizerunku, suplementując swoje oczywiste deficyty w Polsce zdjęciem przy biurku w Białym Domu lub Pentagonie. Wrażenie tej militaryzacji polskiej dyplomacji pogłębił szef MSZ w exposé sejmowym, kiedy w niemal każdym fragmencie opowieści o roli Polski w świecie wtrącał perspektywę wojny w Ukrainie. Jakby ta wojna wszystko przykryła i zastąpiła polskie wielowątkowe relacje zagraniczne.

Mało tego, rozmowa o dyplomacji polsko-amerykańskiej stała się w Polsce rozmową o tym, czy Amerykanie będą zadowoleni albo niezadowoleni, niczym w opowieści tego generała przytoczonego na początku. Czy bronić będą swojego biznesu medialnego w Polsce, używając do tego haseł demokratycznych, czy może po prostu tupną nogą i Jarosław Kaczyński znowu się przestraszy. Kompletnym nieporozumieniem ostatnich ośmiu lat stało się przekonanie PiS, że Abramsy i HIMARS-y zastąpią dyplomację. Oraz wyparcie prostej prawdy, że dla Waszyngtonu Warszawa tyle znaczy, ile Warszawa znaczy w Brukseli.

Po wtóre, myślmy, że kupując te czołgi i samoloty, robimy Amerykanom dobrze i że miliardy przewalutowanych dolarów przekładają się na strategiczną przychylność Białego Domu. Owszem, kupowanie nie zaszkodzi, ale Amerykanom zawsze (naprawdę zawsze!) chodziło o to, żeby Polska – jako kraj frontowy już od 1999, a nie 2022 r. – zbudowała silną armię, by amerykańscy żołnierze zdążyli z odsieczą, kiedy Polacy jeszcze się bronią. Amerykanie chcą sprzedawać Abramsy, ale najbardziej im zależy, aby Polacy po prostu mieli jakieś dobre czołgi i sprawne wojsko, zdolne do sojuszniczego współdziałania w dotyczących i Polski, i Ameryki kryzysach. Strategiczne partnerstwo osiąga się jakością wojska i chęcią do jego używania, a nie krzywym uśmiechem Trumpa ani nawet radosnym grymasem Bidena.

To zresztą przytyk nie tylko do obecnej ekipy w Warszawie. Kiedy prezydent Bronisław Komorowski zapowiedział wycofanie Wojska Polskiego z Afganistanu w kampanii wyborczej w 2010 r., w samym szczycie amerykańskiej wojny z talibami, z ambasady przy Al. Ujazdowskich popłynęło zdziwienie tak duże, że prezydent przesunął swoje zapowiedzi na 2014 r.

A czy Tusk dokupi Abramsy?

Amerykanie lubią przewidywalność, dostrzymywanie umów i wspólnotę poglądów. Również w sprawie dla nich kluczowej – przeciwstawiania się Chinom, choćby przez niewpuszczanie chińskich technologii informatycznych. Oto jednak, co dostają z Polski – miłego ich uszom premiera Morawieckiego, który porównuje wojnę w Ukrainie z przyszłą wojną o Tajwan. Ale wcześniej pokazuje im się błogi uśmiech prezydenta Dudy błyszczący na otwarciu olimpiady zimowej w Pekinie, gdzie brylował jako jedyny znaczący zachodni przywódca pod ramię z Xi Jinpingiem.

Przewidywalność strategiczna ma tę cechę w polityce zagranicznej państwa,

że wymaga kontynuacji po zmianie władzy. Tu i Amerykanie, PiS i opozycja w Polsce, mają sporo do nadrobienia.

Amerykanie uznali, zdaje się, że Polacy po prostu są na nich skazani i nie zasugerowali nawet, by wielkie zakupy, które Mariusz Błaszczak tak szumnie i za pożyczone pieniądze robi w fabryce czołgów w Ohio, miały chociaż symboliczne błogosławieństwo opozycji. Co by szkodziło, gdyby na forum Rady Bezpieczeństwa Narodowego rząd i opozycja umówiły się na skalę i kontynuację zakupów i zbrojeń? Co by szkodziło, gdyby ambasador Brzezinski część swojej działalności publicznej przeznaczył na próbę uzyskania takiego konsensu na neutralnym z definicji gruncie polskiej polityki obronnej? Kontynuacja to przecież sedno wieloletnich programów zbrojeniowych.

Ale również opozycja musi śmieiej i jaśniej przedstawić swoje stanowisko dotyczące kontynuacji polskich zbrojeń. Ma odpowiednie doświadczenie i kompetencje. Przydałoby się, aby wyborcze programy, które powinny pokazać się latem i jesienią, wychodziły poza ogólne formułki o poszerzaniu, pogłębianiu i umacnianiu przyjaźni z Ameryką. By dawały lepszy wgląd w plany nowego rządu w sprawach zasadniczych: Ukrainy w NATO, kontynuacji zbrojeń, stosunku do Chin, kwestii regulacji cyfrowych, czy wreszcie umocnienia polskiej demokracji w sposób realny i trwały, a nie tylko przez zemstę na PiS.

Na razie mamy jedynie zapowiedzi audytu kontraktów zbrojeniowych, zrozumiałe co prawda z punktu widzenia Warszawy, ale budzące niepewność Waszyngtonu. Niepewność pogłębia też to, że opozycja nie przedstawia na razie przyszłych liderów dyplomacji i obronności, od których Amerykanie bardziej jednoznacznie dowiedzieliby się, w jakim kierunku może pójść Polska po październikowych wyborach. Opozycja ma nadpodaż talentów zagranicznych i obronnych: ustosunkowanego w Waszyngtonie i błyskotliwie złośliwego wobec antydemokratów tu i tam Radosława Sikorskiego, solidnego Tomasza Siemoniaka czy Bogdana Klicha, pozostającego od dawna w przyjacielskich relacjach z częścią ekipy Bidena. I wielu innych, których łączy doświadczenie dyplomatyczne i przywiązanie do demokracji. Polityka zagraniczna, zwłaszcza w czasach wielkiej wojennej zmiany, to nie tylko zakupy, ale przede wszystkim mocne zakotwiczenie w wartościach podzielanych przez partnerów.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Autor – pułkownik rezerwy i ostatni ambasador Polski w Afganistanie – jest analitykiem Polityki Insight.

Czy wypadły antyputinowskich Rosjan do ojczyzny, a szczególnie ukraińskie zwycięstwa na froncie, wywołają w Rosji społeczną rewolucję? Marne szanse, bo Rosjanom wojna znów się podoba.



Z balonikami na Kreml

PAWEŁ RESZKA

Nowaja Tawożanka leży w obwodzie biełgorodzkim, tuż przy granicy z Ukrainą. Wieś spora – cerkiew, dom kultury i jeszcze do niedawna 5 tys. mieszkańców. Dziś opustoszała. Zniszczona. Odcięta od energii elektrycznej.

Na początku czerwca Tawożankę zajęli partyzanci Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego (RDK) walczącego po stronie Ukrainy. Ich dowódca Denis Nikitin, ps. White Rex, zwrócił się do biełgorodzkiego gubernatora z propozycją. Chciał wymienić dwóch żołnierzy armii rosyjskiej, których wziął do niewoli, na „kilka minut rozmowy o przyszłości Rosji”. Miejsce spotkania: cerkiew w Tawożance. Propozycja upokarzająca. Gubernator Wiaczesław Gładkow nie pojechał, ale musiał przyznać, że część obwodu wymknęła mu się spod kontroli.

Przywrócił ją po dwóch dniach, ale trudno powiedzieć, że Tawożanka to jeszcze Rosja. Raczej szara strefa. Ostrzały trwały od maja. Rajdy małych oddziałów (m.in. RDK i legionu Wolna Rosja) z drugiej strony granicy stały się codziennością. Inne

miejsowości pasa nadgranicznego są w podobnej sytuacji. 40-tysięczne miasto Szebiekino ewakuowane. Zdaniem lokalnych władz zniszczeniu lub uszkodzeniu uległo 2 tys. domów i mieszkań.

W sieciach społecznościowych komunikaty: „Uwaga! Ostrzał. Proszę zejść do piwnic lub schronów”. Informacje o wysadzonych liniach kolejowych i wykolejonych pociągach. Ataki dronów. Uchodźcy w centrach pomocy humanitarnej. Specjalna operacja wojskowa wraca do domu. Ludzie są wściekli.

Dobrzy ludzie

Gdy partyzanci pod flagą Korpusu Ochotniczego brali Nową Tawożankę, w Brukseli w budynkach Parlamentu Europejskiego odbywało się jedno z największych w ostatnich latach spotkań rosyjskiej opozycji (organizatorem był m.in. europoseł, były polski premier i szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz). Stawiło się 300 polityków, analityków, działaczy społecznych. Występowali m.in. obrońca praw człowieka Lew Ponomariow, więziony niegdyś w łagrach biznesmen Michaił Chodorkowski, pisarz Borys Akunin, szachista Garri Kasparow

oraz redaktor i laureat Nagrody Nobla Dmitrij Muratow.

Zatomizowana, działająca na emigracji opozycja ma niewielki wpływ na to, co dzieje się w kraju. Dlatego większość mówców była zgodna, że demokratyzacja Rosji będzie zależała od sukcesów ukraińskiej armii. Garri Kasparow: „Najważniejsze, by przygotować wspólną strategię, być przygotowanym na chwilę, gdy wojsko Putina zostanie rozbite”. Sami opozycjoniści nie mieli jednak wielu pomysłów, jak się do tego przyczynić. „Co? Mamy wstać i iść z balonikami na Kreml?” – pytał lekko poirytowany Giennadij Gudkow, były deputowany Dumi.

Nie brakowało jednak nadziei, bo „dobrych ludzi jest więcej, ale źli są lepiej zorganizowani” – zapewniał inny opozycjonista Dmitrij Gudkow. W niektórych wystąpieniach krytykowano Zachód, który kupował od Putina tani gaz i patrzył przez palce, jak likwiduje się społeczeństwo obywatelskie. W innych zaś wzywało Zachód do finansowania niezależnych mediów, które zdołały ocalać („nie mamy prawa zostawiać naszych odbiorców”).

Konkretów w tych warunkach było niewiele. Powołano grupę roboczą. ►

► Obiecano włączyć się do dyskusji o stworzeniu trybunału do osądzenia przywódców Rosji odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne. Podobnych spotkań ma być więcej.

Nad brukselską konferencją unosił się duch nieobecnych. Zaproszenia nie przyjęli m.in. współpracownicy Aleksieja Nawalnego – najważniejszego przeciwnika Putina w ostatnich latach. Nawalny to jedyny opozycjonista kojarzony przez szerszą publiczność w Rosji. Służby próbowały go otruć. A gdy to się nie udało, postanowiono go izolować. Opozycjonista od trzech lat siedzi w więzieniu. 4 czerwca (dzień przed rozpoczęciem „Brukselskiego dialogu”) obchodził w celi 47. urodziny. Tego dnia w Rosji odbyły się demonstracje z żądaniami jego uwolnienia. Były niewielkie, ale zatrzymano kilkadziesiąt osób. Wyjście na rosyjską ulicę jest dziś aktem odwagi – grozi za to wyrok więzienia. Jedną z współpracownic Nawalnego Lilia Czarnyszewa została właśnie skazana na siedem i pół roku odsiadki. Stąd też krytyka drużyny Nawalnego ze strony innych grup opozycyjnych: „Po co narażacie na represje ostatnich aktywnych obywateli?”.

Słabo reprezentowani byli także zwolennicy walki zbrojnej z Putinem. W kuluarach był Aleksiej Baranowski, związany z Legionem Wolna Rosja: „Brak tu konkretów, ludzie zebrali się, żeby sobie porozmawiać – mówił »Deutsche Welle«. – Prawdziwą politykę robią ci, którzy walczą”.

Interesów rosyjskiego Korpusu i Legionu bronił z konieczności Ukrainiec, obecny na forum Aleksiej Arestowicz, były doradca Zełenskiego: „My tu rozmawiamy, a oni giną za wolność Rosji. Nie mogą radzić, byście się z nimi jednocyli, ale przynajmniej nie krytykujcie”. Reakcja była sceptyczna. Politolog Fiodor Kraszennikow oznajmił: „Z Rosyjskim Korpusem Ochotniczym demokracji raczej się nie zbuduje”.

Mała armia

Rezerwę zebranych tłumaczy się m.in. tym, że Rosyjski Korpus Ochotniczy jest organizacją pravicową i nacjonalistyczną. A komendant Nikitin to neonazista.

Ale członkowie korpusu potrafią walczyć. Bili się w Ukrainie od 2014 r. w szeregach batalionu Azow. A Legion Wolna Rosja to oddział nowy i jego doświadczenie bojowe jest znikome. Formacje miały zamiar się jednoczyć, ale do tego nie doszło. Warto też pamiętać, że „ochotnicza armia” nie jest zbyt wielka, mowa o kilkudziesięciu, najwyżej kilkuset partyzantach.

Dlatego znana rosyjska publicystka opozycyjna Julia Łatynina, zapytana

w jednym w wywiadów, czy w obwodzie biełgorodzkiem zaczyna się rosyjska wojna domowa, parsknęła śmiechem. Już na poważnie dodała, że gdyby naprawdę stworzyć duży, np. 10-tysięczny rosyjski oddział zbrojny, sytuacja zrobiłaby się ciekawa. Do Moskwy stamtąd jest nieco ponad 600 km. Zdaniem publicystki taka opcja jest jeszcze otwarta i zależy od stanowiska Ukrainy: „Wcielanie jeńców, którzy nie popełnili zbrodni wojennych, agitacja wśród Rosjan mieszkających za granicą – dzięki temu można zorganizować poważną siłę wojskową”.

Oczywiście akcja werbunkowa, prowadzona siłami rosyjskich przeciwników Putina, trwa już od miesięcy. Np. za nabór do Korpusu odpowiadała mieszcząca się w Polsce rosyjska Rada Obywatelska. Organizacja powstała niedawno (listopad 2022 r.), zaś jej sukcesy werbunkowe były dość ograniczone. Do tego na początku czerwca Korpus i Rada zakończyły współpracę (ta ostatnia ogłosiła nabór do nowej jednostki – Batalionu Syberyjskiego).

W cały proces mogliby się włączyć bardziej znani i lepiej zorganizowani opozycjoniści. Jeśli nie odpowiada im współpraca z nacjonalistami, mogliby próbować stworzyć alternatywne jednostki. Tyle że tego nie robią. Pisarz Borys Akunin mówił w Brukseli, że zbrojna opozycja ma potencjał, i wezwał do „pracy propagandowej” wśród wojskowych. Jednak na słowach się skończyło.

Ukraińcy korzystają więc z tego, co mają. Rosyjskie oddziały, podporządkowane ukraińskiemu dowództwu, posyłane są w małych grupkach przez granicę. Walczą dzięki ukraińskiemu wsparciu artyleryjskiemu i pancernemu. Wchodzą w głąb Rosji na kilka, kilkanaście kilometrów. Następnie się wycofują. Dla Ukrainy są dobrym alibi: – Sojusznicy krzywo patrzą na to, że wchodzimy na terytorium Rosji? Nie ma sprawy. Poślemy tam Rosjan!

Ołeksij Daniłow, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ukrainy, podkreśla, że Rosjanie mają pełne prawo do walki zbrojnej z reżimem Putina. I dodaje, że takie działania wojenne będą się nasilały.

Ilu rzeczywiście Rosjan jest w oddziałach dywersyjnych, trudno powiedzieć. Rosyjski Korpus wchodzi w skład Legionu Międzynarodowego, gdzie wojują ochotnicy z 52 krajów, w tym Polski, a także państw byłego ZSRR. Można sobie wyobrazić, że gdy do jakiejś akcji brakuje etnicznych Rosjan, angażuje się ochotników z innych nacji. Stąd najpewniej obecność Polaków w obwodzie biełgorodzkiem, o której mówił publicznie Putin, i do której przyznał się Polski Korpus

Ochotniczy, który zaczął formować się w Ukrainie w lutym.

Zadanie oddziałów dywersyjnych jest oczywiste. Mają siał jak najczęściej zamieszania na rozciągającej się na setki kilometrów granicy z obwodami biełgorodzkiem, kurskim i briańskim. Walka przeciwko nim jest trudna. Partyzanci nie chcą zdobywać, utrzymywać, a jedynie nękać przeciwnika. Zajmują jakąś miejscowość, często niemającą znaczenia strategicznego. Minują budynki, wchodzą w potyczki, a potem nagle się wycofują. Niewielki, szybki oddział partyzancki potrafi zaangażować znacznie większe siły przeciwnika. Dla dowództwa Ukraińskich Sił Zbrojnych idealnie byłoby, gdyby ta „mała wojna” przy granicy doprowadziła do wycofania części rosyjskich sił z terytorium Ukrainy. A to ułatwiłoby kontrofensywę na południu.

Cel drugi to coś w rodzaju deseru. Partyzanci z Legionu i Korpusu przedstawiają się jako wyzwolicieli. Armia walcząca nie z Rosjanami, ale z Putinem. Być może uda im się zbuntować mieszkańców przygranicznych obwodów? Na zasadzie: „Co z Putina za prezydent, skoro nie potrafi nas obronić?”.

Powstanie

Myśl o antyputinowskim powstaniu w Rosji podziałała na wyobraźnię zachodnich obserwatorów. Natomiast kremłowska propaganda stara się nie poświęcać sprawie zbyt dużo uwagi. Telewizja mówi o tym, że obwody przygraniczne są po prostu areną ataków terrorystów. Rządowi publicyści przypominają zaś, że operacja w Ukrainie ma charakter prewencyjny: „Uprzedziliśmy atak, do którego Kijów szykował się od dawna. Teraz widać jak na dłoni, że mieliśmy rację”.

Zadziałano też na poziomie lokalnym. Gubernator Gładkow – technokrata sprawnie posługujący się mediami społecznościowymi (400 tys. abonentów w Telegramie) – oprócz ewakuacji zapewnił, że każda rodzina, która ucierpiała, dostanie zapomogę. Wypłaty pierwszej raty (10 tys. rubli, ok. 450 zł) zaczęły się błyskawicznie.

Działają to na plus i Gładkowa, i Kremła. W sieciach społecznościowych kipiało od narzekania. Jednak nie domagano się wywieszenia białej flagi czy pokojowego uregulowania konfliktu. Wręcz przeciwnie – naciskano na Kreml, by wysłał tu jak najwięcej wojska: „Niech broni nas prawdziwa armia, a nie pogranicznicy z FSB”. Namawiano też, aby stworzyć „pas bezpieczeństwa” na terenie Ukrainy.

Trudno było to ignorować. Stanowisko zajął w końcu Władimir Putin. Zapewnił,



Moskwa, 4 czerwca, zatrzymanie demonstranta żądającego uwolnienia Aleksieja Nawalnego. Wyjście na rosyjską ulicę to dziś akt odwagi.

© AP/EAST NEWS

że granica będzie lepiej zabezpieczona. Nie wykluczył, że stworzony zostanie wspomniany „pas bezpieczeństwa”.

Wezwania Korpusu Ochotniczego kierowane do ludności cywilnej, by ta włączała się do walki o „wyzwolenie spod jarzma antynarodowego reżimu”, pozostają bez echa. Na antyputinowskie powstanie w przygranicznych regionach nie ma raczej zapotrzebowania. Tym bardziej że w obwodach biełgorodzkiem, kurskim i briańskim, zgodnie z niezależnymi badaniami socjologicznymi (projekt „Chroniki”), poparcie dla „specjalnej operacji wojskowej” jest o kilka, a nawet kilkanaście punktów procentowych wyższe niż średnia rosyjska.

Dlaczego? Socjolog Aleksiej Gusiew w tekście dla fundacji Carnegie tłumaczy, że w czasie konfliktu cywile starają się trzymać z tym, kto silniejszy i kto bliżej: „Czym więcej ofiar ostrzałów, tym silniejsze uczucie nienawiści w stosunku do przeciwnika. Dlatego nie ma podstaw, by liczyć, że mieszkańcy obwodu biełgorodzkiego zaczną winić za obecną sytuację władze i armię Rosji”.

Podobne nastroje widać zresztą w całej Rosji. Dowodzą tego najnowsze badania Centrum im. Jurija Lewady, niezależnej pracowni badania opinii publicznej. W maju wyraźnie wzrosło zainteresowanie społeczeństwa tym, co się dzieje w Ukrainie. Stało się tak głównie za sprawą ogłoszonego z propagandowym hukiem zajęcia miasta Bachmut przez Grupę Wagnera, najemniczą armię Jewgienija Prigożyna.

Sam Prigożyn odniósł polityczny sukces. Jeszcze niedawno był postacią rozpoznawaną głównie przez dziennikarzy i analityków. Tym razem trafił do grupy 10 najbardziej rozpoznawalnych polityków w Rosji. Istotną rolę odegrało bachmuckie zwycięstwo wagnerowców (Rosja czekała na jakikolwiek sukces od miesięcy). I ostry spór z ministrem obrony Siergiejem Szojgu, gdy Prigożyn prezentował się jako gorący patriota, walczący z kliką skorumpowanych urzędników.

Dla Prigożyna może to być pyrrusowe zwycięstwo. Ze wzrostem popularności przyszyły kłopoty. Konflikt (podobno zainspirowany przez Kreml) z dysponującym własną armią czeczeńskim przywódcą Ahmadem Kadyrowem. A także nowe przepisy, które nakazują wszystkim najemniczym oddziałom walczącym na wojnie z Ukrainą podpisanie kontraktu z ministerstwem obrony. Kontrakt oznaczałby koniec autonomii Grupy Wagnera.

Do końca

Innym czynnikiem, który przyciągał uwagę badanych, było to, że wojna zaczęła się toczyć na terytorium Rosji. Radość z wzięcia Bachmutu i złość na to, „że Ukraina nas zaatakowała”, przełożyły się na radykalizację nastrojów. Pierwszy raz od 10 miesięcy odsetek Rosjan opowiadających się za kontynuowaniem wojny był większy niż tych, którzy chcieli rozpoczęcia rozmów pokojowych (48 do 45 proc.). Widać też, że Rosjanie przyzwyczaili się już do myśli, że wojna

potrwa długo. Blisko połowa uważa, że będzie to więcej niż rok (to dwa razy więcej niż w maju zeszłego roku).

Wzrastające poparcie dla działań wojennych ma za tło nie najgorszą – mimo sankcji – sytuację ekonomiczną. Czarne scenariusze o upadku gospodarki i stoczenia się w przepaść rubla nie ziszczyły się. Przyczyniła się do tego działalność sprawnej szefowej Banku Centralnego Elwiry Nabiulliny i innych współpracujących z władzą liberalnych ekonomistów. W efekcie Putin ciągle ma pieniądze na wypłaty socjalne, indeksowane są emerytury i płace w budżetówce. Uczestnicy „operacji specjalnej”, rodziny rannych i poległych otrzymują hojne rekompensaty.

Jednocześnie władze jak ognia unikają słowa „mobilizacja”. Putin zapewnia, że nie jest ona potrzebna. Zamiast tego trwa aktywne poszukiwanie ochotników, którzy podpiszą z armią kontrakt i pójdą na wojnę. Miasta i miasteczka oklejone są propagandowymi plakatami i zachętami, by dzwonić na infolinię MON, przyłączyć się do obrońców ojczyzny. W telewizji mówią, że „twierdza Rosja stawia czoła całemu Zachodowi”. I że wcześniej czy później wygra. A w społeczeństwie panuje optymizm: 15 proc. badanych jest „we wspaniałym nastroju”, a 63 proc. – w przy najmniej pozytywnym.

W tej sytuacji rosyjska opozycja może rzeczywiście liczyć jedynie na ukraińską armię.

PAWEŁ RESZKA

Lepiej, ale gorzej

ŁUKASZ WÓJCIK

Powyborcza Grecja próbuje skoczyć w nowoczesność, pozostawiając za sobą tradycyjne przywyry, które ponad dekadę temu doprowadziły ją do bankructwa.

Premier Kiriakos Mitsotakis z Nowej Demokracji przemawia do swych zwolenników w Salonikach.



© SAKIS MITROLIDIS/AP/EAST NEWS

Dawna Grecja była biurokracycznym koszmarem. Przyznają to nawet Polacy, którzy po doświadczeniach z naszą biurokracją w latach 90. jeździli zbierać brzoskwinie nad Morze Egejskie. W tamtych latach greccy rodzice miesiącami nie rejestrowali narodzin dzieci. Pobodnie jak nowożeńcy swoich związków. Oficjalna działalność gospodarcza wiązała się z koniecznością prowadzenia tak rozbudowanej księgowości, że – jak ocenia Bank Grecji – jeszcze na początku XXI w. szara strefa stanowiła ponad 40 proc. sektora handlowego i nawet 70 proc. sektora turystycznego – perły w koronie greckiej ekonomii. Z tego powodu państwo traciło kilkadziesiąt miliardów euro rocznie. I w końcu samo przeszło do szarej strefy.

Rząd Jorgosa Papandreu, który przejął władzę w październiku 2009 r., po wewnętrznym audycie szybko odkrył, że prawdziwy deficyt budżetowy jest czterokrotnie wyższy od oficjalnego (nie 3,7 proc., a ostatecznie nawet 15). W sensie technicznym było to spowodowane m.in. faktem, że poprzednie rządy część wydatków chowały poza kontrolą parlamentu w różnych funduszach celowych. A w sensie politycznym chodziło o fasadę – żeby sprzedać Grekom opowieść o ich własnym *welfare state* na wzór europejski, mimo że w budżecie nie było na to pieniędzy (a przy okazji dać zarobić swoim).

Papandreu, ujawniając informację o kolosalnym deficycie budżetowym, próbował ratować sam siebie. Rozpętał jednak armagedon, z którego Grecja dopiero dziś zdaje się podnosić.

1 W wyborach z końca maja centroprawicowa Nowa Demokracja premiera Kiriakosa Mitsotakisa zdobyła 40 proc. i miała aż 20 pkt proc. nad drugą siłą, skrajnie lewicową Syriza. To dużo więcej niż w 2019 r., gdy prawica również wygrała. W ogóle był to najlepszy wynik dla rządzącego w Grecji ugrupowania od ponad pół wieku. Ponieważ jednak ten majowy sukces nie dał Mitsotakisowi większości w parlamencie, zdecydował się na powtórzenie wyborów, które zakończyły się już po zamknięciu tego numeru POLITYKI. W tym drugim głosowaniu – z 25 czerwca – partia, która przekroczyła poziom 25 proc., za każdy kolejny punkt dostaje mandaty ekstra – w sumie nawet 50. Ma to zapewnić Mitsotakisowi stabilną większość w parlamencie.

Takich wyników wyborów trudno nie odczytać jako społeczny wyraz uznania dla ostatnich czterech lat rządów

Mitsotakisa, a przede wszystkim dla jego polityki gospodarczej i powrotu Grecji do ekonomicznego świata żywych. Ostatnie wybory to były pierwsze głosowania od zakończenia pokryzysowego nadzoru tzw. trojki (Komisja Europejska, Europejski Bank Centralny i Międzynarodowy Fundusz Walutowy) nad Grecją. Wcześniej, w trakcie pierwszej kadencji Mitsotakisa, grecka gospodarka była jedną z najszybciej rozwijających się w Unii (5,9 proc. PKB w 2022 r.).

Mimo to nasi rozmówcy mają niepokojące wrażenie *déjà vu*. Gdzieś już widzieli ten entuzjazm. W 2004 r. w ciągu zaledwie dwóch miesięcy Grecja sensacyjnie została piłkarskim mistrzem Europy, udanie zorganizowała Igrzyska Olimpijskie i zajęła trzecie miejsce na Eurowizji. – *Wówczas cmokano i przyznawano, że w końcu jesteśmy normalnym, europejskim państwem* – uważa Panagiotis Petrakis, profesor ekonomii na Uniwersytecie Ateńskim. – *Potem jednak przyszły ogromne pożary (2007), zamieszki uliczne (2008) i w końcu kryzys 2009–10, polityczny chaos następných lat – okazało się, że greckie państwo jest mirażem.*

Antonis Vradis, współautor głośnej książki „Revolt and Crisis in Greece”, jest jeszcze bardziej krytyczny. Uważa, że za fasadą nowoczesnego państwa z wdrożonym niedawno nowym interfejsem (odpowiednik naszego mObywatela, tylko z większą liczbą funkcji) kryje się „ta sama grecka rupieciarnia”. Szczególnie było to widać po marcowym wypadku kolejowym pod Larisą, w którym zginęło 57 osób. Vradis: – *Greckie media ustaliły m.in., że wart setki milionów dolarów automatyczny system kierowania ruchem był wyłączony i jego zadania na głównej magistrali kraju wykonywało ręcznie kilku kontrolerów (jeden z nich siedzi w areszcie). Typowo greckie.*

2 W tym sensie według Vradisa greckie państwo to taki właśnie nowoczesny interfejs struktury nieco tylko młodszej niż Akropol, o potężnym skomplikowaniu i tradycji, której nie zdołali zreformować ani kolejni wykształceni na Zachodzie premierzy, ani Unia Europejska. To w niej wielu Greków widziało zbawczego reformatora ich państwa. Przystąpienie Grecji do wspólnot europejskich w 1981 r. miało być sposobem na ratowanie kraju, politycznie i gospodarczo rozdygotanego po rządach czarnych pułkowników (1967–74). I rzeczywiście Europa dała Grecji know-how rozwoju gospodarczego, z którym powiązana była obietnica życia „na europejskim poziomie” – w dużym stopniu spełniona, tyle że na kredyt. W efekcie do wielkiego kryzysu z lat 2008–09 bycie zwolennikiem Unii Europejskiej było równoznaczne z greckim patriotyzmem.

Potem wszystko się posypało. W 2010 r., niedługo po rewelacjach Papandreu, Grecja w praktyce zbankrutowała. Musiała przyjąć pożyczki ratunkowe od Unii i MFW na bardzo restrykcyjnych warunkach.

Państwo musiało też przeprowadzić tzw. wewnętrzną dewaluację. Aby się ratować, nie mogło skorzystać z tradycyjnej metody i po prostu dodrukować pieniędzy, bo Grecja od 2001 r. jest w strefie euro. Pozostało więc zdusić płace i ceny u siebie, aby w ten sposób ograniczyć wydatki państwa (obniżenie deficytu budżetowego) i poprawić międzynarodową konkurencyjność (tańsza produkcja – większy eksport). W praktyce oznaczało to m.in. drastyczne cięcia płac w sektorze publicznym i obniżenie płacy minimalnej o 22 proc. (2012 r.).

Trzy tzw. bail-outy, czyli pożyczki ratunkowe warte w sumie 280 mld euro, uchroniły greckie państwo przed pełną zapaścią. Ale ich warunki, narzucone Grecji ►

OGŁOSZENIE

SPRZEDAM NIERUCHOMOŚĆ
POŁOŻONĄ W WARSZAWIE (MŁOCINY)
PAŁAC BRÜHLA Z PARKIEM O POW. 4 HA

Kontakt: gardocki@gardocki.pl

► przez wspomnianą trojkę, w praktyce odebrały władzę greckiej klasie politycznej i przekazały ją w ręce urzędników w Brukseli i Frankfurtach. A w wymiarze społecznym zapisały się wspólnotową traumą i rozbiły dawną scenę polityczną, wypychając na nią radykalne siły, w tym m.in. skrajnie lewicową Syrizę Aleksisa Ciprasa, premiera w latach 2015–19.

Ostatecznie Grecja po 12 latach zdołała w końcu zrównoważyć budżet, ale odbyło się to ogromnym kosztem – w tym czasie PKB Grecji spadł o rekordowe 25 proc., bezrobocie w listopadzie 2013 r. sięgnęło 29 proc., a z 10-milionowego kraju wyjechało za lepszym życiem ponad pół miliona Greków, wielu z nich młodych i dobrane wykształconych.

3 Teraz ma być już tylko lepiej. Mitsotakis, który w pierwszej kadencji postawił na cyfryzację kraju, jeszcze w zeszłym tygodniu zachwalał kolejne funkcje greckiego mObywatela, który ma być symbolem nareszcie nowoczesnej Grecji (można już za jego pośrednictwem zarejestrować dziecko i umówić datę ślubu cywilnego). Szef Nowej Demokracji obiecywał też, że w drugiej kadencji utrzyma niskie podatki i dzięki temu wzrost PKB Grecji znów przekroczy 3 lub nawet 4 proc., a bezrobocie spadnie do 8 proc. Już w 2027 r. Grecja ma czerpać energię wyłącznie ze źródeł odnawialnych, co ważne, bo wojna w Ukrainie i ograniczenie importu rosyjskich surowców spowodowałyby grecką gospodarkę.

Mitsotakis zapowiada również, że po tym, jak w zeszłym roku pierwszy raz od początku kryzysu Grecja miała nadwyżkę pierwotną w budżecie (nieuwzględniającą obsługi zadłużenia), w najbliższych miesiącach agencje ratingowe przywrócą krajowi pozytywną ocenę inwestycyjną, co pozwoli wielu instytucjom finansowym (przede wszystkim funduszom emerytalnym) na pożyczanie Grecji pieniędzy. I wszystko znów będzie jak dawniej...

Biznes niewątpliwie lubi Mitsotakisa, jego władza przyciąga do Grecji zagraniczny kapitał. Niedawno gigant farmaceutyczny Pfizer zapowiedział wielkie centrum badawcze w Salonikach. W kraju inwestują również Google i Microsoft. Polityka ekonomiczna ostatnich lat działa jak balsam również na obawy Unii Europejskiej, której Grecja winna jest sporą część swoich długów. Mitsotakis relatywnie dobrze poradził sobie z pandemią. A ostra reakcja Grecji wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę zyskała mu uznanie i w Brukseli, i w Waszyngtonie.

Jednocześnie grecka polityka fiskalna ostatnich lat była wyraźnie mniej restrykcyjna, niż można się było spodziewać po państwie, które niedawno przeżyło fiskalną śmierć kliniczną. Rząd Mitsotakisa hojnie wspierał przedsiębiorców i pracowników podczas pandemii. Według think tanku Bruegel Grecja w stosunku do PKB wydała najwięcej w Europie na tarcze finansowe, chroniące konsumentów przed wzrostem cen energii. W efekcie deficyt budżetowy może w tym roku przekroczyć 3,5 proc.

4 Co jednak kryje się za fasadą Akropolu? Wskaźniki makro, czyli takie, którymi kierują się rynki finansowe i inwestorzy, a które niekoniecznie są zawodzające z poziomu zwykłego zjadacza chleba, wyglądają dobrze. W ciągu ostatniej dekady dług publiczny Grecji spadł z rekordowych 206 proc. PKB do ok. 170. Deficyt budżetowy w tym roku zapewne znów podskoczy, ale warto przypomnieć, że w „roku zero”, czyli 2009, przebił on 15 proc.

Jeśli jednak porównać dostępne wskaźniki zamożności sprzed kryzysu i teraz, Grekom dzieje się dużo gorzej. Mimo wzrostu w ostatnich kwartałach, PKB wciąż jest niższy o 16 proc. od tego z 2009 r. Nieco lepiej wygląda PKB *per capita* – tu spadek wynosi 12 proc. Ale wynika to przede wszystkim z faktu, że jest mniej Greków do podziału tego produktu (emigracja i demografia). Dziś pracuje 4,1 mln Greków, podczas gdy przed kryzysem było to 4,5 mln.

W 2022 r. Grecja odnotowała wzrost na poziomie 4 proc. PKB, przy średniej w strefie euro 2,6 proc. Ale – jak przekazuje prof. Petrakis – to zasługa głównie popandemicznej stymulacji finansowej i świetnego sezonu turystycznego – w zeszłym roku kraj odwiedziło ponad 30 mln zagranicznych turystów. Bezrobocie wyraźnie spadło, ale wciąż jest najwyższe w strefie euro i szczególnie doskwiera młodym (poniżej 25. roku życia nie pracuje co czwarty).

Według pozarządowej Rady Ekonomiczno-Społecznej Grecy mają najwyższy w Unii odsetek niezapłaconych rachunków. Jeszcze dwa lata temu ponad 26 proc. z nich zalegało z opłatami za prąd. Ponad 20 proc. zadłużonych hipotecznie Greków przewiduje, że w najbliższych miesiącach przestanie spłacać kredyt. A grecka prasa donosiła niedawno, że w tym roku banki mogą zlicytować ponad 45 tys. nieruchomości obciążonych hipoteką i niespłacanych.

W tych warunkach pomoc państwa jest niewystarczająca. Co miesiąc Grecy dostają po 75 euro na rodzinę na zakupy w supermarkecie plus dopłaty do rachunków za gaz. A ostatnio jedna z czołowych gazet, „Kathimerini”, obliczyła, że grecka rodzina z dwójką dzieci potrzebuje na podstawowe potrzeby minimum 2 tys. euro miesięcznie. Przy czym średnia płaca w Grecji wynosi dziś nieco mniej niż 800 euro. W rezultacie odsetek Greków, którym grozi ubóstwo i społeczne wykluczenie, wynosi ponad 28 proc., co jest najgorszym wynikiem w Unii.

Wiele krytyki wywołuje stan służby zdrowia. To akurat przynajmniej również sam Mitsotakis, który zapowiada, że... zajmie się tym w nowej kadencji. Dziś zaledwie 5 proc. greckiego PKB idzie na ochronę zdrowia, podczas gdy średnia w strefie euro to 7,5 proc. (w Polsce – 6,5). W wyniku kryzysu i wynikającego z niego długotrwałego bezrobocia ponad 800 tys. Greków nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Jak alarmują branżowe związki zawodowe, regularnie brakuje na sprzęt, leki i specjalistów. W efekcie odsetek szpitalnych zgonów w Grecji – wiele z nich spowodowanych szpitalnymi zakażeniami – jest najwyższy w Unii.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja demograficzna. Już od ponad dekady rok w rok więcej Greków umiera, niż się rodzi. Z tego powodu populacja kraju w latach 2011–22 zmniejszyła się o prawie 300 tys. A według instytutu demograficznego Dianeosis do 2050 r. 10-milionowa Grecja może stracić nawet 2 mln obywateli. W tym samym roku już co trzeci Grek będzie w grupie wiekowej 65+.

5 Władze próbują ratować sytuację, m.in. przyznając jednorazowe „nagrody” za każde narodzone dziecko w wysokości 2 tys. euro. Chcą też odzyskać tych, którzy wyjechali z kraju w czasie kryzysu, i najlepiej wykształconym oferują hojny dodatek repatriacyjny 3 tys. euro miesięcznie do pensji. Zainteresowanych obiema nagrodami było wielu Greków. Ale pojawił się problem techniczny.

Jak relacjonował na początku maja dziennik „Kathimerini”, grecki mObywatel się zaciął. I nie przyjmował ani wniosków o „nagrody” za dzieci, ani o dodatek repatriacyjny. Kilkudziesięciu młodych ekspatów usłyszało na infolinii, że muszą m.in. osobiście odwiedzić urząd, wypełnić siedem formularzy, złożyć pisemny życiorys, podbić obiegówkę i nakleić na nią zaświadczenie o uiszczeniu opłaty urzędowej. Większość zrezygnowała.

ŁUKASZ WÓJCIK



Biblioteka Oodi, którą otwarto w 2018 r. na stulecie niepodległości Finlandii.

Życie po Nokii

Rozmowa ze znawcą Finlandii, dr. hab. Wojciechem Woźniakiem, o tym, jak ten kraj poradził sobie z upadkiem swojej najważniejszej korporacji. I co to ma wspólnego ze zwycięstwem ultranacjonalistycznej prawicy w ostatnich wyborach.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: – **Finlandia potrzebuje Nokii bardziej niż Nokia Finlandii?**

WOJCIECH WOŹNIAK: – Takie było przekonanie w mediach i wśród polityków w pierwszej dekadzie XXI w. Finlandia zyskała wówczas sławę jako kraj, który połączył nordyckie państwo dobrobytu z innowacyjnością rodem z Doliny Krzemowej, a Nokia była symbolem tego

sukcesu. Odpowiadała za 25 proc. wpływów budżetowych z podatku CIT. I nie wahała się używać swoich wpływów.

Wpływów na polityków? W Finlandii?!

Najściślejsze związki miała z Partią Centrum. Ale nawet ówczesna liderka najbardziej lewicowego ugrupowania Unii Lewicy, Suvi-Anne Siimes, pełniąc funkcję wiceszefowej ministerstwa finansów, deregulowała sektor

telekomunikacyjny zgodnie z interesem tej korporacji. Nokia odegrała kluczową rolę w podjęciu decyzji o wejściu do Unii Europejskiej czy o przyjęciu euro. Przepisy poszerzające prawo korporacji do inwigilacji pracowników dziennikarze nazwali lex Nokia. Groźba, że jeżeli rząd Finlandii nie zrobi tego, czego chce Nokia, to ta wyniesie się do innego kraju, nie padała co prawda w oficjalnych ►

► wypowiedziach przedstawiciele firmy, ale wisiła w powietrzu.

A dziś? Finlandia się uniezależniła?

Siły rynkowe spowodowały, że znaczenie Nokii spadło. Po 2007 r. korporacja, która miała wcześniej 40-proc. udział w światowym rynku telekomunikacyjnym, doświadczyła spektakularnego kryzysu – wliczając podwykonawców, pracę straciło wówczas kilkadziesiąt tysięcy osób. Ostatecznie firma została częściowo przejęta przez Microsoft. Jedną z konsekwencji kłopotów Nokii był jednak wzrost kultury start-upów w Finlandii. Ludzie, którzy pracowali w Nokii, albo kształcili się, by się w niej zatrudnić – zaczęli zakładać własne firmy. A start-upy to już jednak dużo bardziej neoliberalna kultura.

Więcej neoliberalizmu w Finlandii to dziedzictwo po Nokii?

Pod dyktando Nokii przeprowadzono reformy szkolnictwa wyższego w kierunku większej konkurencyjności między badaczami. Opisał to Carl-Gustav Lindén, który w książce „Królestwo Nokii” pokazał, jak głęboko lobbyści tej korporacji zinfiltrowali struktury państwa. Socjolog Mikko Poutanen, który był zatrudniony w Nokii, a potem zaczął pracować na uczelni, gorzko podsumował reformę szkolnictwa, mówiąc mi, że trafił z korporacji do korporacji. Tylko że na uczelni nie płacą tak dobrze jak w Nokii.

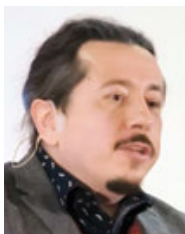
Risto Siilasmaa, prezes, który wyprowadził Nokię z kryzysu, też napisał książkę.

Ta książka Siilasmay o „potędze optymizmu” jest bardzo charakterystyczna. W jego opisie kryzysu w korporacji nie ma prawie nic o masowych zwolnieniach. Jest za to dużo o tym, że firma ma dziś pracowników w ponad stu krajach. Podczas ratowania firmy liczyło się przetrwanie korporacji, a nie spłacanie symbolicznych długów wobec państwa.

Symbolicznych długów?

Nokia, która zaczynała od produkcji pulpy papierowej, a potem produkowała też kalosze i papier toaletowy, zbudowała swoją pozycję dzięki temu, że państwowe instytucje w Finlandii projektują swoje strategie na kilka dekad do przodu. I są one współtworzone z instytucjami badawczymi. W sercu tego systemu jest Narodowy Fundusz Badań i Rozwoju, czyli Sitra. Obecnie diagnozuje on np., że Finlandia musi stawiać na zielone technologie.

Finlandii udało się coś, co np. Polsce wciąż nie wychodzi – przebić się



© ARCHIWUM

Dr hab. **Wojciech Woźniak** – socjolog z Uniwersytetu Łódzkiego, obecnie związany z Uniwersytetem Helsińskim. Jego zainteresowania naukowe dotyczą m.in. modelu społeczno-ekonomicznego Finlandii. Jest autorem książki „Państwo, które działa. O fińskich politykach publicznych” (Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego).

z peryferii do centrum globalnego systemu kapitalistycznego.

Finlandia jest państwem pozbawionym surowców naturalnych. Jeszcze w połowie XX w. około 60 proc. mieszkańców pracowało w rolnictwie i przemyśle leśnym, który odpowiadał wtedy za 90 proc. fińskiego eksportu. W latach 60. w Finlandii brakowało prywatnego kapitału, finansowanie biznesu wzięło więc na siebie państwo, a zatrudnieni na etatach naukowcy analizowali, w co warto inwestować. Nokia, która była jednym z pierwszych beneficjentów państwowych programów, jest potwierdzeniem tezy ekonomistki Mariany Mazzucato o tym, że „przedsiębiorcze państwo” bywa kluczowe dla sukcesu prywatnych korporacji.

I dzięki temu Finom udało się przeskoczyć z gospodarki opartej na taniej sile roboczej na wyższy szczebel wysokich technologii?

Fińskie elity uświadomiły sobie, że aby grać w wyższej lidze, państwo musi zdecydować, na co przeznaczać pieniądze z wysokich podatków, które obywatele i korporacje płacą. Przeprowadzono wówczas badania, przeanalizowano je i okazało się, że Finlandia powinna postawić na badania i rozwój. Był czas, gdy przeznaczali na to prawie 4 proc. PKB, obecnie to nieco poniżej 3 proc. W Finlandii zadziałała koncepcja, wedle której do ogólnego szczęścia i rozwoju niezbędna jest sprawna administracja oraz dofinansowanie prężnych uczelni wyższych i sektora prywatnego. Nie bez znaczenia jest też polityka socjalna.

Jakie konkretnie działania ma pan na myśli?

Na przykład skłonność do ryzyka, która oznacza też m.in. gotowość do rozwijania własnych biznesów, a ta jest większa, jeżeli nie mamy obaw, że przy porażce stracimy wszystko. Z poczuciem bezpieczeństwa rośnie także skłonność do zdobywania nowych kompetencji. Studenci otrzymują stypendium za samo studiowanie. To z kolei wynika z przeświadczenia, że studia są jednak po to, żeby się przede wszystkim kształcić, a nie żeby zdobywać doświadczenie zawodowe, jak choćby w Polsce.

Symbolem znaczenia nauki w Finlandii jest słynna

biblioteka Oodi w Helsinkach, którą Finowie zbudowali sobie na stulecie niepodległości.

W drugiej połowie XIX w., kiedy tworzyła się fińska tożsamość narodowa, jej przewodnikami byli profesorowie Uniwersytetu Helsińskiego, badacze, literaci i dziennikarze. Kult edukacji ma głębokie kulturowe korzenie – skoro każdy luteranin powinien czytać Biblię we własnym języku, to potrzebne są książki i biblioteki. Protestantyzm spowodował, że już w XIX w. udało się wyeliminować analfabetyzm, a kobiety mogły się kształcić tak samo, jak mężczyźni. Fińska tożsamość budowała się więc nie z karabinem, a z książką w rękę.

Finlandia, podobnie jak Polska, przeżyła głęboki kryzys gospodarczy po upadku ZSRR, z którym była ekonomicznie związana.

Pauperyzacja, eksplozja samobójstw, bezrobocie w Finlandii sięgnęło wówczas 20 proc. Źródłem kryzysu należy jednak szukać wcześniej – Finlandię pogrzyżła liberalizacja rynku finansowego w latach 80., w wyniku, której ludzie i firmy zadłużyli się tak głęboko, że jeszcze parę lat temu spłacali długi. To bezkrytyczne stosowanie się do wypisywanych przez międzynarodowych ekspertów recept, bez akulturacji, miało dramatyczne konsekwencje. Dlatego teraz fiński model opiera się na elastycznej adaptacji do światowych trendów.

Inaczej niż Polska po 1989 r.

Finowie doszli do wniosku, że kapitał z zagranicy to niejedyna droga rozwoju. Od kilku dekad inwestowali w badania i byli gotowi stanąć do rywalizacji opartej na własnych siłach. Przy takiej transformacji rola państwa jest nie do przecenienia, wiąże się choćby z planowaniem, jaki rodzaj wykształcenia będzie potrzebny.

W Finlandii prywatne szkoły prawie nie istnieją.

By ograniczyć konkurencyjność, nie publikuje się też rankingów szkół. Gdy odwiedzałem różne placówki edukacyjne, to zanim jeszcze zaczynali chwalić się jednymi z najwyższych na świecie wyników uczniów w testach PISA, podkreślali, że wartością, na której zbudowali system edukacji, jest równość. Oczywiście i tu pojawiają się problemy,

związane choćby z tym, że dziś w Finlandii jest sześć razy więcej obcokrajowców niż dwie dekady temu.

Czy imigracja zagraża fińskiemu modelowi?

Jeszcze na początku lat 90. Finlandia była – obok Polski – jednym z najbardziej homogenicznych państw Europy. W ostatnich latach w systemie edukacji pojawiła się jednak większa liczba uczniów, dla których fiński nie jest językiem ojczystym i nie słyszą go w swoim domu, a to język nieprawdopodobnie trudny do nauki. Nawet fiński system szkolny nie jest więc w stanie wspierać tych imigranckich dzieciaków na tyle, aby nadrobiły one dystans do fińskich rówieśników.

Rosnąca imigracja wiąże się z kryzysem demograficznym.

To prawda. Współczynnik dzietności Finowie mają tak niski jak Polacy, fińskie społeczeństwo szybko się starzeje. Większość elit politycznych, poza skrajną prawicą, uważa, że jedynym rozwiązaniem tych problemów jest otwarcie granic – stawiają na planowaną i zarządzaną imigrację. Ale idzie to opornie. Jednym z najważniejszych tematów

w ostatniej kampanii wyborczej był np. deficyt pielęgniarzek.

Te wybory wygrała prawica, a do rządu weszła właśnie ultranacjonalistyczna Partia Finów. Czego należy się po nich spodziewać?

Nowy rząd premiera Petteriego Orpo chce przede wszystkim radykalnie zmniejszyć wydatki publiczne. Cięcia dotkną m.in. edukację, a konkretnie szkolnictwo zawodowe, oraz wydatki na obronność. Zliberalizowany ma być kodeks pracy, a zaostrzenie reguł dotyczących zasiłków ma zmniejszyć bezrobocie. Tylko że tego już próbowano, a bezrobocie jest dzisiaj najmniejsze od 15 lat.

Więszym problemem jest chyba brak rąk do pracy?

Tak. I to zarówno w sektorze publicznym (np. w zawodach opiekuńczych, pielęgniarstwie), jak i prywatnym. Na politykę migracyjną i biurokrację narzekają też np. przedsiębiorcy z branży IT, którzy mają problem ze ściąganiem specjalistów, szczególnie spoza UE. A pod dyktando Partii Finów reguły dotyczące migracji (nie tylko wobec uchodźców) mają zostać jeszcze zaostrzone.

Jednocześnie to wciąż jedno z najszczęśliwszych, najbezpieczniejszych, najmniej skorumpowanych państw na świecie. Czy Polska w ogóle powinna się inspirować tak odmiennym kulturowo i społecznie państwem, jak Finlandia?

Ta przepaść między nami nie jest tak ogromna, gdy porówna się trajektorię przemian w strukturze społecznej i poziomie uprzemysłowienia w drugiej połowie XX w. Ale jeśli chodzi o szerokie porównania, to jestem sceptyczny. Pouczające jest zestawienie konkretnych obszarów polityk publicznych. Moja żona Magdalena Rek-Woźniak bada np. porównawczo politykę inwestycyjną opartą na wielkich przekształcaniach centrów miast w Łodzi i Tampere. Miast, które mają podobną historię, a kompletnie odmienną teraźniejszość. Tampere kwitnie i rośnie, mnóstwo Finów się tam przeprowadza – inaczej niż Łódź. Jednocześnie działania lokalnych władz są zadziwiająco podobne, często bezkrytycznie przyjmują zalecenia tych samych firm consultingowych. To skąd różnice? Pewnych zakorzenionych w kulturze modeli po prostu nie da się przeszczerzyć.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ

REKLAMA

Ostatni mędrzec Ameryki. O krętej drodze Cormaca McCarthy'ego opowiada Maciej Jarkowiec

+ **Olga Tokarczuk** o powieści, którą kocha najbardziej

+ **Miasto, które się droczy, czyli Warszawa według Doroty Masłowskiej**

+ **Nasz stały dodatek „Książki dla dzieci i młodszych dorosłych”**





Prosto do suszy

Mądra władza mogłaby uratować rzeki i jeziora, zatrzymać suszę, sadzić deszcz. Ale mentalnie wciąż tkwimy w micie „polskich bagien i mokradeł” – mówi Jan Mencwel, współzałożyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, autor książki „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać”.

JĘDRZEJ WINIECKI: – **Z jaką sytuacją wodną dziś się mierzymy?**

JAN MENCWEL: – Stoimy u progu wielkiego kryzysu, którego podstawowe przyczyny wiążą się ze zmianami klimatu.

Po pierwsze, brak śnieżnych zim, do tej pory stałej cechy naszego klimatu. To śnieg decyduje o tym, ile wody mamy do dyspozycji w ciepłych miesiącach. Tak zwany reżim wodny większości naszych rzek w dalszym ciągu uzależniony jest od tego, jak wiele spadnie go zimą i w jakim tempie stopi się na przedwiośniu. Ten mechanizm coraz bardziej szwankuje.

Po drugie, fale upałów i związane z nimi okresy suszy. W ich trakcie woda bardzo szybko odparowuje i zamiast regularnych opadów nawadniających ziemię, coraz częściej występują groźne nawałnice. Na szczęście jeszcze nie dochodzi u nas do zjawisk tak intensywnych jak na południu Europy, gdzie susza trwa niemal cały rok.

Jesteśmy na to gotowi?

A skąd. Polityka państwa i wielu samorządów wskazuje, że mentalnie tkwimy nawet nie w PRL, ale w dwudziestoleciu międzywojennym. W książce nawiązuję do „szklanych domów” z „Przedwiośnia” Żeromskiego, największego mitu o polskiej modernizacji. Na drugim planie tkwi tam dogmat, że jesteśmy krajem podmokłym i właśnie nadmiar wody decyduje o naszym zacofaniu. To przekonanie, o dziwo, utrzymuje się i dzisiaj.

Działania takich instytucji jak Wody Polskie prowadzą do prostowania rzek i strumieni, by woda szybciej spływała. Osuszenie jako cel strategiczny było podzielane przez wszystkie opcje polityczne, płynnie przeszło z aparatu państwowego państw zaborczych do II RP, później do PRL i III RP. PiS z entuzjazmem chce budować zaporę w Siarzewie pod Ciechocinkiem, która jest kontynuacją rozpoczętej za Gomułki kaskadyzacji Wisły. Jak udowodniać w książce, ten projekt sprzed ponad stu lat był wprost zainspirowany radziecką myślą hydrologiczną.

Podmokłość terenu to przemilczany element naszej tożsamości?

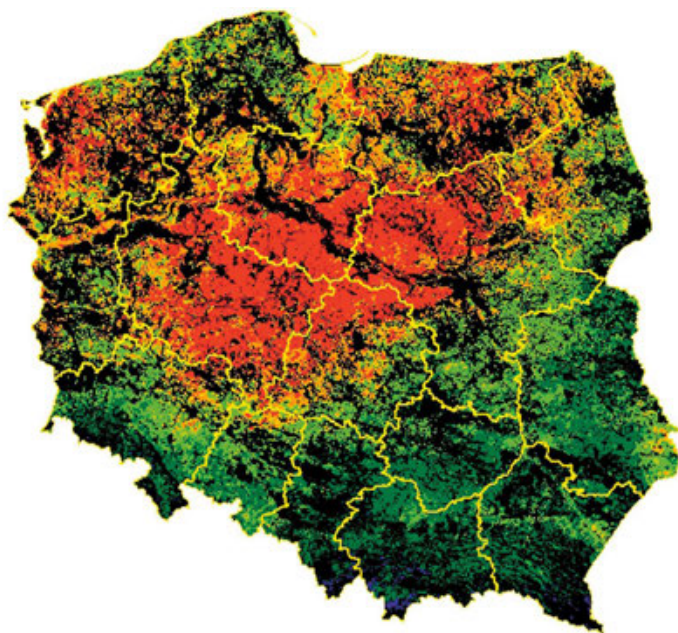
Gdy armia francuska nie dała rady na Mazowszu dogonić rosyjskiej, Napoleon miał powiedzieć, że odkrył w Polsce piątą żywioł: błoto. Naprawdę cierpieliśmy na nadmiar wody, a „błoto”, jako wyraz podmokłości kraju, było prawdziwą obsesją polskich elit, nie tylko Stefana Żeromskiego. Od tego czasu celowo osuszyliśmy 85 proc. mokradeł i wykopaliśmy setki tysięcy kilometrów rowów melioracyjnych, odwadniających doliny rzeczne, torfowiska, pola, łąki, lasy i co tylko się dało. Te zabiegi w dużej mierze były inspirowane działaniami otaczających nas wielkich mocarstw, w tym zaborców. Pierwsze duże regulacje rzek, m.in. Noteci, prowadzono już w pierwszym zaborze pruskim.



Wiśń coraz bardziej wygląda jak fabryka: wycina się zadrzewienia śródpolne, znikają miedze, kolejne małe rzeki zamieniane są w proste kreski po horyzont.

© STANISŁAW BIELSKU/REPORTER

Susza rolnicza w Polsce w okresie od 10 do 17 czerwca 2023 r.



Źródło: Centrum Teledetekcji Instytutu Geodezji i Kartografii

Jak mądra władza mogłaby uratować sytuację? Od czego powinna zacząć?

Od wycofania się z wielkich planów drzemących w rządowych szufladach. Trzeba wyrzucić do kosza koszarne koncepcje budowy tzw. dróg wodnych.

Nadal utrzymuje się mit, że zamienimy największe rzeki w żeglowne szlaki handlowe, m.in. w nowej ustawie odrzańskiej wiadać, że takie projekty mogą się doczekać realizacji. Na szczęście nie udało się ich na pełną skalę wcielić w życie ani przed wojną, ani za PRL. Regulacja Odry albo budowa nowych zapór na Wiśle to kosmiczne wielomiliardowe inwestycje, które się nigdy nie zwrócą. Pieniądze zostaną w nich – dosłownie – utopione.

Rząd uważa też, że trzeba „czynić sobie ziemię poddaną”, fałszywie interpretując przekaz biblijny. Nie przyjmuje do wiadomości faktu, że nasze wciąż częściowo dzikie i naturalne rzeki są polską przewagą i szansą rozwojową: stanowią wielką wartość w epoce zmieniającego się klimatu – będą mniej podatne na wysychanie i pomogą ograniczać skutki negatywnych zjawisk związanych z zanikiem śnieżnych zim, falami upałów i nawałnicami.

Rząd snuje za to wizję E40, śródlądowej drogi wodnej od Bałtyku do Morza Czarnego, przez Wisłę, Bug, Prypeć i Dniepr. Jej realizacja wymagałaby konszachtów z Alaksandrem Łukaszenką i odbudowy zniszczonej właśnie zapory w Nowej Kachowce.

Czyli science fiction. Wspólne stworzenie z Białorusią i Ukrainą „szlaku wodnego” dla iluzorycznych „korzyści gospodarczych” to wizja szalona. E40 miałyby powstać na terenach, gdzie brakuje wody. Na rzekach częściowo dzikich, przecinając skażony obszar pod Czarnobyłem, bez absolutnie żadnego sensu ekonomicznego. ▶

Pogląd, że rzeki trzeba regulować, a rozlewiska osuszać, jest z gruntu patriarchalny.



► A co ma sens?

Łapanie wody w krajobrazie. Potrzebujemy programu stymulującego mikrozmiany. Kluczową jest ochrona miejsc trochę podmokłych, naturalnych terenów zalewowych, zakoli rzek, lasów łągowych, starorzeczy.

One są gąbką, przez którą teren nasiąka, odbudowując pokłady wód gruntowych i ładując wodną baterię, z której gleba skorzysta w okresie suszy. Naukowcy z Centrum Ochrony Mokradeł argumentują, że możliwa jest jeszcze odbudowa przesuszonych dużych i małych mokradeł. Ta sama gąbka działa jak bufor, przechwytyje nadwyżki z nawalnych deszczy.

Takie obszary da się również użytkować rolniczo. Nie mogą tylko być zabudowywane.

Przed trzema laty prezydent Andrzej Duda zainaugurował program Moja Woda, nazywany „oczko wodne plus”.

To chyba dobrze?

Ogrodowe jeziora na niewiele się zdadzą, jeśli równolegle w ramach tzw. prac utrzymaniowych prostujemy i osuszamy całe ciek. Politykę należy przestawiać na inne tory – nazywam to sadzeniem deszczu. Chodzi o traktowanie całego krajobrazu jako przestrzeni, która może w maksymalnym stopniu przyjąć możliwie dużo wody. Tu każdy skrawek ma znaczenie.

Ciekawym przykładem jest Gdańsk, w którym w ostatnich dekadach zdarzyła się dwukrotnie tzw. powódź stulecia. Zdano tam sobie sprawę, jak wiele przestrzeni miejskich jest bez sensu zabetonowanych, a istniejąca zieleń bardzo słabo chłonie wodę, gdy przycinana jest pod linijkę i nadmiernie „porządkowana”. Trzeba przestrzenie miejskie rozbetonować, by łąpać deszcz tam, gdzie spadnie. Wyznaczać ogrody deszczowe, czyli skwerki, przez które woda trafi do gleby. Pamiętać o pasach zieleni wzdłuż ulic, ograniczyć koszenie trawników, zarzucić grabienie parkowych liści i gdzie się da zostawiać strefy dzikiej przyrody, która za darmo znakomicie poradzi sobie z retencją. Przy okazji zasilimy pokłady wód gruntowych i pomożemy glebie, więc będziemy bardziej odporni na susze.

To w miastach. A na wsi?

Jeszcze pół wieku temu w Polsce rzeczywiście było bardzo dużo wody. Pola długo nie nadawały się do upraw – nie tyle przez katastrofalne powodzie, ile przez występowanie rozlewisk i podtopień. Dość powiedzieć, że jeszcze sto lat temu na Kurpiach wielu gospodarzy umiało chodzić na szczydach. Dziś Kurpie

zostały osuszone i co roku cierpią z powodu powracających susz. Wieś coraz bardziej wygląda jak fabryka: wycina się zadrzewienia śródpolne, znikają miedze, kolejne małe rzeki zamieniane są w proste kreski po horyzont. W ten sposób zwiększa się obszar wykorzystywany bezpośrednio pod uprawy. To jednak strategia krótkowzroczna.

W książce opisuję historię rolnika z Wielkopolski, który przywracając dawny podmokły krajobraz wokół swoich pól, nawodnił całą okolicę i teraz ma znacznie lepsze plony. Ale to przypadek odosobniony, częściej rolnicy stawiają deszczownie, mające zraszać uprawy wodą wydobywaną spod ziemi – a ta jest zasobem ograniczonym. W ten sposób de facto walczą tylko ze skutkami suszy, pogłębiają jej przyczyny i robią to na kredyt przyszłych pokoleń. A i tak sprawdza się to tylko do pewnego stopnia. W upale część kropli odparowuje, zanim jeszcze zetknie się z glebą. Jak powiedział mi jeden z rozmówców: kiedyś uprawiało się ziemię, a teraz uprawia się rosnące na niej rośliny. Powinniśmy to dawne podejście przywrócić.

A jak poradzić sobie z przemysłem? Po katastrofie na Odrze wiemy, że są odcinki rzek o zasoleniu wyższym niż Bałtyk.

Prawo nadal pozwala, byśmy rzeki eksploatowali zupełnie bezmyślnie. O solance spuszczonej do Odry i Wisły przez zakłady górnicze bez żadnej kontroli pewnie wiele osób słyszało, ale mamy inny, nieoczywisty, problem. W najcenniejszym przyrodniczo fragmencie środkowej doliny Wisły funkcjonuje wiele zakładów zajmujących się wydobyciem piasku z rzeki. Nikt nie weryfikuje rozmiarów i konsekwencji ich działalności.

Obraz Aleksandra Gieryskiego „Piaskarze”, przedstawiający warszawskie nabrzeże lat 80. XIX w., podpowiada, że wydobycie piasku jest aktywnością wręcz pożyteczną i zrównoważoną, surowiec napływa sobie niesiony nurtem. Nie trzeba go przywozić, a Wisła cały czas wygląda tak samo.

Otóż nie do końca. W Europie Zachodniej ten proceder został zdecydowanie ograniczony kilkadziesiąt lat temu. Impulsem do zmiany było m.in. zawalenie się starego mostu we francuskim mieście Tours, pośrednio spowodowane intensywnym wydobyciem piasku z Loary.

Naukowcy ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego przeanalizowali, dlaczego w Wiśle ubywa wody. Są bardzo poważne



Działania takich instytucji jak Wody Polskie prowadzą do prostowania strumieni, by woda szybciej spływała. Tymczasem potrzeba nam rzek meandrujących.

przesłanki, by sądzić, że nie jest to wcale spowodowane niskimi przepływaniami w całej rzece. Lustro wody obniża się właśnie przez wydobywanie piasku – gdy go zabieramy, rzeka coraz bardziej żłobi dno, staje się głębsza, a przez to węższa.

Wody Polskie wydają zgody na wydobywanie piasku, choć nie dysponują żadnymi badaniami, które oceniałyby, jak ta działalność wpływa na rzekę. Bo jeśli jest się odpowiednio dużym graczem, wodę można eksploatować bez opamiętania. Wydobywanie węgla brunatnego w wielkich odkrywkach przez spółki węglowe pod Koninem doprowadziło do wysychania jezior – ich poziom spadł o kilka metrów i działało się tak również w miejscach nieuwzględnionych w prognozie oddziaływania na środowisko.

Obecna władza forsuje projekt staromodny i konserwatywny.

A co myśli strona demokratyczna?

I jej bardzo trudno jest się wyzwolić z przymusu osuszania i regulacji, wykonywanych także z wykorzystaniem funduszy unijnych. Żadna ze stron polskiego życia politycznego nie jest od tego wolna. Niemniej jakaś refleksja kiełkuje. Pośtanka Lewicy Daria Gosek-Popiołek czy Małgorzata Tracz z Zielonych od dawna angażują się w obronę rzek. Z kolei podczas konwencji klimatycznej Platformy Obywatelskiej Donald Tusk wymienił – szokującą jak na jego dotychczasową technokratyczną linię – potrzebę ochrony mokradeł. To samo zobowiązanie pojawiło się w materiałach partii. Jest to rzecz warta odnotowania, bo za rządów PO polityka państwa w dziedzinie ochrony środowiska nie prezentowała się szczególnie progresywnie.

Aby podobne postulaty były wyborczo istotne, muszą mieć społeczny rezonans. Jak po stuleciach indoktrynacji uwrażliwić obywateli? Skąd mają wiedzieć, że melioracje nie są niezbędne, a dzikie rzeki bardziej niż zagrożeniem są szansą?

Po pandemii wróciliśmy na szczęście do kontaktu z przyrodą. Jej naturalny rezerwar znajduje się nad wodą: nad jeziorami, na brzegu rzek, przy mokradłach i podmokłych łąkach, będących małymi wyrwami w coraz bardziej uprządkowanej przestrzeni. Zaczynamy

doceniać piękno naturalnego krajobrazu wodnego i dostrzegamy, że strefy takiego „nieuporządkowania” coraz szybciej znikają. Romantyczny obraz leniwie meandrującej rzeki i klasycznego polskiego rozlewiska jest zarazem tym, do czego powinniśmy dążyć, by poprawić naszą sytuację wodną. To, co uważamy za piękne, jest najbardziej użyteczne.

Jednocześnie twierdzi pan, że nie wystarczy wyrzeczenia obywateli. Kropla nie wydrąży skały?

W dyskusji o kryzysie wodnym za dużo jest zwracania uwagi na to, co każda i każdy z nas może lub powinien zrobić. Osoby już wrażliwe na zmianę klimatu trwają w coraz głębszym poczuciu winy, starając się jeszcze mniej emitować. Boją się, że podobnie stanie się z wodą: będziemy się obwiniać za zjedzenie czegoś, do wyprodukowania czego potrzebna była taka a taka ilość wody. Nie twierdzę, że te działania nie mają sensu, ale skupianie się na nich jest przeciwskuteczne. Będziemy analizować, jakiej przyjemności sobie odmówić, bo pozostawia zbyt duży ślad wodny, a w tym czasie politycy będą wyrzucać miliardy złotych na zaporę w Siarzewie, E40 czy zdevastowanie jakiejś małej rzeczki w naszej okolicy. Ich działania będą miały na sytuację wodną Polski wpływ zdecydowanie większy niż sytuacja, w której wszyscy kąpalibyśmy się trzy razy dziennie.

Nowe myślenie o wodzie związane jest z porzuceniem patriarchalnego podejścia do przyrody. Wydana właśnie książka prof. Andrzeja Chwalby o Wiśle jest biografią rzeki jako kobiety. To jest klucz?

Myśl, że rzeki są dobre tylko wtedy, gdy są uregulowane i nie wolno im się spontanicznie rozlewać, jest z gruntu patriarchalna. Pewnie dlatego ruch w obronie rzek jest dziś zorganizowany i napędzany przez kobiety, jak organizacja Siostry Rzeki, skrzyknięta przez krakowską artystkę Cecylię Malik. Może ma to źródło w kobiecej perspektywie, pomagającej dostrzec zalety nieingerencji.

Odchodząca premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern mówiła, że możliwy jest inny model rządzenia. W nim zamiast obsesji kontroli jest miejsce na większą wrażliwość.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI



Jan Mencwel – działacz społeczny, pisarz i publicysta. Współzałożyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, zabiegającego o zrównoważony rozwój i przystępność przestrzeni Warszawy. W 2020 r. opublikował głośną książkę „Betonoz. Jak się niszczy polskie miasta”.



Fałszowana demokracja

Nowe modele sztucznej inteligencji dostarczają narzędzi do manipulowania poglądami politycznymi. Czy zdemolują rządy ludu?



ANDRZEJ LUBOWSKI

Rewolucja nadeszła szybciej, niż oczekiwali tego sami rewolucjoniści. Jeszcze całkiem niedawno Andrew Ng, współtwórca i szef Google Brain, obawy przed superinteligentną i potencjalnie groźną sztuczną inteligencją porównał do zmartwień o przeludnienie Marsa. Dziś na pytanie, czy SI może zniszczyć ludzkość, jej „ojciec chrzestny”, współtwórca idei sztucznych sieci neuronowych Geoffrey Hinton, odpowiada: „nie jest to niewyobrażalne”. Przypomina, że „trudno sobie wyobrazić, jak można uniemożliwić hakerom (bad actors) użycia SI w niecznych celach”. Daje przykład: „w rękach takich ludzi jak Putin...”.

ILUSTRACJA MIROSLAW GRYŃ

Gdy półtora roku temu wyszła książka „The Age of AI And Our Human Future”, mimo znamienitych autorów (Henry Kissinger, Eric Schmidt, wieloletni prezes Google i Daniel Huttenlocher, dziekan College of Computing w MIT) nie odbiła się szerszym echem. Cztery miesiące temu to samo trio na łamach „Wall Street Journal” opublikowało tekst „ChatGPT zwiastuje intelektualną rewolucję. Generatywna sztuczna inteligencja tworzy filozoficzne i praktyczne wyzwanie na skalę niespotykaną od początku Oświecenia”. Autorów zaniepokoił fakt, że nie uformowało się żadne polityczne ani filozoficzne przywództwo, które wyjaśniałoby i kierowało tą nową relacją między człowiekiem a maszyną. Co stanie się z demokracją w świecie sztucznej inteligencji? – pytają.

Odpowiadając, kreślą mało atrakcyjny obraz: zważywszy na ogromny koszt niezbędnej mocy obliczeniowej, modele zdolne do wysokiej jakości syntezy rzeczywistości mogą pozostać w rękach wąskich grup i pod kontrolą supermocarstw. Bez odpowiednich podstaw moralnych i intelektualnych będą raczej ograniczać, niż wzmacniać nasze człowieczeństwo. Nawet jeśli systemy SI staną się bardziej godne zaufania, ludzie muszą znaleźć proste sposoby zrozumienia ich struktur, procesów i wyników działania. Silne normy będą konieczne, aby powstrzymać uzależnienie od programów jako arbitrów rzeczywistości.

Zachwalanie i zohydzenie

A co się stanie, jeśli nie będzie można całkowicie kontrolować tej technologii? Co, jeśli zawsze będą istniały sposoby na generowanie kłamstw, fałszywych zdjęć i fałszywych filmów, a ludzie – od urodzenia uczeni, aby wierzyć w to, co widzą i słyszą – nigdy nie nauczą się nie wierzyć w to, co widzą i słyszą, a co może różnić się z prawdą?

Choć SI dopiero od niedawna oszukuje, zdając za nas trudne testy, zmieniając grafomanów w płodnych literatów i mnożąc pytania, jak wpłynie na rynek pracy, to do polityki nie musi pukać. Już w niej tkwi, co najmniej od czasu, gdy dwie wielkie kampanie szalbierstw i brudnych trików w wykonaniu firmy konsultingowej Cambridge Analytica wpraw nieoczekiwanie wyrwały Wielką Brytanię z Unii Europejskiej, a później przyniosły Ameryce i światu Donalda Trumpa w roli prezydenta. To był przedsmak spustoszenia, jakie może wyrządzić SI. Aby opisać proces wykorzystania technologii informatycznych i sieci

społecznościowych do manipulowania opinią publiczną, naukowcy ukuli nawet termin – *computational propaganda* (propaganda obliczeniowa).

Badacze z laboratorium Polarization and Social Change oraz Institute for Human-Centered Artificial Intelligence (HAI) ze Stanford University testowali zdolność SI do kształtowania ludzkich poglądów w tak wysoce kontrowersyjnych w USA kwestiach, jak dostęp do broni, podatek od emisji dwutlenku węgla czy płatny urlop rodzicielski. Kilku tysiącom osób dano do przeczytania teksty napisane w tej samej intencji przez GPT-3 (model, który napędza ChatGPT) i przez ludzi. Okazało się, że produkty autorstwa SI były co najmniej równie przekonujące, a w kilku przypadkach nawet bardziej skuteczne.

Narzędzia wykorzystujące sztuczną inteligencję są w stanie monitorować zmiany opinii publicznej po przeprowadzeniu konkretnej kampanii, oceniać, co w niej zadziało, a co nie, a na koniec budować strategię kolejnej. Algorytmy mogą rekomendować narrację wzmagającą antagonizmy i wywoływać silniejszą nienawiść do przeciwników. Co więcej, takie narracje mogą być również poparte „dowodami”. SI pozwala nie tylko na rezurekcję duetu Paul McCartney/John Lennon, lecz także na włożenie w dowolne usta dowolnych słów. Potrafi manipulować rankingiem w sieci i zapewnić sytuację, w której średnio dociekliwemu wyborcy zabraknie czasu albo cierpliwości, aby dowiedzieć się o dokonaniach kandydata „A”. Ten czas zabierze mu bowiem lektura spreparowanej narracji w stylu „A” kradnie, bije żonę, handluje heroiną, sfalszował dyplom uczelni. A wszystko ubarwione clipem, na którym obraża narodowe świętości. Innymi słowy, sztuczna inteligencja może wyposażać każdego polityka w bezprecedensową zdolność legitymizowania siebie w oczach wyborców przy jednoczesnym zohydzeniu konkurentów.

Ryzyko zautomatyzowanych kampanii dezinformacji to niejedyny wyzwanie, jakie systemy SI stawiają demokracji. Jej kondycja zależy po części od wrażliwości rządzących na głos rządzonych. Ułatwiając tworzenie wielkich ilości wiarygodnie brzmiącego, ale sfabrykowanego tekstu, modele językowe grożą zniekształceniem tego głosu. Taki jest właśnie cel tzw. *astroturfingu* – mistyfikacji polegającej na tworzeniu wrażenia, że za prezentowaną opinią stoi znacznie więcej ludzi niż w rzeczywistości (*astroturf* to sztuczna trawa).

Gdy w 2017 r. amerykańska Federalna Komisja Łączności (Federal Communications Commission, FCC) zaprosiła do publicznego komentowania proponowanych zmian w przepisach dotyczących neutralności sieci, *astroturfing* przeciwny neutralności „wyprodukował” miliony komentarzy. Pewien student college’u opowiadający się za neutralnością sieci użył automatycznie skrypty do wygenerowania ich aż 7 mln. FBI udaremniło tego typu działania tylko z powodu niedoskonałości technologii: ledwie 6 proc. z prawie 22 mln komentarzy było unikatowych, więc manipulacja była łatwa do wykrycia. SI może jednak wspomagać *astroturfing* i znakomicie utrudnić jego identyfikację.

Szybkość i skala

Bezcenne jej atrybuty to szybkość i skala. Doświadczony waszyngtoński lobbysta z nutką zażenowania wspomina dawne czasy, gdy prosił dziesięcioro przyjaciół, aby każdy napisał do konkretnych legislatorów 20 listów poparcia lub sprzeciwu wobec planowanej inicjatywy ustawodawczej. Obiecywał im dożgonną wdzięczność albo butelkę wina. Dziś SI upora się (bez przekupstwa) z dowolną liczbą listów do wszystkich członków Kongresu.

W opublikowanym niedawno w „New York Times” artykule „How ChatGPT Hijacks Democracy” („Jak ChatGPT przejmuje kontrolę nad demokracją”), analityk danych Nathan E. Sanders i kryptolog Bruce Schneier dowodzą, że SI nadaje się znakomicie do pisania listów do redakcji, urzędów regulacyjnych, rządu czy parlamentu. Jest w stanie zasypać media społecznościowe niewyobrażalną lawiną petycji i apeli w dowolnej – ważnej lub błażej – sprawie. Może więc robić dokładnie to, co wyczyniała pupilka Kremla, Internet Research Agency, kiedy próbowała wpłynąć na wynik wyborów w Ameryce. Zamiast zalewać skrzynki wszystkich prawodawców, wystarczy wybrać tych najbardziej wpływowych, zidentyfikować ich miękkie podbrzusza – i przypuścić zmasowane natarcie na nich. W wykonaniu człowieka czynność tę nazywamy lobbieniem.

Rola lobbysty polega często na wstawieniu przecinka w odpowiednim miejscu na odpowiedniej stronie prawa podatkowego. Aby dobrze rozumieć, w kogo i jak celować, jak identyfikować słabe ogniwo albo wskazać miejsce wstawienia lub usunięcia owego przecinka, najlepiej zhakować system. Te dotyczące legislacji są szczególnie atrakcyjnym ►



Deepfake to jedna z metod dezinformacji. Polega na tworzeniu fałszywych zdjęć za pomocą sztucznej inteligencji. Tu sceny z rzekomego aresztowania byłego prezydenta USA Donalda Trumpa.

► celem – i dlatego, że motywacje dla takiego ataku są często potężne i wymierne, i dlatego, że ich penetracja jest stosunkowo łatwa, bo w otwartym społeczeństwie demokratycznym ich architektura jest zwykle z założenia przejrzysta. To tworzy znakomity poligon treningowy dla SI, a jej ingerencję niełatwą do wykrycia.

SI może też jednak być, paradoksalnie, narzędziem demokratyzującym lobbings. Dziś posługują się nim głównie silni: zbrojeniówka, ubezpieczenia, farmacja. Lobbying z wykorzystaniem SI, obniżając jego koszt, może go uczynić bardziej dostępnym dla słabszych. Nie oznacza to cudownego zrównania szans, ale może umożliwić grę tym, których dziś nie stać na bilet uczestnictwa.

Xi i SI

Sztuczna inteligencja, podobnie jak 5G w przypadku telekomunikacji, dotyka kwestii bezpieczeństwa narodowego i geopolityki. Jeszcze niedawno wydawało się, że w pracach nad SI Stany Zjednoczone i Chiny idą łeb w łeb. Wysyp amerykańskich chatbotów zmienia tę optykę. Między innymi dlatego temat SI trafił ostatnio pod obrady Politbiura. Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping interesuje się nim z dwóch powodów: jeden to inwigilacja społeczeństwa, drugi – militarny wymiar wyścigu technologicznego z Ameryką.

W inwigilacji, a zwłaszcza rozpoznawaniu twarzy, Chińczycy nie mają sobie równych. W sferze wojskowej Pekin dręczy jednak obawy, że Amerykanie są przed nim. Tym bardziej że restrykcje eksportowe wprowadzone przez

Waszyngton jesienią 2022 r. objęły w pierwszym rzędzie zaawansowane mikroprocesory, bez których nie ma mowy o porządnie rozbudowanej SI.

Dla Chin szok związany ze sztuczną inteligencją, przez niektórych określany mianem „Sputnik moment”, nadszedł w maju 2017 r., kiedy model Google AlphaGo pokonał Ke Jie, arcymistrza pradawnej azjatyckiej gry go. Wtedy Pekin zainwestował w badania SI ogromne pieniądze i zaczął zmniejszać naukowy dystans, jaki dzielił go od Waszyngtonu. W tegorocznym rankingu „Times Higher Education” w pierwszej dwudziestce kategorii „Computer Science” znalazło się 11 uczelni amerykańskich i 2 chińskie. Sześć lat temu stosunek wyniósł 9:0. W najnowszym wydaniu powązanego „rankingu szanghajskiego” (Academic Ranking of World Universities, ARWU) w pierwszej dwudziestce kategorii „Computer Science&Engineering” znalazło się 8 uczelni amerykańskich i 5 chińskich (w 2017 – odpowiednio 11 i 1).

Chiny zainwestowały w sztuczną inteligencję zbyt wiele i stawka jest zbyt wysoka, aby Xi mógł zdjąć tę rywalizację z listy priorytetów.

Aplikacje i regulacje

SI wzbogaca zatem arsenał i moc rażenia erystyki, nazywanej nad Wisłą nawijaniem makaronu na uszy. Istnieje jednak jeszcze inne, rzadko dostrzegane niebezpieczeństwo. Eksplozja zainteresowania GPT i wyścig w tej dyscyplinie odwraca uwagę i absorbuje zasoby – ludzkie talenty i pieniądze – od rozwoju tych zastosowań SI, które mogą przynieść ludzkości najbardziej

znaczące korzyści, takie jak przyśpieszenie prac nad nowymi lekami, wcześniejsze i skuteczniejsze wykrywanie chorób nowotworowych czy inicjatywy na rzecz klimatu.

GPT wymaga ogromnej mocy obliczeniowej i arcykosztownych serwerów. Niestety kapitał zachowuje się jak stado owiec i w ślad za graczami, którzy nadają dziś ton wyścigowi w kategorii GPT – czyli Google’em i Microsoftem – podążą inni. Rozwój aplikacji zorientowanych na zdrowie, naukę czy klimat może więc zostać zepchnięty na drugi lub trzeci plan. SoftBankGroup, ogromny japoński inwestor technologiczny, oznajmił właśnie, że z wypchanym portfelem rusza na zakupy firm rozwijających SI. W tym celu sprzedał niemal wszystkie swoje udziały w chińskim portalu handlowym Alibaba. Powody są dwa: zauroczenie ChatGPT oraz chęć minimalizacji ryzyka geopolitycznego związanego z napięciami w relacjach USA-Chiny i wojną w Ukrainie.

Świat nie jest wobec tych rozmaitych zagrożeń całkiem bezradny. Dowodem są choćby działania Nicolaia Tangena, szefa największego na świecie państwowego funduszu majątkowego (Norweskiego Państwowego Funduszu Emerytalnego) o wartości 1,4 bln dol., posiadającego średnio 1,5 proc. każdej na świecie firmy notowanej na giełdzie (jest ich 9 tys.). Norweg oznajmił swój entuzjazm wobec SI, ale jednocześnie przekonanie, że rządy powinny ją regulować. Zapowiedział, że do sierpnia jego fundusz przedstawi zasady, jakie będą obowiązywały firmy posługujące się sztuczną inteligencją, w których jego fundusz inwestuje.

Jak pisze Sarah Kreps, dyrektor Tech Policy Institute w Cornell University, organy regulacyjne i ustawodawcy mogą wkrótce dostać dość precyzyjne narzędzia do wykrywania tekstów generowanych automatycznie. OpenAI, Anthropic i inni autorzy najnowocześniejszych modeli językowych eksperymentują natomiast ze „znakowaniem wodnym” tworzonego przez siebie tekstu. I wreszcie – SI to narzędzie wielofunkcyjne. Może być wykorzystywane także do przeciwdziałania atakom hakerskim, choćby analizie ruchu sieciowego i wykrywania podejrzanych aktywności. Analiza treści e-maili ułatwi ochronę przed phishingiem, czyli podszywaniem się pod osoby lub instytucje, głównie w celu wyłudzenia danych.

Gra dopiero się zaczyna.

ANDRZEJ LUBOWSKI

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Lipcowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl



Pas Venus – jeden z największych żebroplawów, dochodzący do 1,5 m długości.



Nerwy bez przerwy

Żebroplawy wywracają wizję początków wszystkich zwierząt, w tym ludzi. Ta mało znana grupa morskich stworzeń każe też zrewidować wiedzę o ewolucji układu nerwowego.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Zebroplawy nie są ani popularne, ani sławne, ale staną się takie. Jestem tego pewien – mówi dr Paweł Burkhardt z University of Bergen w Norwegii. Ten badacz stał na czele zespołu, którego praca, opublikowana w kwietniu w „Science”, skierowała na tę mało znaną grupę zwierząt światła jupiterów. Naukowcy udowodnili, że żebroplawy mają układ nerwowy odmienny od wszystkich pozostałych zwierząt. – *On jest jak nie z tego świata* – mówi dr Burkhardt.

Ledwo miesiąc później brytyjskie „Nature” włączyło kolejne reflektory na scenie zajmowanej przez żebroplawy. Opublikowana tam analiza genów ujawniła, że ta grupa była pierwszą, która oddzieliła się

od wspólnego pnia zwierząt. Do tej pory za najbardziej pierwotne zwierzęta uważano gąbki, bo ich budowa jest luźna, prowadzą osiadły tryb życia i nie mają układu nerwowego ani mięśniowego. A u żebroplawów ciało jest mobilne, zaopatrzone w nerwy i mięśnie. Jeśli więc one były najbardziej pierwotne, to praprzodek wszystkich zwierząt, w tym i nas, mógł być o wiele bardziej skomplikowany, niż ktokolwiek do tej pory przypuszczał. Wizja ewolucji świata fauny wywraca się do góry nogami.

Śmiała koncepcja

Dzisiaj żebroplawy najczęściej można spotkać w morzu. Spośród znanych nauce stu kilkudziesięciu ich gatunków ledwie parę osiadło na dnie. Reszta pływa

swobodnie w toni morskiej. Ich delikatne, niemal przezroczyste ciała prą przez wodę dzięki ciągłym ruchom rzęsek ustawionych w osmiu rozchodzących się wzdłuż ciała rzędach. Migocząc, załamują światło, co nadaje im tęczy, ustawicznie zmieniający się poblask. To od tych rzędów rzęsek, przypominających żebra i służących do pływania, wzięła się nazwa tych zwierząt.

Delikatny wygląd skrywa jednak naturę bezwzględnie drapieżnika. Oczywiście z zachowaniem wszelkich proporcji. Żebroplawy osiągają wielkość od paru milimetrów do 1,5 m, najczęściej mieszczą się w granicach kilku–kilkunastu centymetrów. Odpowiednio do tej wielkości ich ofiarami stają się drobne zwierzęta

planktonowe, czasem skorupiaki, meduzy, małe ryby lub inne żebroplawy. Ofiarę połykają, trawią, a resztki wyrzucają przez otwór gębowy, bo odbytowego nie mają.

Jeszcze w latach 80. XX w. podręczniki umieszczały żebroplawy w grupie zwanej jamochłonami. Obejmowała ona także meduzy, stułbie i koralowce. Wszystkie te zwierzęta mają ciało miękkie, pozbawione szkieletu i zbudowane z dwóch warstw komórek. Ich układ pokarmowy przybiera postać „worka” zwanego jamą chłono-trawiącą. To z jej powodu noszą swą polską nazwę. Układ nerwowy jamochłonów ma zwykle postać rozproszonej siatki neuronów. Meduzy, stułbie i koralowce słyną z komórek parzydełkowych, których toksyna potrafi obezwładnić ofiarę lub odstraszyć przeladawcę. Żebroplawy nie mają takich struktur.

Nowsze badania ujawniały jednak kolejne różnice między żebroplawami a pozostałymi jamochłonami. Analizy genetyczne dowodziły wręcz, że są ze sobą niespokrewnione, a ich podobny wygląd to tylko efekt zamieszkiwania tego samego środowiska i prowadzenia zbliżonego trybu życia. Meduzy, stułbie i koralowce zgrupowano więc w typie parzydełkowców (Cnidaria), a żebroplawy zyskały status drugiego samodzielnego typu Ctenophora. Prof. Jerzy Dzik z Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie pisał w swej wydanej w 2015 r. „Zoologii”: „Są one pierwotniejsze od parzydełkowców, a niektóre dane molekularne wskazują, że mogą być nawet dawniejsze od gąbek”. Dodawał przy tym, że „ta ostatnia koncepcja wydaje się jednak nieco zbyt śmiała”.

Krwawy spór

Nic dziwnego. To gąbki, najprostsze zwierzęta, które całe życie siedzą przykute do dna i filtrują wodę w poszukiwaniu cząstek pokarmu, wydawały się pasować do schematu ewolucji od zwierząt najprostszych do najbardziej złożonych. Tymczasem badania genetyczne nie były tu jednoznaczne. Sprzeczki między naukowcami bywały nieraz ostre. Ed Yong, brytyjski dziennikarz naukowy, komentował to słowami: „Najpierw gąbki vs. najpierw żebroplawy – to jedne z moich ulubionych mało znanych krwawych sporów akademickich”.

Rozstrzygnąć tę dyskusję postanowił zespół naukowców pod kierunkiem Daniela S. Rokhsara z University of California w Berkeley oraz Darrina T. Schultza z Universität Wien. Zamiast analizować pojedyncze geny, badacze skupili się na ich dużych grupach, które kiedyś przeskoczyły

z jednego chromosomu na drugi. Takie zdarzenia są wyjątkowo rzadkie w ewolucji, a prawdopodobieństwo ich dokładnego powtórzenia jest bliskie zeru. Kilka z takich przemieszczeń naukowcy dostrzegli w genomach gąbek i wszystkich innych zwierząt – poza naszymi bohaterami. To oznaczało, że skomplikowane żebroplawy oddzieliły się od wspólnego przodka zwierząt wcześniej niż proste gąbki, jeszcze zanim doszło do tych zmian w chromosomach.

– *To wspinała praca* – komentuje dr Paweł Burkhardt. – *Jej autorzy wykorzystali nową technikę, jeszcze niestosowaną na tym polu. Dla mnie to bardzo przekonujące.* Prof. Jerzy Dzik nieco jednak entuzjasm studzi: – *Nie potrafię ocenić wagi rozumowania przedstawionego w artykule z „Nature”. Nie widzę jednak powodu za przeczenia jego konkluzji.*

Wtórne uproszczenie

Gdyby to jednak żebroplawy, a nie gąbki były pierwotnymi zwierzętami, to jak mógł wyglądać praprzodek wszystkich przedstawicieli fauny? Ponieważ dzisiejsi przedstawiciele tej grupy nie mają szkieletu, to szanse zachowania ich szczątków są bardzo małe. – *Niewątpliwie w trakcie ewolucji ich anatomia uległa uproszczeniu. Dzisiejsze przejrzyste żebroplawy niewiele mają wspólnego z paleozoicznymi przodkami* – twierdzi prof. Dzik.

Na stanowisku Chengjiang w Chinach miał on okazję badać okazy sprzed 540 mln lat. Pojawiające się wtedy nagle duże ilości skamieniałych szczątków w zapisie kopalnym są efektem rozwoju szkieletów i muszli. Powodem była rosnąca obecnie drapieżników w morzach albo zwiększająca się ilość wapnia w wodzie. Jedną z takich skamieniałości, nazwaną później *Maotianoascus octonarius*, prof. Dzik zidentyfikował jako najstarszy gatunek żebroplawy. – *Przy typowej dla tych zwierząt ośmiopromiennej symetrii miał on cechy wśród dzisiejszych jego krewniaków nieznanne, np. płaskie struktury szkieletowe rozdzielające pola z poprzecznymi szeregami rzęsek służących żebroplawom jako narządy ruchu* – opowiada paleontolog.

Dodaje też, że wiele wczesnych żebroplawów „miało rozbudowany sztywny szkielet”. Musiały go więc w toku ewolucji utracić. W 2002 r. badacz zaproponował nawet hipotezę, że tajemnicze „pióra morskie” – skamieniałości sprzed 560 mln lat, czyli jeszcze przed pojawieniem się licznych szkieletów w zapisie kopalnym – też są spokrewnione z żebroplawami. To wszystko sugeruje, że wspólny

przodek wszystkich dzisiejszych zwierząt naprawdę był stworzeniem o złożonej budowie. – *Wydaje mi się, że wtórne uproszczenie gąbek jest wysoce prawdopodobne* – podsumowuje prof. Dzik.

– *Gąbki mogły utracić parę rzeczy* – zgadza się dr Paweł Burkhardt. Jedną z nich prawdopodobnie był układ nerwowy. – *Powstał on bardzo, bardzo wcześnie w ewolucji.*

Niewidoczny przodek

Żebroplawy go zachowały. Gdy jednak zespół dr. Burkhardta przyjrzał się mu uważniej, natrafił na przedziwne struktury. U wszystkich zwierząt komórki nerwowe są samodzielne. Łączą się ze sobą za pomocą struktur zwanych synapsami. To rodzaj niewielkiej przerwy między komórkami, do której jedna wydziela substancje chemiczne zwane neuroprzekaznikami, a druga je odbiera. Ich zadaniem jest przekazanie informacji – pobudzenie neuronu lub zahamowanie go. Neuroprzekaznikami są np. serotonina (zwana hormonem szczęścia) czy adrenalina (hormon strachu, walki i ucieczki). – *Mysleliśmy, że i u żebroplawów znajdziemy synapsy jak u innych zwierząt* – mówi naukowiec.

Tymczasem badacze odkryli, że komórki nerwowe żebroplawów nie mają połączeń w postaci synaps, a tworzą jedną wielką strukturę zwaną syncytium albo komórczakiem, czyli coś w rodzaju ogromnej komórki z wieloma jądrami. – *To była duża niespodzianka* – komentuje dr Burkhardt. Synapsy u żebroplawów tworzą się tylko na styku tej wielkiej struktury z komórkami czuciowymi lub mięśniowymi. Korzystają tam jednak z bardzo ograniczonego zestawu neuroprzekazników – nie ma wśród nich ani serotoniny, ani adrenaliny.

Zagadką pozostaje, jak wyglądał układ nerwowy u praprzodka wszystkich zwierząt. Czy tak jak u żebroplawów, czy jak u pozostałych gatunków? A może jeszcze inaczej? – *Problem polega na tym, że możemy widzieć tylko te gatunki, które żyją dzisiaj. A wszystkie one ewoluowały 600 mln lat od wspólnego przodka* – mówi dr Burkhardt. Badacz próbuje się jednak tego dowiedzieć. Ostatnia jego praca z „Nature” była przecież analizą jedynie wczesnego stadium rozwoju u żebroplawy *Mnemiopsis leidyi*. Teraz jego zespół sprawdza, czy układ nerwowy ma taką samą budowę u innych gatunków z tej grupy na różnych etapach rozwoju. Być może wyniki skierują na te zwierzęta kolejne reflektory. Jak się pławić w świetle, to na całego. ■

TADEUSZ SZUMOWSKI

Jedna katastrofa, dwie

Co wiemy o śmierci Władysława Sikorskiego 80 lat



Generał Władysław Sikorski przed wejściem na pokład Liberatora podczas jednej ze swych licznych podróży w 1942 r.

ekshumacje, trzy pogrzeby

po katastrofie lotniczej w Gibraltarze.



Trzy pogrzeby: pierwszy w Londynie i dwa w Krakowie.

4 lipca 1943 r. Katastrofa. Ten dzień przypadał w niedzielę. Generał Władysław Sikorski, premier Rządu RP i Naczelnik Wódz, wracał do Anglii po trudnej, ale pełnej sukcesów podróży na Środkowy i Bliski Wschód. Był zadowolony – szczególnie ze spotkań z polskimi żołnierzami i ich dowódcą gen. Władysławem Andersem. Po ponad 10-godzinnym locie z Kairu samolot z Sikorskim i towarzyszącymi mu osobami lądował po południu w Gibraltarze. Krótka msza w kaplicy pałacu gubernatora gen. Franka Noela Mason-MacFarlane’a, odpoczynek, a wieczorem uroczysta kolacja wydana przez gubernatora.

Ok. godz. 22 generał i reszta delegacji udali się na lotnisko, gdzie czekał samolot (wojskowy transportowy Liberator II LB-30A) gotowy do ostatniego etapu podróży – do Londynu. Kilkanaście osób na pokładzie (w tym m.in. córka generała Zofia Leśniewska), mnóstwo bagaży, spory zamęt wywołany opóźnieniem odlotu. Był ciepły, jasny, prawie bezwietrzny wieczór. Generał był piekielnie zmęczony i marzył o odpoczynku. Natychmiast, jeszcze przed zamknięciem drzwi do samolotu, zdjął mundur i w samej białej bieliznie wojskowej położył się na jedynej dostępnej kozetce. Nie przypiął się pasami. Samolot, pilotowany przez czeskiego lotnika Eduarda Prchala, powoli ruszył. Była godzina 23.05. Po kilkunastu sekundach oderwał się od pasa startowego, leciał nisko, powoli wznosząc się ponad falami cieśniny. Stojący na pasach lotniska odprowadzający oficjele z niepokojem obserwowali lot, który wydawał im się odmienny (zbyt wolno, zbyt nisko) od tych, które obserwowali wielokrotnie wcześniej.

Po kilkudziesięciu sekundach w odległości kilkuset metrów od skalistego brzegu samolot zapikował w dół i z wysokości kilkunastu metrów uderzył dziobem w fale morskie, następnie przewrócił się na grzbiet. Unosił się na powierzchni wody jeszcze kilka minut i zatonął. W kierunku miejsca katastrofy zmierzał kuter ratunkowy i dwie łodzie miejscowych rybaków. Na spokojnych przybrzeżnych wodach unosiły się ciała i cargo samolotu. W kamizelce ratunkowej dryfował nieprzytomny pilot Prchal, którego natychmiast wyłowiono i przetransportowano do miejscowego szpitala. Odnaleziono ciało Sikorskiego i przewieziono do kaplicy w pałacu gubernatora. Miejscowy urzędowy lekarz brytyjski stwierdził zgon w wyniku wypadku. Połamane kończyny dolne generała zostały unieruchomione bandażami. Nad ranem 5 lipca zwłoki generała (ubrane tylko w bieliznę, w której go znaleźiono, bez munduru) zawinięto w oliwkowy żołnierski koc i włożono do cynkowo-ołowianej trumny, którą starannie zalutowano.

W międzyczasie z morza wyłowiono kolejne ciała. Nikt poza pilotem nie przeżył katastrofy. Ciało trzech osób nigdy nie odnaleziono.

Z pałacu gubernatora wysłano natychmiast depesze do Londynu. Powiadomiono premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, informacje przekazano prezydentowi RP Władysławowi Raczkiewiczowi oraz p.o. ministra spraw zagranicznych Edwardowi Raczynskiemu, a za ich pośrednictwem pozostałym członkom rządu. Rankiem 5 lipca odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rządu RP, na którym prezydent wygłosił orędzie i zarządził żałobę narodową. Zdecydowano, że trumna ze zwłokami generała zostanie bezzwłocznie przetransportowana z Gibraltaru do Londynu na pokładzie przebywającego w pobliżu na Atlantyku kontrtorpedowca ORP „Orkan”. 8 lipca przy dźwiękach hymnu narodowego i salwie dział twierdzy gibraltarskiej wniesiono na pokład okrętu trumnę okrytą sztandarem Rzeczypospolitej. Tego samego dnia w Londynie Rząd RP pod przewodnictwem p.o. premiera Stanisława Mikołajczyka powziął uchwałę, w której postanowiono m.in.: „Ciało Generała Sikorskiego po odzyskaniu niepodległości sprowadzone będzie do Ojczyzny i pochowane na Wawelu”. Zarządzono, że tymczasowym miejscem spoczynku będzie kwatery wśród grobów poległych lotników polskich na cmentarzu w Newark w hrabstwie Nottingham w Anglii.

16 lipca 1943 r. Pierwszy pogrzeb. Wczesnym rankiem 11 lipca ORP „Orkan” przybił do portu w Plymouth. Trumnę ze zwłokami umieszczono w wagonie specjalnego pociągu, który tuż przed południem dotarł do Londynu. Stąd w otoczeniu wojska i w żałobnej kawalkadzie trumnę przetransportowano do najstarszego w Londynie polskiego kościoła przy Devonian Road. Tu w salce przykościelnej ówczesny konsul RP w Londynie Andrzej Kamieniecki po sprawdzeniu szczelności metalowej trumny (nie otwierano jej) nałożył na niej stosowne polskie pieczęcie urzędowe. Następnie trumnę metalową włożono do dębowej, opatrzone klepsydrami i przewieziono do londyńskiej siedziby Rady Ministrów RP, gdzie wystawiono ją na widok publiczny. Przez dwa dni hołd zmarłemu oddawali oficjele brytyjscy i polscy, przedstawiciele Wojska Polskiego i alianckiego, przebywający w Anglii Polacy. Ustawione były warty honorowe.

14 lipca wieczorem trumnę przetransportowano do katedry Westminsterskiej, gdzie następnego dnia odbyła się uroczysta msza pogrzebowa z udziałem prezydenta RP, Rządu RP, Winstona Churchilla, członków rządu brytyjskiego, wielu osobistości ►

© EAST NEWS, GETTY, CEZARY SŁOMILSKI/PAP, TADEUSZ WARCZAK/PAP

► polskiego i brytyjskiego życia politycznego. Prezydent Raczkiewicz udekorował trumnę Orderem Orła Białego. Po mszy celebrowanej przez najwyższych dostojników Kościoła katolickiego i anglikańskiego doczesne szczątki generała zostały przetransportowane specjalnym samolotem do Newark, gdzie następnego dnia odbył się ostatni akt pogrzebu – trumnę przy dźwiękach hymnu polskiego i salwie honorowej złożono uroczyste w grobie w centrum cmentarza wśród mogił polskich lotników.

1943 r. Ustalenia komisji. Natychmiast po katastrofie Brytyjczycy powołali komisję do zbadania przyczyn wypadku. We wrześniu 1943 r. ogłoszono raport, w którym zawarto tezę, iż przyczyną było przeciążenie samolotu i zablokowanie sterów wysokościowych. Raport został oficjalnie przyjęty i ... utajniony. W Londynie powstała też polska komisja do zbadania przyczyn katastrofy, która potwierdziła ustalenia brytyjskie i stwierdziła, że w Gibraltarze „miał miejsce wypadek o niewyjaśnionych bliżej przyczynach, które spowodowały unieruchomienie steru”.

Sikorski wolnej Polski nie doczekał. W ciągu 50 lat od jego tragicznej śmierci kilkakrotnie władze Polski Ludowej starały się, w celach czysto propagandowych, sprowadzić prochy generała do Polski. Mieszkająca w Londynie wdowa Helena Sikorska poważnie rozważała powrót do Polski i przeniesienie zwłok męża na Wawel lub co najmniej do katedry św. Jana w Warszawie. Warszawa proponowała uroczysty pogrzeb w alei zasłużonych na cmentarzu Powązkowskim. Nie osiągnięto porozumienia. Sikorska zmarła w lutym 1972 r. – została pochowana w Zakopanem.

W czasie pierwszej Solidarności (1980–81) władze polskie „w uznaniu zasług generała Sikorskiego i w celu pojednania środowisk kombatanckich” ponownie podjęły działania na rzecz sprowadzenia jego prochów. Tym razem godzono się na pochówek na Wawelu. Powołano Ogólnopolski Komitet Obchodów 100. rocznicy urodzin generała, w krypcie św. Leonarda w katedrze wawelskiej przygotowano specjalny sarkofag. Wystąpiono do władz brytyjskich o zgodę na ekshumację i przeniesienie szczątków – nie uzyskano jej, wkrótce nastąpił stan wojenny i sprawa przestała być aktualna.

Powrócono do niej w 1991 r. w czasie wizyty w Londynie ministra spraw zagranicznych RP Krzysztofa Skubiszewskiego – Brytyjczycy nie stawiali oporu i od tego momentu sprawa nabrała przyspieszenia. Kancelaria Prezydenta RP podjęła decyzję o sprowadzeniu zwłok generała do Polski. Pozostawało uzyskanie zgody środowisk emigracyjnych – polscy kombatancki w Wielkiej Brytanii mieli jednak różnicowane opinie – generał był pochowany wśród grobów polskich lotników, był symbolem niezłomności Polski i trwałości sojuszu z Zachodem. Ostateczna decyzja Lecha Wałęsy o sprowadzeniu do Polski szczątków generała w 50. rocznicę jego śmierci została zakomunikowana emigracji na przełomie czerwca i lipca 1993 r. Przyjęto ją w polskim Londynie z rozczarowaniem (raził pośpiech i wyznaczona data pogrzebu – 17 września, dwa dni przed wyborami parlamentarnymi w Polsce, co budziło nieodparte wrażenie, że chodzi o wykorzystanie uroczystości pogrzebowych w kampanii wyborczej). Data pogrzebu zbiegała się też z rocznicą agresji sowieckiej na Polskę w 1939 r. i zapowiedzianym ostatecznym wyprowadzeniem wojsk rosyjskich z Polski. Wspólnie z Brytyjczykami ustalono, że czynności ekshumacyjne przeprowadzone zostaną w Newark 13 września tak, by samolot polski zabrał szczątki do Warszawy następnego dnia.

13 września 1993 r. Pierwsza ekshumacja. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem (datowanym od średniowiecza) cmentarne ekshumacje w Wielkiej Brytanii odbywają się w nocy („między zmierzchem a świtem”). Wieczorem 13 września nad Newark wiał

porywisty wiatr, lało jak z cebra, błyskawice i grzmoty tworzyły upiorną atmosferę. We wcześniej przygotowanym, oświetlonym generatorami dużym namiocie wojskowym rozpostartym nad miejscem pochówku generała, przystąpiono do zdjęcia płyty nagrobnej. Czynności obserwowali przedstawiciele brytyjskiego Home Office, wysocy rangą oficerowie wojska i policji, lekarz sądowy, niżej podpisany (ówcześnie byłem zastępcą ambasadora RP w Londynie), konsul RP oraz wiekowy już były konsul RP Andrzej Kamieniecki (to on zapieczętował trumnę w 1943 r.). Przy odgłosach szalającej na zewnątrz burzy zaczęto kopać – dwóch grabarzy na zmianę zmagalo się z twardą ziemią, prace postępowały powoli. Okazało się, że był to pionowy grób trzykomorowy – zachowano miejsce dla małżonki generała i ich córki. W najniższej komorze (obie wyższe komory były puste, ale wymagały natychmiastowego dodatkowego zabezpieczenia w obawie przed zawaleniem) leżała zbutwiała trumna dębowa, w której zobaczyć było można trumnę metalową. Nad ranem udało się całość wydobyć na powierzchnię. Usunięto pozostałości drewniane i ołowiano-cynkowej trumny ulokowano w wcześniej przygotowanym stole. Po jej dokładnym obejrzeniu – konsul Kamieniecki stwierdził, iż „jego” pieczęcie nie były naruszone i skrzynia nie była otwierana od pogrzebu w 1943 r. – przystąpiono do jej otwarcia, korzystając z palników gazowych i nożyc do metalu. Po kilku minutach zdjęto wieko i oczom zebranych ukazał się świetnie zachowany brytyjski wojskowy koc okrywający ciało. Ten sam koc, którym generała okryto w Gibraltarze i w którym włożono go wówczas do trumny. Dwaj grabarze podnieśli koc, ułożyli na stole i odsłoniли zwłoki. Do stołu podeszli lekarz sądowy, szef policji i przedstawiciel ambasady RP. Nie dotykając zwłok, dokonano jak najstaranniejszych, jak to było w tych okolicznościach możliwe, oględzin. Zwłoki wyglądały jak mumia – pokryte pomarszczoną skórą, wyraźne rysy twarzy, włosy na głowie. Tak jak go włożono w Gibraltarze do trumny, tak i teraz miał na sobie wojskową bieliznę. Przyjrano się dokładnie czaszce – nie dostrzeżono jakichkolwiek urazów ani śladów po kuli, od której, jak uważali zwolennicy teorii zamachu, miał zginąć generał. Zauważono, że kończyny dolne miał połamane w kilku miejscach. Brytyjski lekarz sądowy zwrócił uwagę na doskonale zachowane genitalia mężczyzny. Stwierdził, że tak dobrze zakonserwowane zwłoki są wynikiem działania słonej wody morskiej i warunków w szczególnej zamkniętej trumnie.

Tymczasem na dworze zaczęło świtać – obecny przy czynnościach ekshumacyjnych głównie przedstawiciel administracji brytyjskiej stwierdził, iż dalsze prace należy przerwać do następnej nocy. Zebrani w namiocie doszli po krótkiej dyskusji do konkluzji, że świt jest wtedy, gdy jest widziany i że wystarczy zamknąć namiot i zasłonić plastikowe okna, by nadal w namiocie jedynym źródłem światła były lampy napędzane zewnętrznym generatorem. I tak ok. godz. 8 rano dokończono czynności – zwłoki w białelnicy ponownie zawinięto w ten sam koc, umieszczono w tej samej metalowej trumnie, którą po zalutowaniu włożono do przygotowanej nowej trumny dębowej. Pieczęcie urzędowe założyli obecny konsul RP oraz posiadający swą starą pieczęć konsul Kamieniecki. Trumnę owiniętą polską flagą przeniesiono do pogrzebowego karawanu, który przewiózł szczątki na lotnisko w brytyjskiej bazie lotniczej w Newark. W obecności przedstawicieli Polonii, środowisk kombatanckich oraz męża królowej Elżbiety II, księcia Filipa, trumnę uroczystie przeniesiono do samolotu, który ok. godz. 11 odleciał do Warszawy.

Tymczasem na kilkadziesiąt minut przed lądowaniem na warszawskim lotnisku Okęcie doszło do tragicznego wypadku – samolot pasażerski Lufthansy Airbus 320 rozbił się o płytę lotniska i zapalił się. Byli zabici i ranni. Samolot ze szczątkami gen. Sikorskiego lądował na równoległym pasie w czasie, gdy dogaszano



Sarkofag Sikorskiego w krypcie św. Leonarda w katedrze wawelskiej.

pożar („I tak dokonywała się sprawiedliwość dziejowa – Generał wracał do Ojczyzny, gdy tuż obok dopalał się wrak niemieckiego samolotu” – takie mało stosowne opinie wyrażano następnego dnia w niektórych „ultrapatriotycznych” polskich środowiskach kombatanckich w Londynie).

17 września 1993 r. Drugi pogrzeb. W dniach 15–16 września trumnę wystawiono na widok publiczny na Zamku Królewskim. Zaciągnięto warty honorowe, złożono wieńce od władz polskich. Tysiące Polaków przychodziły pożegnać Sikorskiego, oddać hołd temu, którego tak wyczekiwano w Warszawie na początku wojny („Słoneczko wyżej, a Sikorski bliżej” – mówiono w okupowanej stolicy). 16 września trumnę przetransportowano do Krakowa i wystawiono na widok publiczny w bazylice Mariackiej, do której ciągnęły tłumy. 17 września po porannej mszy trumnę, okrytą polską flagą, wyniesiono z bazyliki i umieszczono na lawecie armatniej. Przy dźwiękach hejnału mariackiego i orkiestry wojskowej kondukt prowadzono przez kardynała Józefa Glempa ruszył w kierunku Wawelu. W tej ostatniej (jak wówczas sądzono) drodze generała szli m.in. prezydent Lech Wałęsa, premier Hanna Suchocka, książę Filip (przyleciał rankiem do Krakowa), ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, marszałek sejmu Wiesław Chrzanowski, krewni generała, generalicja, politycy, kombatancki, tysiące krakowian. Na wzgórzu wawelskim na marmurowym katafalku umieszczono trumnę. Zaciągnięto wartę honorową. Przy ołtarzu połowym odprawiono uroczystą mszę, której przewodniczył kardynał Franciszek Macharski, homilię wygłosił prymas Glemp. Złożeniu trumny w krypcie św. Leonarda towarzyszyły bicie dzwonu Zygmunta i salwa armatnia. Na sarkofagu kwiaty złożyli Wałęsa, Suchocka, książę Filip. Na tym uroczystości zakończono.

25 listopada 2008 r. Druga ekshumacja. Skutki pośpiechu przy ekshumacji i pogrzebie wkrótce dały o sobie znać. Szukający sensacji zwolennicy teorii zamachu ożywił się – dlaczego wszystko odbyło się w takim szybkim tempie, czyżby zamierzano ponownie coś ukryć? Czy na Wawelu rzeczywiście pochowano generała? Pojawili się także oburzeni „patrioci esteci”, którzy zarzucili organizatorom pogrzebu brak „należnej godności, na którą generał zasługiwał – jak można było Premiera i Naczelnego Wodza pochować w samych gaciach”? Rozpoczęła się głośnia

dyskusja nad koniecznością ponownej ekshumacji, dokonania szczegółowych badań i pośmiertnego „ubrania” Sikorskiego.

We wrześniu 2008 r. postanowiono o wszczęciu śledztwa „w sprawie zbrodni komunistycznej polegającej na sprowadzeniu niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji powietrznej 4.07.1943 r.”. Decyzję oparto na przypuszczeniu zamachu dokonanego „na polecenie ówczesnych władz ZSRR”. Jak można się domyślać, takie uzasadnienie wszczęcia śledztwa było jedynie pretekstem do ponownego podjęcia badań nad zgonem Sikorskiego. 25 listopada, po uzyskaniu zgody władz kościelnych i administracyjnych, w obecności i przy nadzorze ekipy śledczej na czele z prokuratorem Ewą Koj, naczelnikiem Wydziału Śledczego katowickiego IPN, bez udziału mediów, otwarto sarkofag. Następnie w asyście oficerów Wojska RP trumna ze zwłokami została przewieziona do zakładu medycyny sądowej. W obecności najbliższej rodziny, prokurator Koj i niżej podpisanego, który jako jedyny z obecnych uczestniczył w pierwszej ekshumacji w Newark, otwarto trumnę.

W odróżnieniu od z mumifikowanych szczątków, jakie zachowały się do 1993 r., tym razem zwłoki były w miazymistym rozkładzie gnilnym. Przewieziono je do Zakładu Radiologii Collegium Medicum UJ, gdzie przeprowadzono tomografię komputerową i wstępną analizę obrażeń. Następnie szczątki generała przewieziono ponownie do ZMS, gdzie przystąpiono do sądowo-lekarskich oględzin. Jeden z lekarzy oglądających zwłoki zwrócił uwagę na głębokie schorzenia i zwyrodnienie kręgosłupa generała – „musiały go potwornie boleć plecy” – stwierdził, co tłumaczyło pospieszne położenie się Sikorskiego w samolocie 4 lipca 1943 r. Pobrano materiały do badań genetycznych, biologicznych, toksykologicznych, materiał na mikroślady.

26 listopada 2008 r. Trzeci pogrzeb. Tego dnia odbyły się w Krakowie trzecie już uroczystości pogrzebowe gen. Sikorskiego. Rozpoczęły się przy Krzyżu Katyńskim u stóp Wawelu. Dębowa trumna okryta biało-czerwoną flagą umieszczona została na lawecie. Zaciągnięto warty honorowe. Szczątki zostały okryte generalskim mundurem wzorowanym na oryginale. Zagrzmiął dzwon Zygmunta. Mszę pogrzebową w katedrze wawelskiej, w obecności ministra obrony Bogdana Klicha jako przedstawiciela Rządu RP, odprawił metropolita krakowski kardynał Stanisław Dziwisz. Po mszy i salwie honorowej oficerowie Wojska Polskiego przenieśli trumnę do krypty św. Leonarda w katedrze wawelskiej. Tu szczątki Sikorskiego umieszczono w sarkofagu, na którym umieszczono wieniec od narodu. Wszystko przebiegło bardzo doniośle i uroczystie. Jedyne faux pas popełniła krakowska straż miejska, która rankiem rozwiesiła w mieście ulotki z informacją o utrudnieniach w ruchu miejskim z uwagi na uroczystości pogrzebowe... Józefa Piłsudskiego. Szybko się jednak zreflektowano i usunięto ogłoszenia.

W maju 2009 r. ogłoszono oficjalny medyczny raport z wynikami badań poekshumacyjnych. Potwierdzono, że szczątki należały do gen. Władysława Sikorskiego, którego zgon „nastąpił w wyniku obrażeń doznanych wskutek urazu wielonarządowego o znacznej energii, a nic nie sprzeciwia się, że nastąpiło to w przebiegu katastrofy lotniczej”. Raport IPN ukazał się w grudniu 2013 r – stwierdzał, że nie ma podstaw do potwierdzenia, ale i do wykluczenia tezy, iż do katastrofy doszło wskutek zwinionego działania człowieka, a więc sabotażu. No, ale jak kiedyś miał stwierdzić poseł Antoni Macierewicz, dowodząc zamachu przy innej katastrofie lotniczej, „brak dowodu jest głównym dowodem zbrodni”. Czy oznacza to, że czeka nas trzecia ekshumacja i czwarty pogrzeb?

TADEUSZ SZUMOWSKI

Autor jest historykiem, dyplomatą, świadkiem obu ekshumacji.

Rozczarowani

Jak wyhodować rewolucję w państwie rozdawnictwa i propagandy sukcesu – mówi prof. Marcin Zaremba.

Na banerze jedna z niespełnionych obietnic władzy ludowej. Wystawa na warszawskim placu Defilad, 1975 r.



RAFAŁ KALUKIN: – Czy dekada Gierka, czas inwestycji, coca-coli, małego Fiata, większego otwarcia granic musiała doprowadzić do „wielkiego rozczarowania”, o którym pan pisze w najnowszej książce?

MARCIN ZAREMBA: – W historii nic nie jest zdeterminowane. Wersja alternatywna? Pod koniec lat 60. ukazało się w POLITYCE kilka ważnych tekstów o węgierskim modelu ekonomicznym. Istotą opisywanego „socjalizmu gulaszowego” było odejście od gospodarki planowej na rzecz większej niezależności przedsiębiorstw. Przywódca węgierski János Kádár osobiście reklamował ten model Edwardowi Gierkowi. Gdyby ten posłuchał, gospodarka, sytuacja robotników wyglądałyby inaczej. Ale po 1970 r. – pomimo pozorów głębokich zmian – trwał u nas system ukształtowany w okresie stalinowskim, nastawiony na ciężki przemysł, co zapewne wynikało

z doświadczeń Gierka i jego związków ze Śląskiem. Na progu lat 70. jego ekipa rozbudziła w Polakach wielkie nadzieje na lepsze życie. Jej brak realizmu i branie własnych życzeń za rzeczywistość były przyczyną kryzysu gospodarczego, najdłuższego w powojennej Europie.

Nie chciał inaczej, czy nie umiał?

Ekipa gierkowska była słaba intelektualnie i nie rozumiała mechanizmu gospodarki kapitalistycznej. Ci ludzie byli skrajnymi woluntarystami, którzy podejmowali nieracjonalne decyzje, takie jak budowa Huty Katowice albo kupno najdroższej wtedy licencji na traktory Fergusona. Kryzys w Polsce był łatwy do przewidzenia. Wystarczyło właściwie odczytać rzeczywistość.

I nie znalazł się choć jeden przenikliwy?

Gospodarka PRL była strukturalnie zakłamana; na każdym szczeblu fałszowano rzeczywistość. Kierownik zmiany

kłamał dyrektorowi, ten kłamał w sprawozdaniach o wykonaniu planu do ministerstwa, stamtąd cały ten fałsz płynął do Biura Politycznego KC. Nie było instancji zdolnej przeprowadzić audyt, przemyśleć funkcjonalność mechanizmu. Rządzili aparaczczyki bez wykształcenia ekonomicznego. Gierek prawie niczego nie czytał. Premier Piotr Jaroszewicz swoją wiedzę o ekonomii czerpał z tego, że był wcześniej kwatermistrzem w wojsku. Znał realia Związku Radzieckiego, ale mechanizmów gospodarczych nie rozumiał.

Później mówiło się, że Gierek chciał dobrze, ale system był niereformowalny.

Jego rządy to historia błędów. Chociaż trzeba jego ekipie oddać, że zaczynała w trudnych warunkach, po grudniowej rewolucji z 1970 r. Trzeba było szybko podejmować decyzje, które uspokoją nastroje. Zapadały w pośpiechu, bez przemyślenia

skutków. „Żadnych reform, towarzyszu Rurarz” – miał mówić Gierek swojemu nadwornemu ekonomistcie.

Kádár też zaczął po rewolucji 1956 r., komuniści czechosłowaccy mieli u siebie Praską Wiosnę, interwencję wojsk Układu Warszawskiego. Ale nie popełniali takich błędów.

Tam jednak polityczna śruba była bardziej docięnięta. Alexis de Tocqueville, francuski myśliciel z XIX w., pierwszy zauważył, że rewolucje i bunty wybuchają w systemie, który jest łagodniejszy od tego, który był wcześniej. Na początku lat 70. starsze pokolenie jeszcze pamiętało terror stalinowski, strach przed opresyjnością systemu był realny. Widok Gierka, który udaje się do Szczecina, żeby porozmawiać ze strajkującymi, był czymś niezwykłym, zwiastującym odnowę. Gierek różnił się od Gomułki: otwarty, obdarzony inteligencją emocjonalną. Przypominał zachodniego polityka, który potrafi wyjść do ludzi, ścisnąć ręce. Przypominam, że Cyrankiewicz chciał je ucinąć.

Gierkowi też się zdarzało mówić o „śląskiej wrodzie, która pogruchoce kości” wrogom socjalizmu.

W 1968 r., kiedy już został pierwszym sekretarzem, podjął decyzję, że nie będzie procesów pokazowych i wsadzania do więzień uczestników protestów grudniowych. W systemie komunistycznym, począwszy od pierwszego buntu w Kronsztadzie w 1921 r., coś takiego nie miało prawa się zdarzyć. W Polsce zamiast twardych represji poprzestano na zwiększeniu agentury w zbuntowanych zakładach, zatrzymywano na 48 godzin, inwigilowano, trochę ludzi zmuszono do emigracji. Ale to nie to samo co 10-letni wyrok więzienia. To obniżało poziom strachu. Do tego weszło na rynek pracy pokolenie boomu demograficznego z początku lat 50. Wiedziało o systemie, ale nie tyle, żeby się go fizycznie bać.

Patrząc cynicznie, Gierek popełnił więc błąd. Gdyby użył politycznego kija i konsumpcyjnej marchewki, jego rządy byłyby stabilniejsze.

Partyjny propagandysta Jerzy Łukasiewicz otwarcie to przyznawał.

Innym elementem polityki Gierka, który zamiast umocnić legitymację systemu, doprowadził do jej osłabienia, było otwarcie granicy z krajami ościennymi.

Zaczęły się wyjazdy na masową skalę. Samą tylko granicę z NRD przekroczone w tamtej dekadzie 100 mln razy. To ważne doświadczenie kulturowe, ekonomiczne i społeczne. Niemal każdy mógł wyrwać się z PRL i zobaczyć, jak się żyje w innych

państwach bloku. Widok pełnych półek w sklepach szokował. W Budapeszcie robiono zdjęcia kielbas i salami... Niby wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku, ale nagle okazało się, że te wózki nie wszędzie są tak samo wygodne. W NRD można było sobie pozwolić na Wartburga albo Trabantę, a u nas na malucha niekoniecznie. Trochę podśmiewano się, że to „mydelniczki”, ale mimo wszystko to rozdziło frustrację.

Tym bardziej że pierwsze lata Gierka przyniosły poprawę i było od czego się odbić.

Była to jednak poprawa na kredyt. Oczywiście istotna, a w przypadku programu budownictwa mieszkaniowego o znaczeniu wręcz cywilizacyjnym. Wzrosły aspiracje materialne, bo jak już się dostało nowe mieszkanie, to chciało się je wyposażać w nowoczesne sprzęty. Niestety rządzący PRL nie mieli tyle wyobraźni, żeby pójść śladem powojennych Niemiec bądź Hiszpanii i oprzeć model rozwojowy na budownictwie mieszkaniowym. Dzięki temu może miałyby trwałą podstawę wzrostu. Na Węgrzech upodmiotowiono związki zawodowe. Nadal były częścią systemu, ale z jakimś marginesem niezależności od partii. Dzięki temu można było rozładowywać konflikty, z czym państwa autorytarne mają strukturalny problem. W Polsce związki pozostały instytucją czysto fasadową, co odbiło się później na rządzących powstaniem Solidarności.

Która przy okazji stanie się wielkim ruchem emancypacyjnym, obalając wcześniejsze wyobrażenia o tym, że robotnicy buntują się dla kielbasy, a inteligencja orientuje się na wolność i demokrację. Ale pan w swojej książce w zasadzie unieważnia ten podział jako pozorny i wynikający z klasowego resentymentu.

Cóż, wartości liberalno-demokratyczne nawet w naszych czasach nie okazały się aż tak ugruntowane, jak nam się wydawało. A co dopiero za Gierka! Jadąc na Zachód, polski inteligent nie zastanawiał się, jak działa samorząd w Amsterdamie albo Wiedniu, tylko po prostu podziwiał, jak tam się żyje. I jaki jest porządek. Badania socjolog Jadwigi Koralewicz z 1978 r. pokazywały wysoki poziom autorytaryzmu polskiego społeczeństwa, czyli myślenia, że każdej władzy należy słuchać. Ilustracją tej postawy był film Krzysztofa Kieślowskiego „Z punktu widzenia nocnego portiera”. Ludzie mieli potrzebę porządku i hierarchii, a pod koniec lat 70. właściwie wszystko się rozjeżdżało. Pod sklepami ustawiały się monstrialne kołki, pekaesy z powodu braku opon stały

w zajezdniach, w fabrykach wyłączenia prądu wstrzymywały produkcję.

Jak ten rozpadający się Pałac Kultury z powieści Tadeusza Konwickiego... Widać ten bezwład w filmach Stanisława Barei. To wszystko pogłębiło się po zimie stulecia z 1979. Zakłady pracy miały przestoje, bo nie dowieziono surowca. Organizacja produkcji w socjalizmie zawsze kulała, ale takiego chaosu dotąd nie było. To także stało się później paliwem rewolucji. Ludzie po prostu chcieli normalności. I paternalistyczna władza miała im to zapewnić. A jak nie, to pójdziemy wam spalić komitet. Czy Gierek był w stanie przekroczyć podział „my” – „oni”?

Do pewnego stopnia mu się to udawało. Jego ekipa na początku cieszyła się dużym zaufaniem, a liczba członków partii rosła. Warto też wspomnieć o reformie administracyjnej, w wyniku której powstało 49 województw – podniósł się status miast średniej wielkości i skrócił się dystans dzielący władzę od ludzi.

Stefan Nowak pisał jednak o próżni socjologicznej.

Jego zdaniem w Polsce dominowały dwa skrajne typy więzi społecznych – rodzinna i narodowa, a pomiędzy nimi miała znajdować się próżnia. Ale to nie do końca prawda, bo na poziomie wsi albo małego miasteczka istniały więzi lokalne. W likwidowanych gminach ludzie spontanicznie organizowali akcje pisania listów, podobnie było ze szkołami. A jak wytłumaczyć strajki, których w latach 70. było ok. 800? To pokazuje, że ludzie umieli się organizować.

Na wyjąłowanej ziemi nie byłoby też wielkiego buntu z sierpnia 1980 r. Co właściwie wyzwoliło rewolucję Solidarności?

Potoczny mit głosi, że to papież swoją pielgrzymką w 1979 r. doprowadził do rewolucji Solidarności, ale to nieprawda. Bunty nie wybuchały przecież w miejscach, które on odwiedził. A tak było chociażby w Poznaniu po wizycie Ignacego Paderewskiego w 1918 r. albo w Teheranie po przybyciu Ruhollaha Chomejniego w 1979 r. Wpływ Jana Pawła II był pośredni. Dzięki niemu ludzie, którzy uczestniczyli w uroczystościach kościelnych, mogli się zobaczyć, poczuć swoją liczebność i siłę. W publicznym obiegu nagle pojawiły się kategorie prawdy, sprawiedliwości i miłości, to początek przebudzenia religijnego. Dzisiaj mało kto pamięta, że w latach 70. polskie społeczeństwo przechodziło dosyć głęboki proces laicyzacji i dopiero po wyborze Karola Wojtyły zaczęła ►

► wracać religijna ortodoksja, nie omijając inteligencji. Kategorie religijne spotkały się z narodowymi, z czego wzięła się później forma rewolucji solidarnościowej. U swoich podstaw nie była buntem klasowym, w każdym razie robotnicy zastrajkowali nie tylko jako robotnicy, lecz także jako walczący o swoje prawa klienci, rodzice, obywatele, Polacy.

Przede wszystkim to jednak kryzys ekonomiczny podpałił lont.

Mniej więcej od połowy lat 70. narastała panika rynkowa. Co i rusz miały miejsce podwyżki cen, w większości ukryte. Praktycznie w każdym miesiącu coś po cichu drożało. Średnio o 7–10 proc. rocznie, ale niektóre towary drożały nawet o 30 proc. Co raz gorzej było z dostępnością towarów, na co zareagowano ich reglamentacją oraz kartkami na cukier. Bardzo istotny wpływ na nastroje miało wprowadzenie sklepów komercyjnych latem 1978 r. Lepsza gatunkowo żywność stała się łatwo dostępna wyłącznie po cenach rynkowych, na co stać było nielicznych. Obawiano się, że za chwilę tylko tam będzie można dostać co lepsze gatunki mięsa albo wędlin, a w zwyczajnych sklepach pozostanie pasztetowa. Badania pokazują, że właśnie wtedy nastąpił największy spadek optymizmu i ponownie zaczął się zwiększać dystans pomiędzy władzą i zwykłymi ludźmi.

W sierpniu 1980 r. mówiło się, że „wszyscy mamy takie same żołądki”.

Wzrost zamożności objął większość społeczeństwa, ale niektóre grupy bogaciły się szybciej. Pojawili się tzw. prywatarze, badylarze. Zadłużone po uszy państwo chciało wycisnąć z obywateli trochę walut, więc rozwinięto sieć sklepów – pewexy i baltony – w których płacono się dolarami. Kto je miał, mógł tam od ręki kupić Poloneza albo malucha, a większość mogła o tym tylko pomarzyć. Obietnica systemu była inna: mamy równe żołądki, jest sprawiedliwość społeczna, każdemu się należy wedle jego pracy. Tymczasem dystans oddzielający przeciętnego obywatela od grup uprzywilejowanych – funkcjonariuszy partyjnych, dyrektorów przedsiębiorstw,



Marcin Zaremba, dr hab. prof. UW, pracuje na Wydziale Historycznym, właśnie ukazała się jego książka „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności”.



pracowników administracji, również dziennikarzy – stale rósł. Do tego dochodziło używanie na masową skalę stanowisk do prywatnych interesów. O przypadkach korupcji na poziomie lokalnym czasem można było nawet oficjalnie przeczytać w gazetach. Symbolem obrastania władzy w tłuszcz stał się szef Radiokomiteu Maciej Szczepański...

Czyli ówczesny Jacek Kurski, twórca osławionej propagandy sukcesu. Jak ona wpływała na nastroje?

Pojęcie propagandy sukcesu pojawiło się w 1974 r., chociaż ekipa Gierka od początku posługiwała się przesadą w przedstawianiu swoich dokonań. O flagowym „Dzienniku TVP” mówiono, że to wieczory dobrobytu. Do czasu propaganda była skuteczna, kształtowała poczucie dumy i sukcesu Polski. Dopiero kiedy zaczęła się skrajnie rozjeżdżać z doświadczeniem, stała się obiektem drwin. Jak w skezcu Zenona Laskowika o zepsutym traktorze: jeżeli zepsuło się jedno koło, trzeba głośno mówić, że trzy są sprawne.

Nikt nie spostrzegł, że propagandowe kłamstwo po przekroczeniu pewnego poziomu obraca się przeciwko propagandyście?

Teraz też nie. Działa siłą rozpędu. Szczególnie, kiedy władza nie potrafi rozpoznać nastrojów społecznych. Z tym ekipa Gierka miała stały problem. Dopiero za Wojciecha Jaruzelskiego zaczęto wczytywać się w raporty z badań społecznych.

Czy rewolucja solidarnościowa była nieunikniona?

Nic w historii nie jest nieuniknione, to tylko Marksowi i Engelsowi tak się wydawało. Gdyby Bogdan Borusewicz nie wysłał Lecha Wałęsy do Stoczni Gdańskiej, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Zresztą podczas strajku były momenty zawahania, po zrealizowaniu postulatów socjalnych ludzie zaczęli już wychodzić. O wybuchu rewolucji decydują wiele czynników. Amerykańska badaczka The-da Skocpol postawiła tezę, że to skutek niedorozwoju jednych państw względem innych. Porównujemy się z innymi nacjami, które mają lepiej, i chcemy, żeby u nas było tak samo. Ludzie muszą też wiedzieć,

jak protestować, jak dysponować narzędziami do komunikowania się. Liczy się też poziom strachu: w czasie rządów pułkowników w Argentynie ludzie chowali się po domach, bo nikt nie chciał zostać zrzucony z samolotu do oceanu. Nie zapominajmy również o treściach kultury: żeby się zbuntować, potrzebujemy alternatywnej wizji dobrego ładu. Trudno więc przecenić znaczenie chociażby kina moralnego niepokoju, ale też krytycznej publicystyki, którą uprawiali autorzy POLITYKI i paru innych tytułów cieszących się względnym marginesem swobody.

Ale i tak bunty pozostają w historii ludzkości czymś rzadkim, więcej znamy przypadków trwania reżimów. Bo rewolucja wymaga odpowiedniego klimatu, gleby. Widać to na przykładzie Wielkiej Brytanii i Francji. Brytyjczycy są zorientowani na ciągłość, ważna jest w ich doświadczeniu pamięć. Z kolei Francuzi co rusz się z jakiegoś powodu buntują. Chociaż jedni i drudzy znajdują się na podobnym etapie rozwoju, żyją w demokracjach, tworzą społeczeństwa obywatelskie.

Jak w takim razie przenieść lata 70. na nasze obecne doświadczenie? Rozbudzone aspiracje po wejściu do UE, których rząd Tuska nie był w stanie do końca zaspokoić, stały się później paliwem populistycznej rewolucji PiS. Z kolei Jarosław Kaczyński mógł niemal bezkarnie zdemolować liberalne instytucje i dopiero problem z zaspokojeniem obietnicy socjalnej PiS podminował jego rządy.

Trudno to porównywać, bo dzisiaj mamy zupełnie inne społeczeństwo, miejsce klasy robotniczej zajęła klasa średnia. Niektóre mechanizmy pozostają jednak niezmiennie. Ludzie zawsze będą się orientować na ład i stabilność, odrzucając niepokój i niepewność. Niezależnie od ustroju utrzymują się również ogólne mechanizmy władzy, panowania, legitymizacji.

Polska w XX w. nie miała szczęścia do elit. Udały nam się one jedynie w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. i później – też na krótko – po 1989 r. Ekipa Gierka była wyjątkowo słaba, jeśli chodzi o kompetencje, wiedzę o świecie. Nie umiała zaakceptować innych sposobów myślenia niż te wynikające z jej doktryny. Pod tym względem wiele ją łączy z dzisiejszym PiS, które niby stara się odczytywać nastroje, ale nie przyjmuje krytyki i nie jest otwarte na rozmowę. Podejrzewam więc, że i ta ekipa w końcu upadnie, chociaż samo rozwiązanie będzie już zupełnie inne.

ROZMAWIAŁ RAFAŁ KALUKIN

Rzeźnik czy wyzwoliciel?

Panów piła... Trzy legendy

o Jakubie Szela, Ryszard Jamka,
Marginesy, Warszawa 2023, s. 472

Śpośród nielicznych chłopów w polskim, zdominowanym przez szlachtę panteonie historycznym prawdziwe emocje wzbudzał i wciąż wzbudza tylko jeden – Jakub Szela. Nie dlatego, że odznaczył się na polu walki jak Wojciech Bartos Głowacki, w polityce jak Wincenty Witos czy w nauce jak Stanisław Pigoń, lecz z powodu dopuszczenia się czynu wręcz świętokradczego – przelania krwi swoich panów. Przerazał i fascynował od razu po tzw. rabacji galicyjskiej 1846 r. Stał się tak idealnym i ponadczasowym medium politycznej instrumentalizacji, że od prawie 200 lat trudno znaleźć inną postać tak często pojawiającą się zarówno w polityce, jak i kulturze, niezależnie od uwarunkowań systemowych, społecznych czy ekonomicznych. Towarzyszyły jej od zawsze dwie legendy – czarna, opłaconego przez Austrię rzeźnika szlachty, i biała, człowieka, który upodmiotowił chłopów i wyzwolił ich z jarzma pańszczyzny. Ale dopiero teraz młody badacz, historyk i prawnik Ryszard Jamka nie tylko detalicznie je opisał, ale wskazał też trzecią legendę, czerwoną, marksistowsko-rewolucyjną, jak i często zaskakujące formy pośrednie. Ta świetnie napisana, oparta na rozległej kwerendzie źródłowej książka doprowadzona jest do roku 2022. Obserwując, jak często w bieżącym wyborczym roku Szela jest przywoływany od lewicy po prawicę, ciągdalszy wydaje się nieunikniony.

JERZY KOCHANOWSKI

Jaki ojciec, taki syn

Filip i Aleksander. Królowie i zdobywcy, Adrian Goldsworthy, przekład Janusz Szczepański, Rebis, Poznań 2023, s. 608

Czy da się jeszcze powiedzieć coś nowego o Aleksandrze Wielkim? Przecież o macedońskim królu napisano już całą bibliotekę. Mimo to badacze jego życiorysu wciąż szukają

odpowiedzi na fundamentalne pytania: co pchnęło go do podboju Persji, największego wówczas imperium na świecie, skąd przekonanie, że są mu pisane rzeczy wielkie, słowem, dlaczego Aleksander był Aleksandrem i dokonał tego, czego dokonał? Adrian Goldsworthy – uznany brytyjski historyk starożytności – przekonuje, że aby zrozumieć Aleksandra, trzeba na niego spojrzeć jako na syna swego ojca. Stąd pomysł na podwójną biografię macedońskich królów, którzy w ciągu niespełna 40 lat przekształcili małą Macedonię z pogardzanego przez Greków kraiku w centrum ogromnego eurazjatyckiego imperium. Twierdzenie, że bez Filipa nie byłoby Aleksandra, może wydawać się truizmem, ale klucz do zrozumienia ambicji Aleksandra – zdaniem autora – wiąże się z niezaspokojonym pragnieniem, by prześcignąć dokonania ojca, dokonać czegoś, o czym Filip nawet nie marzył.

Jeśli dla znawców życiorysów macedońskich królów „Filip i Aleksander” nie będzie specjalnie odkrywczą lekturą, to dla wszystkich tych, którzy szukają pełnego „pakietu” informacji o ich dokonaniach, książka Goldsworthy’ego będzie nie tylko lekturą satysfakcjonującą, ale wręcz wciągającą.

TOMASZ TARGAŃSKI

Pochwała życia

Osiemdziesiąt plus minus, Tomasz Łubieński,
Iskry, Warszawa 2023, s. 296

Urodzony w 1938 r. Tomasz Łubieński znowu zrobił coś, co umie robić – napisał książkę. O sobie, swoją biografię. Dodał kolejną pozycję do biblioteki swojej wielogatunkowej i bogatej twórczości. A że zaczyna od początku, od szczegółów i obrazów drugiej wojny poprzez etapy dorastania i dojrzewania dostajemy wielką opowieść o życiu w kolejnych stadiach PRL i późniejszych, aż po teraźniejszość. Ta opowieść ma swoje temperatury, im mniej lat i więcej zdrowia, tym intensywniejsza, w drugą stronę: bardziej refleksyjna i dygresyjna. W obu przypadkach jest to pochwała życia, cieszenie się z niego. Książka idzie małymi, ponumerowanymi rozdziałikami. Można ją bez trudu ułożyć w układzie rzeczowym. Własna – dodajmy

wybitna – twórczość. Przegląd lektur, zachwyty i zazdrości. Sport w kilku konkurencjach: taternictwo, narty, tenis, piłka nożna, tańce do upadłego. Ludzie, a już zwłaszcza bliscy, przyjaciele. Miłości, choć o nich dyskretnie i tajemniczo. Podróże i stypendia, Francja, Włochy, Kreta, Szwajcaria, Mongolia. Jakże wiele pamięta, ile uwagi poświęca krajobrazom, architekturze, zabytkom oraz spotkanym ludziom i szczegółom życia codziennego. W tym pisaniu jest i autoironia, szczerze przyznawanie się do blamaży i porażek. No i rozrucane szczodrze mądrości, choćby taka, że długo przebywając z sobą pod namiotami taternicy, nieuchronnie tracą poczucie humoru. To jest także opowieść o drodze, jaką przeszła Polska przez te tytułowe 80 lat. Tomasz Łubieński jest znakomitym historykiem, eseistą, nigdy nieunikającym tematów uchodzących za trudne. Odważnie pisał o Wrześniu '39, o powstaniu warszawskim i o tym, czy „bić się czy nie bić”.

WIESŁAW WŁADYKA

PROMOCJA

Z A P O W I E D Z I Z W Y D A W N I C T W

Iwona
Ślabuszevska-Krauze
RETORNADOS

Wydawnictwo LIRA
Warszawa 2023, s. 352



Rok 1940. Irene, uciekając przed zawieruchą wojenną, trafia do neutralnej Lizbony. Spotyka tam Eduardo – młodego wynalazcę i inżyniera, który odegra w jej życiu bardzo ważną rolę. Rok 1975. Branca i jej mama wiodą poukładane życie w Afryce. Zostają jednak zmuszone do opuszczenia domu. Losy bohaterów z czasów wojny i z okresu powrotu retornados do Portugalii spletają się ze sobą. Sprawy – dotąd zwyczajne i oczywiste – nieoczekiwanie się komplikują. To książka o oczekiwaniu i nadziei, a także o wysnionej i wytęsknionej Lizbonie.

www.wydawnictwolira.pl



Indiana i mechanizm retro 4/6

Indiana Jones i artefakt przeznaczenia (Indiana Jones and the Dial of Destiny), reż. James Mangold, prod. USA, 154 min

Nie ma „Indyana Jonesa” bez tajemniczego znaleziska. Tylko coraz mniej takich, które dałoby się umieścić w tytule filmu. „Indiana Jones i mechanizm z Antykithiry” wystraszyłoby marketingowców, stąd pewnie „artefakt przeznaczenia”. Scenariusz piątej odsłony kinowych przygód słynnego profesora archeologii odnosi się do misternego przyrzędu do wyznaczania pozycji ciał niebieskich skonstruowanego (według hipotez) przez Archimedesesa lub jego uczniów, a odnalezionego (naprawdę) na początku XX w. we wraku u wybrzeży Grecji. W filmie oczywiście pokazanego jako coś z pogranicza magii. Losy znaleziska obserwujemy na dwóch planach czasowych. Świetna, dziarska sekwencja początkowa z cyfrowo odmłodzonym **Harrisonem Fordem** (o aktorze więcej na s. 86), kojarząca się klimatem z „Poszukiwaczami zaginionej arki”, przynosi retrospekcję z czasów drugiej wojny światowej. A w filmowym roku 1969 odchodzącemu powoli na emeryturę prof. Jonesowi przypomina o artefakcie chrześnica Helena (**Phoebe Waller-Bridge**). Ale ponieważ nie ma też „Indyana Jonesa” bez zmagania z nazistami, wojenne wątki wrócą.

Nowy film o Indianie Jonesie, dużo bardziej płynny i lżejszy od „Królestwa Kryształowej Czaszki”, prowadzi nas sprawnie przez koleiny popkulturowych franczyz. Bohater musi zaliczyć każdy element charakterystyczny dla tej historii (choć za węże robią tym razem węgorki), rzucając co rusz dowcipne riposty (najważniejsza dla nas to: „Było nie najeżdżać Polski”). W tle słychać imponującą muzykę 91-letniego Johna Williamsa, którego plany emerytalne okazały się plotką. A całość, z istotnymi wątkami dotyczącymi starości i zmagania się z własnym ciałem, wydaje się propozycją dla tych samych widzów, którzy 42 lata temu, jako młodzi ludzie, po obejrzeniu części pierwszej zaczęli marzyć o zawodzie archeologa. James Mangold na miejscu Stevena Spielberga poradził sobie dobrze. Owszem, jest problem z konwencją retro i eksploatowaniem istniejącego kultu. Ale to widać nie tylko tu, zresztą film się broni, m.in. dzięki aktorstwu. Bo nie ma też „Indyana” bez Forda, tego z krwi i kości, a nie wersji cyfrowej.

BARTEK CHACIŃSKI

w galerii

Wzorzec królów 4/6

Jan Matejko, Poczet królów polskich, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, do 2 listopada

Pamiętam mój szok, gdy jako pełnoletni już człowiek zobaczyłem poczet królów polskich autorstwa Marcello Bacciarellego. Pojęć nie mogłem, że nasi władcy mogli wyglądać inaczej niż to sobie wyobrażał Jan Matejko. Bo chyba trudno znaleźć dzieło sztuki, które silniej kształtowałyby nasze wyobrażenia odnoszące się do historii kraju. A przecież poczet Matejki powstał jako ilustracja do podręcznika historii Polski, na zamówienie austriackiego wydawcy i chyba nikt nie wróżył mu aż takiej, wręcz popkulturowej, dalszej kariery. 44 wizerunki malarz tworzył

chronologicznie: od Mieszka I po Stanisława Augusta Poniatowskiego, przez dwa lata, tuż przed śmiercią. Widza mogą zaskoczyć dwa fakty. Po pierwsze, że ich właścicielem jest Muzeum Narodowe we Wrocławiu, dokąd trafiły po drugiej wojnie światowej ze Lwowa. Po drugie, że oryginały (te pokazywane na wystawie) są czarno-białymi rysunkami, z reguły przedstawiającymi całe postaci. Popularna wersja kolorowa samych popiersi władców powstała nieco później jako cykl inspirowanych Matejką olejnych obrazów Leonarda Stroynowskiego i Zygmunta Papieskiego.



Ze względów konserwatorskich poczet wystawiany jest dość rzadko (poprzednio bodaj dziewięć lat temu), więc teraz warto nie przegapić tej okazji.

PIOTR SARZYŃSKI

w telewizji

Mieszanka firmowa 4/6

Czarne lustro 6 (Black Mirror 6),
autorzy serii: Charlie Brooker i Annabel Jones, 5 odc., Netflix

Cztery lata czekaliśmy na szósty sezon serialowego fenomenu – antologii eksplorującej nasze strachy związane z nowymi technologiami opanowującymi świat i przejmującymi nasze życie, która swoje początki ma w brytyjskim Channel 4 w 2011 r. Serial Charliego Brookera i Annabel Jones miał odcinki genialne i przeciętne, zmieniał konwencje i ton, ale z grubszą trzymać się przewodniego tematu. W najnowszym, pięcioodcinkowym sezonie, widać zmęczenie autorów i chęć zejścia z utartych ścieżek – najwięcej jest tu klasycznego horroru („Mazey Day”, „Demon 79”), do tego trochę kpiny z dzisiejszej fascynacji gatunkiem true crime („Loch Henry”) i żarty z wszechobecności, potęgi (oraz cięcia kosztów)

serwisów streamingowych, takich jak Netflix, producent kolejnych sezonów „Czarnego lustra”. Paradoksalnie jednak najlepsze są odcinki najbliższe temu, do czego autorzy przez lata nas przyzwyczaili – czyli dotyczące naszego życia z technologiami. W „Joan jest okropna” tytułowa Joan, znudzona swoją bezbarwną egzystencją menedżerka z firmy IT (Annie Murphy), odkrywa, że jej życie przenosi na ekran – w czasie niemal rzeczywistym – globalna platforma streamingowa Streamberry, a w jej serialową wersję wcieliła się Salma Hayek. Zaś najbardziej poruszający w zestawie „Beyond the Sea” to kameralny, rodzinny dramat SF w wersji retro, z **Aaronem Paulem**, Joshem Hartnettem i Kate Marą w rolach głównych.

ANETA KYZIOŁ



na scenie

Małgorzata w Gileadzie 4/6

Charles Gounod, **Faust**,
reż. Ewa Rucińska, Teatr Wielki w Łodzi

Tak mógłby się ten spektakl nazywać – bo to właśnie Małgorzata jest wbrew pozorom jego główną bohaterką. To pierwsza premiera, za którą odpowiedzialny jest nowy (od stycznia) szef muzyczny łódzkiej opery Rafał Janiak. Zaprosił do tej inscenizacji młodą artystkę, która reżyserowała w teatrach dramatycznych we Francji i w Polsce; „Faust” jest jej operowym debiutem. Akcję spektaklu umieściła w 2035 r., a więc w niedalekiej przyszłości, w dystopii przypominającej na poły „Rok 1984” Orwella, na poły „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood. W tym świecie kobiety, konserwatywnie ubrane, są całkowicie poddane światu męskiemu, mundurowemu. Małgorzata, która zamiast aranzowanego małżeństwa ośmiela się wybrać miłość, a później próbuje ucieczki (i za to – nie za dzieciobójstwo, jak w operze – zostaje ukarana), jest prawdziwą, silną buntowniczką. Faust, zmęczony doktor pracujący w prosektorium, którego duszę Mefistofeles umieszcza w ożywionym z martwych ciele młodego człowieka, to przy niej postać żałosna. Mefistofeles także, choć jego ukazanie się Małgorzacie w kościele jest wymowne i nabiera aktualnego sensu. W drugiej obsadzie, którą oglądałam, rola Małgorzaty (**Aleksandra Orłowska**) rzeczywiście jest najlepsza; z mężczyzną najlepiej wypada Walenty (Arkadiusz Anyszka). Rafał Janiak prowadzi całość z werwą, choć orkiestra jeszcze trochę brakuje do wysokiego poziomu. Ale jest w dobrych rękach, więc wszystko przed nią.

DOROTA SZWARCMAN



komiksy miesiąca

Zakamarki duszy

Nieżyjący już **Darwin Cooke** należał do czołowych twórców amerykańskiego komiksu mainstreamowego i choć przede wszystkim rysował historie o superbohaterach, pozostawił po sobie także arcydzieło czarnego kryminatu. „**Parker**” (przeł. **Paweł Bulski, Nagle Comics, 6/6**), adaptacja klasycznych powieści Richarda Starka, to mistrzostwo formy i narracji. Artysta idealnie wykorzystał swoją cartoonową kreskę do wykreowania mrocznego, przepelnionego goryczą świata przestępców, a tytułowy Parker, cyniczny złodziej z zasadami, jest pełnokrwistym bohaterem, może trudnym do polubienia, lecz intrygującym i charyzmatycznym. Książki Starka były często ekranizowane, czasem ze świetnymi rezultatami („Zbieg z Alcatraz” z Lee Marvinem), ale „Parker” – zwłaszcza w powiększonej, bogatej w dodatki „Edycji Martini”, która właśnie się ukazała w Polsce – to zdecydowanie ich najlepsza adaptacja.



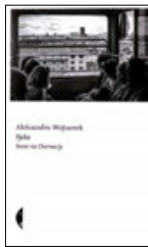
Nowy album **Nicka Drnaso** „**Lekcje aktorstwa**” (przeł. **Krzysztof Cieśliak, Kultura Gniewu, 5/6**) jest jak zwykle w przypadku tego autora wyprawą w trudno dostępne zakamarki ludzkiej duszy. Grupa ludzi zapisuje się do szkoły aktorskiej dla amatorów. Mają różne powody: chcą przezwyciężyć wstyd, przepracować własne traumy, czują się samotni. Prowadzone przez enigmatycznego wykładowcę zajęcia pozwalają im zapożyczyć o własnych problemach. Ale granica między prawdą a grą szybko się zaciera, a uczestnicy zajęć z coraz większym trudem odnajdują się w rzeczywistości. Kapitalna powieść o kłamstwie, manipulacji, maskach, jakie zakładamy, często wbrew woli, na co dzień. Drnaso dodaje do psychologicznego dramatu bardzo dużo gorzkiej ironii i nutkę niepokoju – nic dziwnego, że ekranizacją komiksu zainteresował się Ari Aster, twórca filmu „Bo się boi”.



Kryminalna intryga w „**Mordercy znad Green River**” (przeł. **Konrad Mikrut, KBOOM, 5/6**) jest w pełni oparta na faktach: prowadzonym przez ponad dwadzieścia lat śledztwie w sprawie seryjnego zabójcy młodych kobiet (w ponurych statystykach największej liczby ofiar ustępującego jedynie Samuelowi Little'owi). Na pozór to kolejny album non-fiction, taki komiksowy odpowiednik popularnych seriali dokumentalnych z gatunku true crime. Ale scenarzysta **Jeff Jensen** nadał fabule bardzo osobisty ton. Jego ojciec, Tom, był jednym z detektywów, którzy przez cały czas pracowali nad sprawą, więc „Morderca...” – w 2012 r. uhonorowany prestiżową nagrodą Eisnera – jest nie tylko historią żmudnego i makabrycznego dochodzenia, lecz także obsesyjnego poszukiwania prawdy, a wreszcie niecodziennej relacji, jaką śledczy nawiązał z podejrzanym o zbrodnię Garym Ridgwayem.



JAKUB DEMIAŃCZUK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Pokój bez widoku 4/6

Aleksandra Wojtaszek, **Fjaka. Sezon na Chorwację**, Wyd. Czarne, Wołowiec 2023, s. 383

Materiały do tej książki Aleksandra Wojtaszek zbierała 10 lat, nie jest to więc szybkie studium reporterskie pisane na zamówienie. Nie jest to także opowieść użytkowa, ułatwiająca poruszanie się po kraju, w którym Polacy powszechnie są uznawani za najbardziej kłopotliwych turystów. Jest to opowieść bardziej ambitna, szukająca półcieni i kontrastów, stawiająca pytania z trudnymi odpowiedziami. U Wojtaszek Chorwacja miota się między radością z turystycznych sukcesów a emigracją młodych, próbuje zarazem utrzymać swoje odmienności regionalne i wszystkie je utemperować w ramach państwa narodowego. Ramy wyznaczają tutaj początki państwa w VI w. oraz epidemia covid, ale Wojtaszek najbardziej zajmuje Chorwacja z ostatnich 30 lat. Piękno krajobrazu, ilość historycznych



śladów i artefaktów autorka równoważy opowiadaniem o konfliktach etnicznych, czystkach i wygnaniach. Ton podniosły przełamuje dowcipnymi rozdziałami o piłce nożnej czy Istrii jako bohaterce powieści futurystycznych. W jej perspektywie najciekawsze są motywy *fjaki*, czyli niecierobienia, oraz *dišpet*, przekory, i to ich śladów szuka autorka w dziejach Chorwatów i ich współczesnej tożsamości. Refleksje o cechach narodowych i śladach historycznych uzupełniają ciętymi opowieściami o porażkach ekonomicznych, o wynajmowaniu turystom każdego skrawka podłogi oraz przemarzaniu w zimowych miesiącach w pomieszczeniach ogrzewanych klimatyzacją. Bo Wojtaszek interesuje w Chorwacji cały rok, a nie tylko kilka miesięcy turystycznej prosperity, kiedy tłumy zasłaniają perspektywę.

PAULINA MAŁOCHLEB



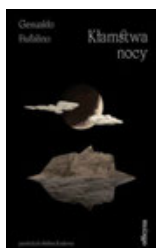
W wirze wydarzeń 4/6

Feliks Falk, **Gmach. Opowiesci prawdopodobne i prawdziwe**, Wyd. Lira, Warszawa 2023 r., s. 300

Tytuł „Opowiesci nieprawdopodobne i prawdziwe” być może lepiej by oddawał koncept tej książki. Feliks Falk, jako reżyser i dramaturg rzadko sięgający po silną metaforę, częściej za to obracający się w kręgu moralnego niepokoju i twardego realizmu, idzie tu tropem niejasnych intuicji, surrealistycznych snów, mglistych niedopowiedzeń, tworząc dzieło dalekie od jednoznaczności. Szczególnie śmiało sobie poczyna z przestrzenią, podlegającą w jego prozie niepokojącym metamorfom. Staje się ona bezosobowym molochem, w starciu z którym jednostka nie ma szans. Zbiór kilkunastu opowieści „prawdopodobnych i prawdziwych” to podróż w krainę nadrealizmu, której patronuje mroczny duch Kafki i gogolowskiej ironii.

Tak jak wielcy klasycy Falk odwołuje się do koszmaru jako doświadczenia granicznego wywołującego wstrząs, lecz nie prowadzącego do żadnego katharsis. Wyobraźnia autora skupia się na pospolitości i dziwactwach niezbyt pociągających ludzi wykonujących bezsensowne czynności, uginających się pod brzemieniem wyrzutów sumienia, donosicielei, nieudaczników wyrzucanych ze studiów, konformistów, którzy przegrywają na ogół sprawdzian z własnego człowieczeństwa. Poddani konfrontacji z nieprzyjaznym otoczeniem, wciągani w wir absurdalnych wydarzeń zostają upokorzeni i zagonieni do narożnika. Groteskowo szaleńczy taniec, jaki odbywają, to oczywiście symbol ludzkiej bezradności wobec zawsze zaskakującego, nieprzyjaznego losu. Nie przypominam sobie artysty w wieku 82 lat dokonującego tak radykalnej zmiany stylu, podejmującego wyjątkowe ryzyko ze wszelkimi tego konsekwencjami. I z tak interesującym skutkiem.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Pojedynek na opowieści 5/6

Gesualdo Bufalino, **Kłamstwa nocy**, przeł. Halina Kralowa, Officyna, Łódź 2023, s. 175

Na niedostępnej wyspie u wybrzeży Sycylii czterech spiskowców czeka w celi więziennej na wyrok śmierci. Jeden z nich może uratować wszystkich, zdradzając nazwisko przywódcy spisku przeciwko królowi. Czy któryś się złamie i zdradzi? Została im ostatnia noc. Żeby ją przetrwać, opowiadają sobie historie

ze swojego życia. O miłości i o śmierci, o bracie bliźniaku i o wychowywaniu się w klasztorze, o pożądaniu i o przekraczaniu granic. Każda historia jest inna, każda wydaje się wiarygodna, ale do czasu. Nagle okazuje się, że być może słuchający uwierzyli w coś, co jest tylko odbiciem rzeczywistości, jak w platońskiej jaskini. A gdzie jest prawda? Bufalino trzyma czytelnika w napięciu aż do końca. Cała opowieść okazuje się misterną układanką, w której ważna jest gra i mistyfikacja. Bufalino zadebiutował dopiero w wieku 60 lat, w 1981 r. i od razu stał się jednym z najważniejszych włoskich pisarzy. Jego karierę bardzo szybko, bo w 1996 r., przerwała śmierć. Zostało kilka znakomitych książek, tę otrzymujemy w pięknym przekładzie Haliny Kralowej. Wszystkie prawdy są tutaj podważone, każda opowieść o życiu okazuje się nieprawdziwa, ale z drugiej strony istnieją tylko one, ten kto opowiada, jest władcą opowieści i pamięci. Bufalino w swoim teatrze pozorów i marionetek ocala opowieść, która ma nawet władzę nad śmiercią.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

festiwale

Szerszy obraz

Wschód Kultury – Inne Brzmienia, 6–9 lipca, Lublin

Działająca w Zielonej Górze oficyna Gusstaff Records przez 25 lat odniosła wiele sukcesów – m.in. wypromowała w Polsce grupę To Rococo Rot i nową fałę muzyki niemieckiej. Publikowała polskie debiuty, z Kristen na czele, a dziś wyróżnia się na rynku choćby za sprawą ręcznie wycinanych winyli w limitowanych nakładach, pozostając niezależna. W Lublinie na Innych Brzmieniach obchodzić będzie jubileusz działalności, sprawadzi tu m.in. rzadko koncertujących To Rococo Rot i krajowki artystów: Atol Atol, Szorstkie, Tuleje. Ponadto wystąpią tu m.in. brytyjska formacja Ladytron



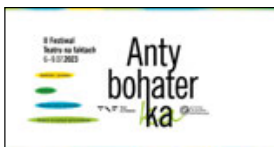
i improwizator gitarowy Stian Westerhus z Norwegii. Scena muzyczna z perspektywy lubelskiej imprezy wydaje się szersza i mniej zmonopolizowana przez wykonawców anglosaskich. Ale całość wychodzi poza muzykę: w stronę plakatu (Dominika Czerniak-Chojnacka) i fotografii (ukraińska reportażystka Zofia Jabłońska). Pod szyldem Wschodni Express odbywać się będą spotkania i debaty z artystami i intelektualistami z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, znów w dużej mierze poświęcone wojennej rzeczywistości za naszą wschodnią granicą. BCH

Szczegóły: innebrzmienia.eu

W cieniu

II Festiwal „Teatru na faktach”. Antybohaterka, 6–9 lipca, Wrocław

Organizowany przez Instytut im. Jerzego Grotowskiego festiwal wrocławskiego teatru dokumentalnego w drugiej edycji przygląda się tym, od których reflektory opinii publicznej już zdążyły się odwrócić albo zaraz to zrobią, by wychwycić nowsze i świeższe tematy i ludzi. W programie znajdziemy m.in. spektakl „Wiosna, lato, jesień, zima i znowu wiosna”, zderzający klasyczny tekst Łesi Ukrainki „Pieśń lasu” z uczuciami i poglądami dzisiejszych, doświadczających już od ponad roku wojny Ukraińców i Ukrainek. W „Eksploracji Sztucznej Duszy” twórcy spróbują zastąpić



się algorytmem i zadadzą pytanie o rolę sztuki i artysty dziś. Powróci także temat granicy polsko-białoruskiej, „User Experience” powstał w kontakcie z użytkownikami środków psychoaktywnych a kolejne spektakle eksplorują m.in. doświadczenie bycia w neokatechumenacie czy życia ze skoliozą. Pokazom i czytaniom towarzyszą dyskusje z bohaterami i bohaterkami spektakli, osobami eksperckimi i aktywistycznymi. AK

Szczegóły: grotowski-institute.pl/projekty/festiwal-teatru-faktach-2023

Nie tylko legendy

Warsaw Summer Jazz Days 2023, 5–9 lipca Warszawa, Klub Stodola

Dwie legendy starszego pokolenia wezmą udział w tegorocznym festiwalu Warsaw Summer Jazz Days: gitarzysta **Al Di Meola** ze swoim trio oraz basista Dave Holland ze swoim kwintetem. Pozostali muzycy reprezentują dzień dzisiejszy. Drugi dzień festiwalu poświęcony jest scenie londyńskiej; wystąpią młody zespół Ebi Soda, kompozytor i multiinstrumentalista DoomCannon ze swoim kwartetem oraz saksofonistka Chelsea Carmichael ze swoim zespołem. Trzeci dzień zdominuje scena nowojorska: młody saksofonista



Immanuel Wilkins ze swoim kwartetem, wybitna basistka Linda Oh, tym razem z własnym kwintetem, oraz New York United – zespół multiinstrumentalisty Daniela Cartera. Kolejny młody nowojorczyk, wibrafonista Joel Ross, wystąpi ze swoim nonetem ostatniego dnia. Niemalże też w programie polskiej muzyki:

pierwszego dnia Niechęć i Tymon Tymański Yazz Tet, drugiego – Marek Pospieszalski i Wojtek Mazolewski, a ostatniego Maciej Obara Quartet, którego nową płytę wydaje właśnie ECM. DS

Szczegóły: adamiakjazz.pl

Warsaw Summer Jazz Days



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



NARODOWE CENTRUM KULTURY



projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

Warsaw Summer Jazz Days 2023 dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy

zaKS
sprzyjamy wyobraźni

STOART

Patroni medialni

POLITYKA
STRÓER

wyborcza.pl
Insider

jazzforum
Jazzpress

Informacje i bilety:

www.adamiakjazz.pl

Lektury wypoczynkowe

15 książek na lato. Oto nasz redakcyjny wybór powieści, kryminałów i historii non-fiction z ostatnich miesięcy, które pozwolą nadrobić lekturowe zaległości, a przy okazji miło spędzić czas.



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

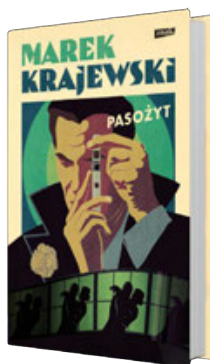
1 Jakub Szamałek, **Stacja**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2023, s. 352

Kosmos jako miejsce zbrodni? To mogliby wymyślić scenarzyści serialowego „Czarnego lustra” (właśnie skądinąd wymyślili), ale i Jakub Szamałek, autor nieszablonowanych kryminałów osadzonych w rzadko eksplorowanych sceneriach. Akcję umieszcza tym razem na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a orbita skupia jak w soczewce ziemskie utrapienia i kryzysy. Ekipa amerykańsko-rosyjskich astronautów rusza w misję kontrolno-badawczą, która ma być rutynowa, a dostarcza wrażeń i skoków adrenaliny. Słońce na powitanie „rzynęło taką ilością rozpalonych fotonów”, że mogłyby zakłócić pracę sieci energetycznej na Ziemi, w Sojuszu uwalnia się amoniak, astronauta robią się podejrzliwi, na pokładzie jest schowana broń. Nikt z Ziemi nie przybiegnie z pomocą, uciec też się stąd nie da. Szamałek porusza mimochodem gorące tematy (kosmiczny wyścig mocarstw, rosyjskie sny o potędze), ale największą zaletą tej historii jest jej klaustrofobiczny, duszny nastrój. Kosmos jest tutaj równie mroczny i nieodgadniony co ludzka natura. AŻ



2 Marek Krajewski, **Pasożyt**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 368

Marek Krajewski może skończył (jak sam deklaruje) z Mockiem, lecz Edwarda Popielskiego wciąż chętnie wysyła na szpiegowskie misje. W „Pasożyte” – po raz kolejny do Warszawy, gdzie działa podwójny agent wydający wyroki śmierci na polskich wywiadowców w Związku Sowieckim. W tle wielka polityka, wciąż kipiąca emocjami po śmierci Piłsudskiego, trudne relacje polsko-ukraińskie, warszawska ferajna kontra lwowscy kieszonkowcy, a nawet wypisy z przedwojennego życia kulturalnego stolicy, nie wyłączając koncertu Jana Kiepury w Teatrze Wielkim. Proza Krajewskiego jak zwykle jest gęsta od wydarzeń, pełna mięsistych detali, brutalna i czasami nazbyt efekciarska w próbach odtworzenia realiów sprzed blisko stulecia. Jednak to solidne czytadło, szpiegowski kryminał, pisany przez autora, który doskonale wie, czego potrzebują jego najwierniejsi czytelnicy i nie ma zamiaru ich zaskakiwać radykalnymi zmianami stylu. JD



3 Giuliano da Empoli, **Mag z Kremla**, przeł. Jacek Giszczak, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2023, s. 280

Ten thriller polityczny ukazał się we Francji już w czasie trwania wojny w Ukrainie i stał się bestsellerem – do tej pory sprzedało się ponad pół miliona egzemplarzy. To nie wszystko: autor otrzymał za ten debiut Nagrodę Akademii Francuskiej. Bohaterem powieści jest fikcyjny doradca Putina Wadim Baranow, reżyser teatralny i producent popularnego reality show, który tworzy sukces Putina. To postać wzorowana

na Władysławie Surkowie, współzałożycielu partii Jedna Rosja i rzeczywistym autorem sukcesu wyborczego Putina w 2000 r. Pojawiają się znane osoby: Bierzowski, Chodorkowski, Kasparow. Autor próbuje zrozumieć istotę reżimu Putina i sięga 30 lat wstecz, a rzecz kończy przed inwazją na Ukrainę. Ta wciągająca powieść daje wgląd w mechanizmy funkcjonowania współczesnej Rosji głęboko zakorzenione w przeszłości: „Kto mieszka na Kremlu, posiada czas”, a „Rosja jest maszyną wytwarzającą kosmary Zachodu”. JSOB



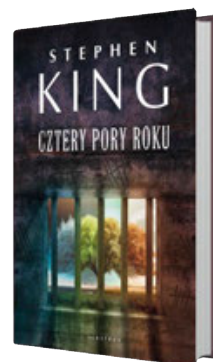
4 Grzegorz Kapła, **Bez przebaczenia**, Sonia Draga, Katowice 2023, s. 347

Najnowszy kryminał Grzegorza Kapli jest częścią serii, której bohaterką jest policjantka Olga Suszczyńska zwana Serbią, kobieta silna i bystra, choć pokręcona wewnątrz. Każdy tom serii zaczyna się od słowa „Bez” i autor mówił już w wywiadach, że chciał początkowo nazwać ten tom „Bez Pegasus”, bo to nośny temat w roku wyborczym. A Pegasus się tu pojawia. Opowieść zaczyna się od spotkania z Joe Bidenem na Zamku Królewskim, gdzie pojawia się trzech panów – jeden z nich ma podrobione zaproszenie, dwaj pozostali po wyjściu ze spotkania giną. Tak się składa, że są to byli ubecy, którzy pośredniczyli w zakupie Pegasus. Ale czy to było przyczyną ich śmierci? Miejsce powstania tego narzędzia – Izrael – przewija się w tle, jak również ubecka przeszłość i pewna nieudana próba zabójstwa z czasów PRL. Ginią też kolejne osoby. Kto tu jest bohaterem pozytywnym, a kto negatywnym? Odpowiedź jest być może inna, niż się spodziewamy. DS



5 Stephen King, **Cztery pory roku**, Albatros, Warszawa 2023, s. 512

Zbiór minipowieści Stephena Kinga jest – także na polskim rynku – regularnie wznawiany. Zasłużenie, bo to jedna z najciekawszych pozycji w dorobku pisarza. Nawet jeśli cztery teksty zawarte w tomie są połączone pod jednym szyldem nieco na siłę, każdy z osobna jest wart uwagi. Zwłaszcza że były one (może poza zamykającą tom „Metodą oddychania”) próbą ucieczki Kinga od horroru. Najślynniejszym tekstem ze zbioru są do dziś „Skazani na Shawshank” – historia niewinnie osadzonego w więzieniu mężczyzny, przez dekady planującego ucieczkę – choć to bez wątplenia zasługa przede wszystkim nominowanej do Oscara adaptacji. Ekranowych wersji doczekały się także „Zdolny uczeń” o spotkaniu nastoletniego chłopaka z nazistowskim zbrodniarzem ukrywającym się w Stanach Zjednoczonych oraz „Ciało” – jedna z najlepszych Kingowskich opowieści o dorastaniu i utracie niewinności. Całkiem udane filmy, lecz literackie pierwowzory jeszcze lepsze. JD



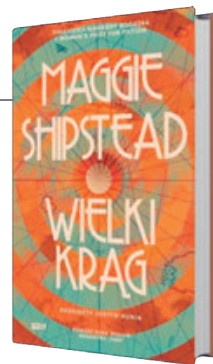
PORUSZAJĄCE powieści obyczajowe, opowiadania, young adult

6 Zeruya Shalev, **Los**, przeł. Magdalena Sommer, Wydawnictwo W.A.B., s. 432

Zeruya Shalev pisze w taki sposób, że czasem nie można złapać tchu. Ale nie z powodu pościgów i zbrodni, tylko napięcia emocjonalnego i psychologicznej wiarygodności. W najnowszej powieści „Los” opowiada o dwóch kobietach, Atarze i Rachel, połączonych ze sobą historią z przeszłości. Wracamy do czasów budowniczych Izraela i niesprawiedliwej pamięci o bojownikach. Życie prywatne jest tutaj splecione z życiem politycznym. Shalev pyta o naturę miłości – nie tylko tej między kochankami, ale i między rodzicami i dziećmi. Czy mamy prawo projektować ich przyszłość? A jeśli dokonują wyborów, których nie akceptujemy? „Los” opowiada też o utracie i poczuciu winy. Shalev sprawia, że schodzimy w głąb nie tylko przeszłości, ale i podświadomości, razem z bohaterkami starającymi się zrozumieć swoje życie. Fascynująca jest ta podróż wewnętrzna, którą z nimi odbywamy. JS_{OB}

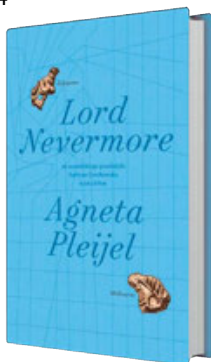


Sto lat później w rolę Marian na dużym ekranie ma się wcielić podupadła gwiazda Hollywood Hadley Baxter. Ona też chce się wznieść ponad przeciętność, a jednocześnie rozwikłać zagadkę ostatniego lotu Marian. Bohaterów powieści ambicje pchają naprzód i wysoko, co zawsze grozi spektakularną katastrofą (choćby lotniczą). Z pisarstwem jest podobnie: Shipstead wzięła rozmach, mogła się pogubić w masie wątków i postaci, którym uczciwie poświęca czas i strony. Ale wszystkie wątki zszywa efektywnie w dość zaskakującym finale. AŻ



7 Agneta Pleijel, **Lord Nevermore**, przeł. Justyna Czechowska, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2023, s. 544

Jedna z najciekawszych powieści Szwedki Agnety Pleijel ukazała się w tym roku w nowym, kapitalnym przekładzie. To fabularyzowane dzieje słynnych (genialnych, więc i tragicznych) Polaków: Bronisława Malinowskiego (Bronio), Witkacego (Stas) i nie mniej istotnych drugoplanowych bohaterów, jak choćby Bruno Schulz. Bronio wyprawia się na Antypody, a Staś, rozchwiany po samobójczej śmierci narzeczonej, ma mu towarzyszyć. Przyjaźnią się, ale i nie mogą bardziej się różnić. Witkacy jest temperamentny, w gorącej wodzie kąpany, Malinowski odwraca się od Europy, szuka sensu w chaosie świata, którym potrząsa już powoli widmo wielkiej wojny. Pleijel z wyczuciem i dystansem przygląda się polskiej historii i bohaterom naszej wyobraźni, kładąc akcent na swoje ulubione wątki, czyli kobiecość, męskość i miłość. Bada je niczym antropolog – prace Malinowskiego poznała zresztą na studiach, stąd się wzięła jej fascynacja współczesną Polską. Ale abstrahując już od polskości, dostajemy świetną, napisaną z bigłem powieść, zarazem filozoficzną i przygodową. AŻ



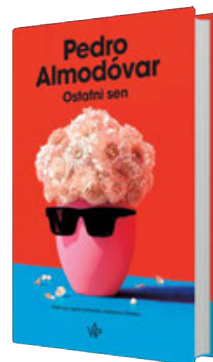
9 Barbara Sadurska, **Srebrny smok**, ilustracje: Marcin Minor, Agora, Warszawa 2023, s. 145

Coś dla wielbicieli smoków i przygód. Matylda, bohaterka „Srebrnego smoka” Barbary Sadurskiej, ma 12 lat i właśnie ma się spełnić jej marzenie – wyjazd do Japonii, żeby zobaczyć smoki. Ale ostatecznie zamiast do Japonii trafia do dziadka, który mieszka na dość niezwykłej wyspie. I tak zaczynają się przygody, bo wyspa okazuje się bardzo... smocza. A dziadek też nie jest zwykłym dziadkiem i czasem można zobać jego srebrne skrzydła. Opowiada różne historie: a to o Odyseuszu, a to o Don Kichocie, a to o Sindbadzie Żeglarzu. Wszyscy ci bohaterowie literaccy są włączeni w tę opowieść o wyspie, której mieszkańcy mówią własnym, magicznym językiem. Istnieje tam cała odrębna kultura, a jej skarbem są księgi, które same zapewniają się słowami i ilustracjami, dopóki istnieją ludzie posługujący się tym językiem. „Srebrny smok” jest fantastycznie zilustrowany przez Marcina Minora, to historia, w której obraz i słowo doskonale się dopełniają. JS_{OB}



10 Pedro Almodóvar, **Ostatni sen**, przeł. Agata Ostrowska, Katarzyna Okrasko, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023, s. 224

Czytelnicy znający dobrze filmowy dorobek Pedra Almodóvara powinni zacząć lekturę od ostatnich dwóch umieszczonych w tym tomiku opowiadań, poświęconych stale powracającym w jego twórczości tematom: od biseksualności do subwersji. Nie dlatego, że są najlepsze, tylko dlatego, że wcale opowiadaniem nie są, przyjmując formę bardzo osobistych notatek komentujących starzenie się artysty, jego samotność oraz potrzebę tworzenia. Dla Almodóvara mieszanie fikcji z rzeczywistością czyni życie znośniejszym. Mistrzynią prawdziwej kreacji, czyli przechodzenia przez życie (i śmierć) na własnych warunkach, była matka hiszpańskiego reżysera, czemu poświęcony jest wzruszający tytułowy szkic „Ostatni sen”. Można tę książeczkę potraktować jako kolejny autoportret artysty, uparcie pytającego, kim jest i czego potrzebuje. Katolickiemu (złemu) wychowaniu też poświęca sporo miejsca, co znajduje wyraz m.in. w szokującym opowiadaniu „Odkupienie” – gejojskiej wersji żywota Jezusa. JW



8 Maggie Shipstead, **Wielki krąg**, przeł. Justyn Hunia, Znak, Kraków 2023, s. 768

Amerykanka Maggie Shipstead tą powieścią wypłynęła na szerokie wody, a pieczęć bestsellera od „New York Timesa” na pewno jeszcze jej pomogła. I słusznie. Misternie łączy dwa plany: historyczny i filmowy. Przede wszystkim to opowieść Marian Graves, cudem ocalałej w katastrofie statku, z czasem słynnej pilotki. Latanie to namiętność i sens jej życia, bo pozwala nabrać perspektywy, choć u progu XX w. skrywa jeszcze sporo tajemnic.

11 Joanna Kuciel-Frydryszak, **Chłopki. Opowieść o naszych babkach**, Marginesy, Warszawa 2023, s. 496

Autorka już na wstępie ostrzega, że ta wiza w wiejskich chałupach z międzywojnia będzie przykra. Język dobrze to oddaje: „karłowate”, czyli biedne gospodarstwa, „zbędne” kobiety, „spanie zbiorowe” w jednej izbie, a często na jednej pryczy, „pasionka”, czyli niewolnicza praca na pastwiskach, gdzie zaganiano głównie dzieci. Bieda, głód, gwałt – to była proza życia wiejskich dziewczyn, skazanych na folwark, służbę u zamężnych albo saksy. Ale „Chłopki” to też opowieść o zaradności oraz – co może najciekawsze – o szacunku do polskiej wsi. „Zapomniałyśmy nauczyć je miłości i szacunku do tradycji i kultury chłopskiej (...). Nie o kujawiaczki chodzi i nie o pawie pióra, lecz o kulturę obyczajów, o sztukę, o jej treści głębokie, o mądrość życiową, naukę wszystkich nauk” – notuje w pamiętniku Zofia Solarzowa, wyklęta przez Kościół założycielka uniwersytetu ludowego. Joannie Kuciel-Frydryszak, autorce „Służących do wszystkiego”, w „Chłópkach” udaje się zapełnić białe plamy, ale i odnaleźć ważne jasne punkty. **AŻ**



12 Anna Bikont, Joanna Szczesna, **Pamiętkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szymborskiej**, Agora, Warszawa 2023, s. 520

W Roku Szymborskiej warto sięgnąć po IV, uzupełnione wydanie książki Anny Bikont i Joanny Szczesnej, które pierwszy raz zabrały się do wypytywania poetki i jej przyjaciół tuż po Noblu. Teraz opowieść się rozrosła, przybyły niepublikowane listy z archiwum poetki, poszerzyły się wątki, np. o historię przyjaźni z Barańczakiem czy opowieść o krótkim małżeństwie i długiej przyjaźni z Adamem Włodkiem. Szymborska uwielbiała anegdoty i o jej życiu nie sposób bez nich opowiadać. Choćby o czasie, gdy mieszkała w Domu Literatów na Krupniczej: „W pokoiku mego męża było pełno książek i składane połowe łóżko. Wieczorem, koło dwudziestej trzeciej, w dniu naszego ślubu, usłyszeliśmy pukanie. W progu stał Tadeusz Peiper w piżamie. Spytał Adama: »Panie kolego, przyjechał do mnie gość z Lublina, czy mógłby mi pan pożyczyć coś do spania?«. »Pewnie, że tak« – odpowiedział Adam. W ten sposób staliśmy się chyba wyjątkową na świecie parą nowożeńców, od której w noc poślubną wyniesiono jedyne łóżko”. A jak to dokładnie było z tą nocą poślubną, wyjaśniają autorki w książce. **JSOB**



13 Benjamin Labatut, **Strasziwa zielen**, przeł. Tomasz Pindel, Czarne, Wołowiec 2023, s. 230

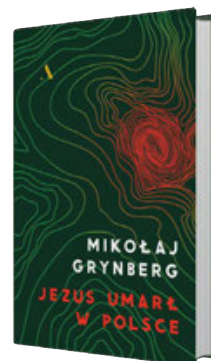
Chilijski pisarz w swej zsytej z faktów opowieści (to niepełne non-fiction) umieszcza w centrum uwagi geniuszy nauk ścisłych. Jest tu Fritz Haber, Niemiec żydowskiego pochodzenia, który ograniczył głód na świecie, opracowując metodę pozyskiwania azotu, a skuteczny środek do dezynsekcji, stworzony w jego pracowni, okazał się gazem wykorzystywanym

w eksterminacji Żydów. Są rywalizujący ze sobą fizycy Erwin Schrödinger i Werner Heisenberg, spierający się nie tylko o treść, ale i formę opisu zjawisk mechaniki kwantowej. Jest francuski matematyk Alexander Grothendieck, przerażony możliwymi implikacjami swoich odkryć. Historie te byłyby niewiarygodne, gdyby nie to, że są prawdziwe. Za to w szczegółach pisarz fantazjuje, próbując powiązać ze sobą przełomy, rewolucje, zagrożenia i obawy. I – trochę tak jak naukowcy szukają jednej teorii wyjaśniającej wszystko – odnaleźć siłę, która pcha nas w stronę postępu w rozumieniu świata. **BCH**



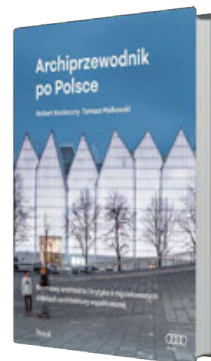
14 Mikołaj Grynberg, **Jesus umarł w Polsce**, Agora, Warszawa 2023, s. 320

W nowej książce Grynberg oddaje głos ludziom, którzy ratują życie na granicy białoruskiej. To oni tutaj opowiadają o wyprawach do lasu. O tym wszystkim, co z trudem przebija się do głównego obiegu informacji – media interesują się granicą, kiedy pojawia się kolejna ofiara śmiertelna, tymczasem tam cały czas coś się dzieje. I nie możemy o tym zapominać. Tam lekarka w błocie przeprowadza operacje, kroplówka wisi na gałęzi. Rano strażnicy idą do pracy, a ci, którzy ratują, też idą do lasu. Paradoxem jest to, że w miejscu, gdzie rozgrywa się katastrofa humanitarna, pojawia się też dużo dobra, ludzkie odruchy. „Daję świadectwo człowieczeństwa. Sobie je daję. To, co myślę, i to, co robię, jest spójne” – mówi jeden z rozmówców. „Zrozumiałem, że dla nas nie życie jest najważniejsze, dla nas, ludzi, najważniejsze jest ratowanie”. To jest książka, która sprawia, że tego, co dzieje się na granicy, nie można zignorować. Oby coś zmieniła. **JSOB**



15 Robert Konieczny, Tomasz Małkowski, **Archiprzewodnik po Polsce**, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2022, s. 430

Co zwiedzać latem w Polsce? Znowu Sukiennice, zamek krzyżacki w Malborku, Wilanów? Komu się już opatrzyły historyczne atrakcje, ten odnajdzie się w formule tej książki, zachęcającej do podróży szlakiem najciekawszych architektonicznych realizacji ostatnich dekad. Po sukcesie „Archiprzewodnika po Europie” autorzy postanowili powędrować po kraju. Kolejne obiekty omawiają w formie dialogu. Jest dynamicznie, osobiście, ale i merytorycznie, bo obaj autorzy (Konieczny to wybitny architekt, Małkowski – krytyk architektury) wiedzą, o czym mówią. Mamy tu ponad sto realizacji rozrzuconych po całym kraju, z nadreprezentacją Warszawy i Śląska. Ale też sporo ciekawostek oddalonych od głównych szlaków, jak choćby Miedzianka, Korzecko, Rogów czy Panki. Fantastyczny pomysł, choćby na weekendowe wypadki, ale też mądra lekcja rozumienia współczesnego projektowania. **P.SA.**



WYBRALI I OPISALI: BARTEK CHACIŃSKI, JAKUB DEMIAŃCZUK, PIOTR SARZYŃSKI, JUSTYNA SOBOLEWSKA, DOROTA SZWARCMAN, JANUSZ WRÓBLEWSKI, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Aktor pierwszej starości

Harrison Ford przeżywa najlepszy od lat okres w swojej karierze – i to nie tylko za sprawą powrotu do kultowej roli archeologa Indiany Jonesa.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Harrison Ford i Helen Mirren w serialu „1923”

O osobach, których twórcza kariera rozkwita ponownie po latach przerwy, mawiało się kiedyś, że przeżywają drugą młodość. W przypadku Harrisona Forda to określenie nie ma większego sensu. Hollywoodzki gwiazdor w świetnym stylu przeżywa właśnie pierwszą starość, nawet jeśli od dawna wraca do ról, które kiedyś przyniosły mu sławę. Teraz znów możemy go oglądać w roli Indiany Jonesa, kultowego archeologa-awanturnika, który najbardziej

na świecie nienawidzi nazistów, a boi się jedynie węży.

„Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” – pierwszy film z serii, którego nie wyreżyserował Steven Spielberg, za kamerą stanął specjalista od kina akcji James Mangold – stara się jednak przywrócić tytułowemu bohaterowi młodość całkiem dosłownie. Kilkanaście minut spędzamy w towarzystwie Indiany Jonesa w wieku ledwo średnim, a dzięki cyfrowej obróbce Harrison Ford zamiast osiemdziesiątki ma znów

czterdzieści parę lat i tłucze hitlerowców jak za dawnych czasów.

Technologia, która pozwala na „odmładzanie” aktorów, robi znaczące postępy. Jeszcze kilka lat temu po premierze „Irlandczyka” Martina Scorsesego część krytyków narzekała, że na ekranie Robert De Niro ma może wygładzone zmarszczki i przyciemnione włosy, lecz głos i ruchy człowieka w zaawansowanym już wieku. Jednak hollywoodzcy twórcy uczą się na własnych i cudzych błędach, więc odmładzane gwiazdy coraz bardziej

przypominają siebie sprzed lat, a coraz mniej cyfrowe awatary. A kwestią czasu jest wykorzystanie animacji komputerowej, technologii deepfake i programów AI do stworzenia w pełni wiarygodnych cyfrowych wersji popularnych aktorów. „Mogę jutro wpaść pod autobus, ale moje role będą się wciąż pojawiać” – mówił Tom Hanks w popularnym podkaście Adama Buxtona. – „Bez wątplenia ludzie będą w stanie dostrzec różnicę. Pytanie tylko: czy to ich będzie obchodzić”. Zostawiając na razie z boku najistotniejsze w tym przypadku pytania o etykę, prawa osobiste i prawa autorskie – odmłodzony Indiana Jones na kinowym ekranie jest dowodem, że czas, w którym w kinie ożyją zmarli, jest bliższy, niż nam się wydaje. Tyle że Harrison Ford na razie ma się świetnie.

Człowiek bez przyszłości

Przyjmując angaż w filmie Spielberga, Ford był już wielką gwiazdą dzięki roli Hana Solo w „Gwiezdnym wojnach”, jednak początków swojej pracy w zawodzie nie wspominał nigdy zbyt miło. Przez kilkanaście lat próbował się przebić w Hollywood, grywał w pojedynczych epizodach seriali, statystował w filmach, lecz to wszystko nie odpowiadało jego ambicji, a przede wszystkim nie pozwalało się utrzymać. Postanowił wówczas nauczyć się fachu cieśli, żeby zarobić na życie i okazał się całkiem sprawnym rzemieślnikiem – robił meble m.in. na zamówienie Joan Didion. Uparcie jednak próbował zaistnieć w świecie filmu. Pierwszą poważną szansę dostał pod koniec lat 60. od jednego z gigantów francuskiego kina: Jacques Demy zaproponował mu rolę w „Sklepie z modelkami”, swoim amerykańskim debiucie. Wybór aktora oprotował jednak jeden z przedstawicieli studia Columbia, mówiąc, że Ford nie ma przyszłości w kinie – z pewnością była to jedna z największych pomyłek obsadowych w historii. Przynajmniej pozostały po niej fragmenty przesłuchań, które można zobaczyć w dokumentach o twórczości Demy’ego.

Wbrew przewidywaniom producenta branżowa przyszłość dla Forda nadeszła wkrótce potem: najpierw z niewielkimi, lecz docenionymi rolami u George’a Lucasa w „Amerykańskim graffiti” i Francis Forda Coppola w „Rozmowie” (później wystąpił jeszcze w „Czasie apokalipsy”, choć jego czas ekranowy został radykalnie skrócony podczas montażu), potem eksplodowała na galaktyczną skalę dzięki „Gwiezdnym wojnom”.

W lata 80. Harrison Ford wkraczał już jako gwiazda z hollywoodzkiej czołówki, aktor obsypywany propozycjami

i uwielbiany przez tłumy. Lucas, a potem Spielberg, wykorzystali jego naturalną charyzmę, umiejętnie ogrywali jego wdzięk, zawiadacki uśmiech i urodę. Dziś możemy nieco bardziej krytycznie patrzeć na postaci, które przyniosły mu uznanie – zwłaszcza wczesne filmy o Indianie Jonesie noszą piętno kolonialnych fantazji zachodniego świata – lecz role Forda wciąż wydają się świeże, atrakcyjne, przykuwają uwagę. Dzięki nim stał się jedną z ikon przebojowego nurtu w amerykańskim kinie (w Polsce określanego mianem kina nowej przygody) i udowodnił, że jest wymarzoną odtwórcą wyrazistych postaci, które łatwo zapadają w pamięć, choć niekoniecznie stawiają aktorowi wysokie wymagania. A Ford chciał czegoś więcej.

Lata 80. okazały się najlepszym etapem jego kariery. Z jednej strony sława i niezwykła popularność, podbijana kolejnymi częściami „Gwiezdnym wojnom” i „Indiany Jonesa”, z drugiej – ambitne propozycje, w których mógł udowodnić, że stać go na więcej. Rola Ricka Deckarda w „Łowcy androidów” pokazała innego Forda: wciąż silnego, lecz jednocześnie kruchego, zagubionego, niepewnego świata, w którym żyje – ani nawet własnego w nim statusu. Aktor nie wspominał dobrze pracy nad filmem: „Byłem wręcz desperacko niezadowolony. Kontrakt zmuszał mnie do nagrania pięciu lub sześciu wersji narracji, ta ostateczna była czymś, co mnie kompletnie unieszczęśliwiło. To jasne, że »Łowca androidów« ma swoich wyznawców, lecz mógłby być czymś znacznie więcej niż filmem kultowym” – narzekał kilka lat później w rozmowie z magazynem „Entertainment Weekly”.

Wzloty i potknięcia

Druga połowa dekady przyniosła Fordowi dalszy ciąg znakomitej aktorskiej serii: w „Świadku” Petera Weira zagrał policjanta chroniącego społeczność amiszów przed skorumpowanymi gliniarzami. Świetnie wypadł jako wielkomiński cynik, który nie tylko musi odnaleźć się w niezrozumiałej dla siebie rzeczywistości, lecz również zaakceptować panujące w niej zasady, by doprowadzić śledztwo do końca. Pod reżyserską opieką Weira kryminalna intryga zamienia się w opowieść o duchowej przemianie i odkupieniu win, lecz nigdy nie przekracza granicy łzawego melodramatu. Rola w „Świadku” przyniosła Fordowi jedyne w karierze nominacje do Oscara i nagrody BAFTA oraz pierwszą (z czterech) nominację do Złotego Globu.

Z Weirem spotkał się jeszcze na planie „Wybrzeża moskitów”, historii pograżającego się w szaleństwie mężczyzny, który

postanawia przenieść się z rodziną do południowoamerykańskiej dżungli w poszukiwaniu lepszego życia (a także z powodu lęku przed wojną nuklearną). Film nie spodobał się krytykom ani widzom, lecz Ford bronił go po latach. Z pewnością jego rola była odważną próbą wyjścia poza tradycyjne emploi faceta budzącego odruchową sympatię i zaufanie.

Mimo komercyjnej porażki „Wybrzeża moskitów” Ford do końca dekady był na fali wznoszącej: zagrał we „Franticu” Romana Polańskiego, udanej komedii ▶

REKLAMA



INSTYTUT
IM. JERZEGO
GROTOWSKIEGO

Spektakle, premiery

Konkurs na czytanie performatywne

Anty
bohater
ka

II Festiwal
Teatru na faktach
6–9.07.2023

Otwarcie sceny ukraińskiej

Dyskusje

Instytut im. Jerzego Grotowskiego
Centrum Sztuk Performatywnych
Wrocław





Teatr
na Faktach

► korporacyjno-feministycznej „Pracująca dziewczyna” Mike’a Nicholasa, triumfalnie wrócił do roli Indiany Jonesa w „Ostatniej krucjacie”, a lata 90. rozpoczął świetnym występem u Alana J. Pakuli w „Uznany za niewinnego”. Zagrał tam prokuratora, który pracując nad sprawą oskarżonej o morderstwo przyjaciółki, musi ujawnić własne mroczne sekrety z przeszłości. Lecz kolejny film, „Odnaleźć siebie” Mike’a Nicholasa, okazał się potknięciem. Kiczowaty, schematyczny melodramat o cynicznym adwokacie, który po postrzale traci pamięć i musi od nowa nauczyć się żyć, by wreszcie przekonać się, że nie lubi człowieka, którym był kiedyś, przyciągnął co prawda widzów do kin, lecz rozczarował krytykę,

udział w pracach The Lincoln Project – antytrumpowskiego think tanku założonego przez Republikanów.

Wartościowe produkcje, w których wziął udział od połowy lat 90., można policzyć na palcach jednej ręki. Większość wydaje się po prostu zbędna, nie wyłączając „Kryształowej czaszki”, czwartej części przygód Indiany Jonesa. Ford od czasu do czasu miał szansę przypomnieć widzom, że ma talent zarówno komediowy („Dzień dobry TV”, w którym zagrał rozgryzonego prezentera telewizyjnego), jak i dramatyczny („42 – prawdziwa historia amerykańskiej legendy”, gdzie wcielił się w rolę trenera, który ściągnął do ligi baseballowej pierwszego afroamerykańskiego

okaże się najnowszy film o Indianie Jonesie, współczesne kino wciąż nie ma Fordowi do zaproponowania niczego na miarę jego możliwości. Podobnie jak wielu aktorów w jego sytuacji, odnalazł się w telewizji.

Pod koniec 2022 r. miał premierę serial „1923” – jeden z prequeli przebojowego „Yellowstone” Taylora Sheridanana. Ford zagrał w nim Jacoba, patriarchę serialowego rodu Duttonów, u boku Helen Mirren, z którą po raz pierwszy spotkał się na planie „Wybrzeża moskitów”. W swojej roli, utrzymanej w najlepszej westernowej tradycji, połączył powagę, zdecydowanie i stoicki spokój. Inne wyzwania stawił przed nim występ w komediowym serialu „Terapia bez trzymanki”: tam Ford gra podstarzałego terapeutę, który nie potrafi ułożyć sobie relacji z mieszkającą w innym stanie córką. Jest dowcipny i cyniczny jak za dawnych lat, lecz jednocześnie wzruszający – to rzadki przypadek, gdy jego bohater musi stawić czoła starości i przemijaniu.

Ford słynie z tego, że przyjmuje jedną rolę rocznie, ale w ostatnim czasie jego kariera nabrała nowego przyspieszenia. „Po dwóch latach siedzenia na tyłku z powodu covidu oraz przedłużającego się startu zdjęć do »Indiany Jonesa« chciałem wreszcie zrobić różnorodne rzeczy. Dostałem propozycję zagrania w »Terapii...«, a krótko potem w »1923« i przyjąłem obie, nawet nie znając scenariuszy, bo wierzyłem, że ludzie zaangażowani w te projekty nie zawiodą” – tłumaczył dziennikarzowi „Holywood Reporter”, dodając, że cieszy się z nadchodzącej pracy nad kolejnymi sezonami obu tytułów.

Ford, choć niedługo skończy 81 lat, wygląda i czuje się znacznie młodziej. Wciąż nie przepada za rozmowami z prasą, nie chce też analizować swoich ról. „Pierwsza reguła klubu aktora: nie rozmawiaj o aktorstwie” – mówił, parafrazując popularny cytat z filmu „Fight Club”. Wkrótce zadebiutuje w komiksowym uniwersum Marvela w roli generała Rossa, którą przejął po zmarłym aktorze Williamie Hurcie. Ma wystąpić w filmach „Kapitan Ameryka: Brave New World” oraz „Thunderbolts”. Ciąg dalszy pewnie nastąpi – w końcu w „Ostatniej krucjacie” Indiana Jones pił wodę ze Świętego Graala, co miało mu zapewnić życie wieczne. Lecz prawdziwy sposób na nieśmiertelność odkrył być może dopiero w „Artefakcie przeznaczenia”. Harrison Ford deklaruje wprawdzie, że skończył z kultową rolą, co nie znaczy, że w przyszłości Indiana Jones nie wróci z jego twarzą i sylwetką, nawet bez jego woli i fizycznej obecności na planie.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Harrison Ford jako archeolog w filmie „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia”.

a Ford dał z siebie wszystko, lecz ewidentnie rola w wyciskaczu łez mu nie leżała.

Na kilka lat przerzucił się do kina akcji i to ze sporymi sukcesami. W dwóch filmach („Czas patriotów” i „Stan zagrożenia”) zagrał analityka CIA Jacka Ryana, w „Ściganym” wcielił się w rolę lekarza niesłusznie oskarżonego o zabójstwo żony i uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości. Lecz po tych sukcesach kariera aktora dostała zadyszki. Jego nazwisko wciąż bywało gwarancją kasowego sukcesu, lecz coraz częściej dobierał nietrafione produkcje, podejmował też błędne decyzje: odrzucił m.in. rolę w dramacie wojennym „Syriana”, bo nie chciał brać udziału w filmie opowiadającym aktualną i wciąż bolesną historię (zamiast niego zagrał George Clooney, który kilka miesięcy później mógł cieszyć się z Oscara), zrezygnował też z występu w głośnym „Traffice” Stevena Soderbergha. Jedną z jego ról z tamtego czasu, w „Air Force One”, gdzie zagrał prezydenta własnoręcznie rozprawiającego się z terrorystami, szczególnie upodobał sobie Donald Trump, lecz Ford, od zawsze wyborca Demokratów, zdecydowanie odciął się od umizgów skompromitowanego polityka, za to oficjalnie poparł kandydaturę Joe Bidena i wraz z Markiem Hamillem brał

zawodnika), lecz przede wszystkim wydawało się, że jest gwiazdą z czasów minionych. Swoistym podsumowaniem tej sytuacji był występ w trzeciej części serii „Niezniszczalni”, słynącej z obsady złożonej z przebrzmiałych idoli kina akcji.

Na mały ekran

Na ratunek przyszła nostalgia. Najpierw powrót do roli Hana Solo w „Gwiezdnym wojnach: Przebudzeniu mocy” – dawny kosmiczny awanturnik i legenda ruchu oporu przeciwko imperium na starość okazuje się postacią tragiczną, człowiekiem, który z trudem musi pogodzić się z faktem, że jego syn Kyo Ren okazał się wcieleniem zła i naśladowcą Dartha Vadera. Rola Forda i jego mimo upływu lat niegasnąca ekranowa chemia z grającą księżniczkę Leię Carrie Fisher były jednymi z najjaśniejszych punktów nowej odsłony gwiazdnej sagi. Dwa lata później aktor ponownie zagościł na ekranach jako Rick Deckard, choć w „Blade Runnerze 2049” pojawił się na ekranie dopiero w trzecim akcie filmu. Jednak sprawiał wrażenie, że w skórze tej postaci czuje się doskonale. Lecz mimo sukcesów, jakimi były kontynuacje „Gwiezdnym wojen” i „Łowcy androidów”, i jakim zapewne

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Rezygnację ze „Szklą kontaktowego” złożyli Krzysztof Daukszewicz, Artur Andrus i Robert Górski. W satyrycznej audycji ktoś najwyraźniej nie zrozumiał, że narzędziem pracy satyryka jest słowo. Kiedyś, żeby ludzie siedzieli cicho, potrzebny był kałasznikow. Dziś wystarczy polityczna poprawność.

Nowy cykl reportaży Doroty Kani „Resortowe dzieci” śledzi w TVP Info średnio 425 tys. widzów. Resortowe dzieci. To jedyna grupa dzieci w Polsce, którą PiS otacza stosowną troską.

TVN szykuje specjalne odcinki teleturnieju „Milionerzy”, w których do wygrania będą 2 mln zł. W Niemczech były emitowane odcinki, w których można było wygrać 3 mln euro. TVP Info miało rację: droższyna w Niemczech szaleje.

Legenda TVP Dariusz Szpakowski oraz Mateusz Borek reklamują piwo Tyskie. Oni już przed meczem z Mołdawią wiedzieli, że polskiego futbolu nie da się oglądać na trzeźwo.

Aktor, a wkrótce reżyser Sebastian Fabijański wyznał, że nie pójdzie na Paradę Równości, gdyż: „Jest coś niepokojącego w idei i instytucji pt. LGBT”, bo „ktoś tam próbuje, na bazie i płaszczyźnie szlacheckich bardzo intencji, uzyskać jakieś mocne korzyści”. Leni Riefenstahl też zaczynała od aktorstwa.

Po pięciu latach procesu brukowiec „Super Express” przeprosił na pierwszej stronie Joannę Kulig. Sprawa dotyczyła artykułu „Skandal! Ocenzuowała seks z księdzem”, odnoszącym się do filmu „Kler”. Kupowanie brukowca ma coś wspólnego z dawaniem na tacę. Płacisz za nieprawdziwe wiadomości.

„Mimo że jutro jest mecz Polska–Niemcy, to wynik tego pojedynku poznamy w październiku”. Tyle Jan Kanthak z Suwerennej Polski przed meczem. Janku, mecz z Niemcami był towarzyski. Na twoim miejscu bałbym się finału Polska–Rosja. Gramy z wami u nas.

Przy okazji promocji nowej płyty „On The Wrong Planet” John Porter ujawnił, że tylko w tym roku dostał odmowę występu na 35 festiwalach muzycznych w Polsce. Podobno „nie jest na te czasy”. Brawo. Nie przepuszczałem, że festiwal w Opolu ma tyłu dyrektorów.

Bollywoodzkiego dramatu Natalii Janoszek ciąg dalszy. Krzysztof Stanowski udowodnił, że aktorka sama zredagowała swoją notkę biograficzną na angielskiej Wikipedii. Musiała zrobić to do-



© FILIP RADWAŃSKI/ARPA

brze, bo strona, podobnie jak cała kariera Natalii, została zamknięta.

Monika Goździalska o Polakach: „Powinni mniej zazdrościć i wbijać nóż w plecy”. To Plotek Exclusive. Poza pokracznością samej wypowiedzi trzeba zadać pytanie: kto to jest i kogo jej zdanie obchodzi? W show-biznesie nawet na bycie nikim trzeba trochę zapracować.

Rafał Mroczek, aktor dramatyczny, poinformował świat, że przeszedł zabieg blefaroplastyki, czyli korekty górnych powiek, gdyż wcześniej nie wszystko widział. Świetny ruch. Może teraz w pełni zobaczy, co zrobił z pojęciem „aktor”.

W słuchalności radia w internecie na pierwszym miejscu jest RMF FM. Co ciekawe, Radio 357 i Nowy Świat mają ponad pięć razy więcej słuchaczy niż Trójka. Gdy słucham nowych prowadzących Trójki, to mam wrażenie, że oni są przekonani, że Salmonella to dzielnica Rzymu.

Aktorzy Marianna Zydek i Maciej Musiałowski wystąpili w reklamie Plusa na kartę. Ciekawia mnie kryteria doboru gwiazd w tej kampanii. Chyba wciąż obowiązuje hasło całej sieci: Tylko najtańsze oferty.

„Heteroseksualnemu dziadersowi zrobiło się niekomfortowo, bo obnażył swoją głupotę i świat zareagował” – tak o Krzysztofie Daukszewiczu napisał Paweł Felis. Zaczne. Słowa „dziaders” autor używa jak przecinków. Ja bym mu raczej zaproponował myślnik.

Telewizja Republika rusza z „Przeglądem prasy niemieckiej”, w którym będzie informowała o tym, jak niemieckie media piszą o Polsce. Dobry pomysł. Ja bym też wzmocnił strażę przy radiostacji w Gliwicach.

„Dobrze się to ogląda, pamiętając o klasie rywala” – takimi komplementami zasypywali naszą kadrę Mateusz Borek i Robert Podoliński podczas pierwszej połowy meczu Polska–Mołdavia. W drugiej połowie było tak samo.

Koniec teleturnieju **Doroty Wellman** zatytułowanego „Kto to wie?”. Dziwne. Dorota bardzo profesjonalnie prowadzi swoje ruchy zawodowe. W lutym zaprosiłem ją do swojego talk-show, by zareklamowała nowy program. Do dziś to analizuje.

Lupa pod lupą

Zablokowanie przez zespół techniczny premiery spektaklu **Krystiana Lupy** w Genewie oznacza swoiste zderzenie kultur. A przy tym powrót do dyskusji o zasadach pracy w polskich teatrach.

ANETA KYZIOŁ



Czerwcową premiera „Les Émigrants” W.G. Sebald w reżyserii Krystiana Lupy w szwajcarskiej La Comédie de Genève nie doszła do skutku. Nie odbędą się także lipcowe pokazy na festiwalu w Awinionie, którego szef Tiago Rodrigues próbował ratować sytuację, ale pokonały go „przeszkody finansowe, czasowe i logistyczne”, czyli niemożność znalezienia w krótkim czasie przestrzeni na ostatnie próby, środków na dokończenie produkcji i opłacenie nowej ekipy technicznej. Obecnie trwają prace, by mogły się odbyć styczniowe pokazy w paryskim l’Odéon-Théâtre de l’Europe. Ten – jak napisał w oświadczeniu dyrektor Rodrigues – „rozważa wszelkie rozwiązania, które mają zapewnić pokojowe warunki tworzenia”.

Te trzy potężne europejskie instytucje, a także Triennale di Milano, PCM/Cité du Théâtre w Montpellier i Maillon Théâtre de Strasbourg, gdzie spektakl Lupa także ma być pokazywany, złożyły się na budżet w wysokości ok. 930 tys. franków szwajcarskich, czyli 4,3 mln zł. Prace nad spektaklem trwały od marca, aż tuż przed premierą nagle zakończył je lakoniczny komunikat dyrektorów genewskiej sceny Natachy Koutchoumov i Denisa Maillera. O odwołaniu premiery miały wedle nich zdecydować: „różnice w filozofii

pracy pomiędzy reżyserem a dyrekcją teatru i ekipami technicznymi, których skutkiem były trudności komunikacyjne uniemożliwiające stworzenie spektaklu” oraz „powtarzające się naruszanie przez reżysera wartości teatru, które są zawarte w regulaminie pracowniczym, kodeksie postępowania i umowach podpisywanych przez teatr z każdym zespołem artystycznym”. Co kryje się za tymi dość ogólnymi sformułowaniami, dowiadujemy się z oświadczeń i wywiadów publikowanych w kolejnych dniach.

Pierwsze z całej serii oświadczeń wydała dziewięcioosobowa obsada „Les Émigrants”: „Chcielibyśmy wyrazić nasze silne pragnienie, aby ten spektakl istniał. Mamy szczerą nadzieję, że będziemy mogli kontynuować to artystyczne doświadczenie, które ma dla nas ogromną wartość i zaprezentować publiczności spektakl, w który wierzymy”. Kolejny był Krystian Lupa, który swoje stanowisko opublikował we francuskim dzienniku „Libération”. Przyznał się w nim do dwóch niekontrolowanych wybuchów, za które jednak, jak twierdzi, szybko przeprosił ich bezpośrednich adresatów, i których bardzo żałuje. Ofiarą pierwszego była tłumaczka Agnieszka Zgieb, zaprzyjaźniona z Lupa wieloletnia współpracowniczka i edytorka francuskich książek o reżyserze

(ona też przełożyła oświadczenie Lupa). Gdy po wielu godzinach tłumaczenia jego monologu na próbie poprosiła o krótką przerwę, wyrwany z transu reżyser zareagował gniewem i krzykiem, w czym wtórował mu Piotr Skiba, od lat 70. aktor Lupa i jego życiowy partner, w Genewie występujący jako kostiumograf i nieformalny asystent reżysera. Drugi wybuch miał miejsce w reakcji na „niemożność rzucenia prostego światła szkicowego podczas próby” i dotyczył oświetleniowca.

Reżyser przyznawał też, że ciężkie były ostatnie, techniczne próby, z jego „uporczywymi prośbami o prawidłowe wykonanie kompozycji światła, dźwięku i wideo (zawsze to robię) w celu uniknięcia późniejszych błędów technicznych”, co zespół techniczny odebrał jako kolejne przemocowe zachowanie ze strony polskiego twórcy. „Uważam, że teatr, zapraszając zagranicznego reżysera, zaprasza go z jego metodą pracy, do której ekipy powinny przynajmniej spróbować się dostosować. Wszelkie sprzeczności zawsze można negocjować lub przedyskutować. Nie było żadnej takiej próby, żadnej komunikacji. Pierwszym krokiem był zjednoczony bunt, który całkowicie mnie zaskoczył, i którego nadal nie rozumiem” – kończył swoje oświadczenie Lupa. A w wywiadzie dla „Le Monde” uzupełnił obraz o nerwową atmosferę pracy, wywołaną z jednej



© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

W Polsce genewskie wypadki Lupy dały nowe paliwo trwającym dyskusjom i sporom.

Kończący za kilka miesięcy 80 lat reżyser, najjaśniejsza obok Krzysztofa Warlikowskiego gwiazda współczesnego rodzimego teatru, laureat Europejskiej Nagrody Teatralnej, człowiek, którego spektakle są koprodukowane przez europejskie sceny i zapraszane na prestiżowe festiwale, stał się uosobieniem najgorszych, archaicznych wartości: patriarchy, teatralnego feudalizmu i wciąż pokutującego na różnych polach polskiego folwarku. Konserwatyści mają problem z Lupą gejem, libertynem i bezbożnikiem, wielu sarka na legendarną długość i rozwlekłość jego spektakli. Zaś młodszy i progresywni widzą w nim uprzywilejowanego starszego mężczyznę, który bez umiaru i refleksji wykorzystuje swoją pozycję. Usprawiedliwiając swoje zachowanie skompromitowanymi już przekonaniem: o autonomii sztuki i artysty, do których jakoby nie można stosować obowiązujących w innych obszarach norm społecznych, i o cierpieniu jako nieodzownym elemencie procesu twórczego.

Przy okazji afery genewskiej wróciła wcześniejsza głośna sprawa – nagie poślądki i gest hajlowania, jakimi Joanna Szczepkowska uraczyła ze sceny reżysera i widzów podczas premiery „Persony. Ciało Simone” w warszawskim Teatrze Dramatycznym w 2010 r. W późniejszych wywiadach aktorka opowiadała o tym, co ją skłoniło do tego protestu: o przedłużających się próbach, niekończących się monologach Lupy, podczas których czuła się jak jego darmowa psychoterapeutka, o braku szacunku dla czasu pracy i życia prywatnego współpracowników.

Dziś w podobnym tonie wypowiedziała się na Facebooku reżyserka Agnieszka Jakimiak: „Mam wielką nadzieję, że odwołanie szwajcarskiej premiery Lupy pozwoli środowisku teatralnemu pojąć, że dotychczasowe sukcesy reżysera nie działały się dzięki nadużyciom, ale POMIMO ICH. Udawało się, pomimo złego traktowania ekip technicznych, pomimo naciągania budżetów do niebotycznych rozmiarów i zmian kluczowych decyzji w ostatnim momencie. Pomimo drenowania budżetów teatrów i pomimo rozsądzania terminary. Pomimo spustoszenia. Te spektakle byłyby tak samo super, jakby te wszystkie rzeczy się nie działy. One nie są warunkiem fajnych spektakli, one są dla nich przeszkodą i tego nas uczy ten *case*. Nie ma sensu ich ukrywać ani zamiatać pod dywan, w końcu i tak jebną. Ostatecznie spektakle budowane na nadużyciach po prostu się nie odbędą. Jeju

jakbym bardzo chciała, żeby to do nas wszystkich wreszcie dotarło”.

Gest genewskich techników ośmielił polskich współpracowników Lupy. Pojawiło się już kilka opowieści o wybuchach gniewu, epitetach, wymaganii ciągłej dyspozycyjności i tworzeniu stresującej atmosfery. Profil facebookowy „Jurek, Tadek i ziomki z Teatru”, bezkompromisowy w krytyce Lupy, zbiera i zamiera ogłosić anonimowo świadectwa osób skrzywdzonych przez Krystiana Lupa i Piotra Skibę. Dyrektorzy warszawskiego Teatru Powszechnego, (współ)producenta kilku ostatnich spektakli reżysera, pod presją opinii publicznej opublikowali komunikat, w którym ogólnikowo przyznają, że „sytuacje kryzysowe” podczas prób do spektakli, w tym tych w reżyserii Lupy, zdarzały się, ale postępujące zmiany świadomości i wrażliwości wpływają też na zmiany metod pracy. Próby do ubiegłorocznej premiery „Imagine”, jak przyznają dyrektorzy i sam Lupa, przebiegały już w znacznie bardziej harmonijnej atmosferze.

Sam Lupa wydaje się rozdarty. Z jednej strony widzi i rozumie potrzebę zmiany – „Imagine”, tworzony w czasie rosyjskiej napaści na Ukrainę, z obrazami rzezi w Buczy i Mariupolu pod powiekami, opowiada o upadku ideałów dzieci kwiatów i potrzebie porzucenia „buca wojny”, człowieka przemocowego na rzecz człowieka empatycznego. Przy pełnej świadomości, jak trudny jest to proces – w spektaklu odbywa się z pomocą... kosmitów. Z drugiej strony jest Lupa jednym z ostatnich reżyserów wychowanych w tradycji modernistycznej, hierarchicznej, i choć kpi z własnej pozycji „mistrza”, w spektaklach i wywiadach z podejrzliwością podchodzi do „autorytetów” i często okazuje się mimo wieku twórcą niezwykle nowoczesnym (także w aspekcie technologicznym) i żywotnym, to nie potrafi przejść z pozycji reżyserkiego monologu do dialogu. I nie umie odpuścić. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówił: „Jestem ciekaw tej nowej wizji teatrów, w której wszystko będzie się odbywało bez żadnej emocji, w całkowitej higienie, w utopijnym porządku. Czy wszyscy młodzi artyści głoszący nowy, bezbolesny sposób pracy nigdy się nie denerwują, czy też może denerwują się tylko w słusznej sprawie, podczas gdy ci »starzy« denerwują się z potrzeb sadystycznych?”

W tym sensie na scenie La Comédie de Genève faktycznie doszło do zderzenia filozofii i kultur, nie tylko pracy. I bynajmniej nie tylko w teatrze. ■

strony przez opóźnienie spowodowane jego chorowaniem na covid, a z drugiej przez poczucie niezrozumienia z zespołem technicznym: Lupa oczekiwał od akustyka postawy twórczej, partnerowania dźwiękiem aktorom, zaś akustyk oczekiwał od reżysera jasnych wytycznych, kiedy i jakie dźwięki włączyć.

Jako ostatni swoje oświadczenie opublikował zespół techniczny genewskiego teatru. Na ośmiu stronach pisze o „rzuconych autorytatywnie nakazach, przytłaczającej atmosferze w pracy, upokorzeniach i przykrych epitetach, które uniemożliwiały współpracę”, o „przerażeniu, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyli w swoim zawodowym życiu”, o wielogodzinnych monologach Lupy na próbach, podczas gdy oni oczekiwali jasnych wskazówek albo gry aktorów, o piętrzeniu wymagań podczas kręcenia wideo w plenerze, co podwoiło czas na to przeznaczony i czterokrotnie zwiększyło koszty, wreszcie o tym, że Piotr Skiba nadużywał w pracy alkoholu. „Czy sztuka ma być nadal machiną do rozwałki ludzi, którzy ją współtworzą?” – pytają na koniec, dodając, że zasięgnęli języka w Polsce i dowiedzieli się, że „jeżeli do tej pory nikt nie miał odwagi stawić Krystianowi Lupie czoła, to obecnie środowisko teatralne gotuje się jednak do ataku”. (Cytaty za artykułem Teresy Węgrzyn w „Gazecie Wyborczej”).

O czym śnią Włosi

Są zimni i ciepłi zarazem, nie rozmawiają zbyt wiele o jedzeniu. Ziemia trzęsie się tu cały czas, za to monitoring policyjny jest niepotrzebny – tak Piotr Kępiński, autor „W cieniu Gran Sasso. Historii z Abruzji”, opowiada o mieszkańcach jednego z ciekawszych włoskich regionów.



Uliczni muzycy w strojach ludowych w średniowiecznym miasteczku Scano, Abruzja.

JACEK GÓRECKI: – **Federico Fellini mówił, że „sny są jedyną rzeczywistością”. O czym pan śni we Włoszech?**

PIOTR KĘPIŃSKI: – Kiedy śnię w Rzymie, bardzo często widzę chłodną Warszawę. Lejtmotywnym tych marzeń są wysokie, czyste budynki, powiedzmy gdzieś na Woli. Wchodzę do jednego z nich, siadam przy jakimś bardzo małym stole pokrytym szronem, zamawiam niegazowaną

wodę. Przychodzi kelner, stawia przede mną wysoką szklankę. A ja jej nawet nie dotykam. Czekam. Jakbym chciał, żeby ten chłód trwał wiecznie. Polska we śnie zastępuje mi klimatyzację. Rzym jest kolorowy i żywy, ale w lecie, zwłaszcza w sierpniu, piekielnie gorący i wilgotny. Na dodatek pełen wirujących w powietrzu śmieci. Warszawa na tym tle to oaza czystości, ale i mentalna lodówka, którą

mieszkając od lat za granicą, bardzo często bezpodstawnie idealizuję.

A o czym śnią dzisiaj Włosi?

Młodsze pokolenie – na pewno o lepszym życiu. Niekoniecznie we Włoszech. Mam znajomego z Avezzano, który cały czas krąży po Europie. Był zachwycony Berlinem, ale krótko. Wylądował na jakiś czas w Londynie, ale też nie zagrzał tam miejsca. Obecnie całkiem dobrze zarabia w Lizbonie. Zresztą na zarobki nigdzie nie narzekał. Niemniej z Niemiec uciekał z powodu jedzenia. Anglia według niego to absolutna kulinarna pomyłka. Dlatego koniec końców osiadł w Portugalii. Ma niewiele ponad 30 lat. Jego rodzice nigdy w życiu Italii by nie opuścili. Dla nich *dolce vita* nie było pustym hasłem. Dla niego to śmiech na sali. Jego koledzy też emigrują na potęgę.

Także do Polski?

W 2016 r. oficjalnie było zarejestrowanych u nas niewiele ponad 5 tys. Włochów. Dzisiaj może ich mieszkać nawet cztery, pięć razy więcej. Uwielbiają Warszawę, Wrocław, Kraków, Gdańsk. Ale wiem, że mieszkają także w Poznaniu, Lublinie i w Szczecinie. To dzięki nim możemy narzeczcie zjeść dobrą pizzę. Wiem, wiem, pan mi teraz powie: że i przed dziesięcioma, dwudziestoma laty były w Polsce dobre włoskie restauracje. I będzie miał pan rację. Niemniej teraz jest ich więcej. No i wiele z nich prowadzą Włosi z południa kraju. A ja bardziej lubię kuchnię z Lacjum, Abruzji, Kampanii czy Apulii niż tę z Veneto i Lombardii.

Pytam o ten włoski sen, bo w poprzedniej książce „Szczyry z via Veneto” opisał pan sardyńskie sny o przyłączeniu do Szwajcarii.

Na Sardynii śni się i myśli po sardyńsku. To dosyć hermetyczny i oksymoroniczny świat, który tak jak bardzo do Włoch należy, tak czasami chce być od Italii niezależny. Na budynkach urzędów regionalnych wiszą włoskie flagi, to naturalne. Ale na frontonach prywatnych domów często można zobaczyć te sardyńskie, z czterema czarnymi głowami. Mieszkańcy Cagliari (stolicy wyspy) na pytanie o narodowość

opowiadają zazwyczaj, że sardyńska. Na produktach spożywczych widnieją etykiety: „made in Sardinia”. Oczywiście mówi się tutaj o secesji.

Jest nawet stowarzyszenie Canton Marittimo, które nawołuje do przyłączenia wyspy do Szwajcarii.

Ale trzeba to traktować jak żart. W wyborach lokalnych secesjoniści nie zdobywają więcej niż kilka procent. Zatem nawet jeżeli jakiś Sardynczyk śni dzisiaj o przyłączeniu do Szwajcarii, to będzie śnił jeszcze bardzo długo. A nawet dłużej. A przy okazji warto też zapytać Szwajcarów, czy śnią o Sardynii. Szczerze w to wątpię...

A czy włoski sen się udał?

Na razie szwankuje. Widać olbrzymie zniechęcenie kolejnymi rządami i niepokój wśród ludzi. Obecne prawicowe rządy nie potrafią tego strachu opanować. Oczywiście nie jest tak, że Italia pograżyła się w totalnym kryzysie. Ale mam wrażenie, że nastąpił okres stagnacji. Połowa kraju pomstuje na premierkę Giorgię Meloni, połowa ją uwielbia. Ale ten stan nie będzie trwał długo, bo Włosi są narodem pragmatycznym i pracowitym, niemniej jeżeli chodzi o politykę, to potrafią być też bardzo emocjonalni i zdecydowani. Jeżeli jakiś rząd nie spełnia ich wymagań, wychodzą na ulice. Do wyborów dochodzi tutaj bardzo często przed końcem kadencji. Proszę pomyśleć, od 1946 r. tym krajem rządziło 68 gabinetów.

Włosi są politycznymi anarchistami?

Zdecydowanie tak. Co nie znaczy automatycznie, że są też anarchistami społecznymi. Wręcz przeciwnie! Są bardzo zjednoczeni, prospołeczni, empatyczni i rozsądni. Owszem, lubią mieć swoje zdanie, akcentują przywiązanie do regionów, pielęgnują dialekty, ale też doskonale wiedzą, gdzie przebiega delikatna granica, której nie mogą przekroczyć. Powszechnie się uważa, że wszystko tutaj szwankuje, od infrastruktury



Piotr Kępiński

(ur. w 1964 r.) – poeta, krytyk literacki, redaktor działów kultury w polskiej prasie. Od kilkunastu lat mieszka we Włoszech. Dwa lata temu ukazała się jego książka „Szczury z via Veneto”, w której zaglądał w głąb brudnych uliczek Rzymu.

W wydanej w kwietniu br. książce „W cieniu Gran Sasso. Historie z Abruzji” odkrywa Abruzję, krainę twardą jak tamtejsze skały.

po transport zbiorowy. Ale proszę zobaczyć, co się dzieje, kiedy Włochy dotyka kataklizm, jak teraz w Emilii-Romanii, gdzie doszło do gwałtownych powodzi i zginęło kilkanaście osób. Wszyscy ruszyli na ratunek. Podobnie było podczas pandemii. Wtedy Włosi pokazali, że są narodem zdyscyplinowanym, pragmatycznym i karnym. W autobusach sami siebie upominali o noszenie maseczek, szczepili się na potęgę. Nikt nie musiał ich do tego przekonywać. Na ich tle to chyba Polacy są narodem anarchicznym na każdym poziomie. Oczywiście z drugiej strony miasta południowe są zaniedbane, brudne i czasami wręcz odpychające. W Rzymie odór śmieci bywa tak dojmujący, że nie można otwierać okien.

Ale o Abruzji pisze pan w najnowszej książce „W cieniu Gran Sasso”, że to świat pozbawiony omentacyjnych ozdób, sterylny, posprzątany i przyjazny. Prawie raj?

Nie, do rajtu to Abruzji jeszcze bardzo daleko. Owszem, jest harmonijna, pograżona w przyrodzie i nieskażona przez przemysł. Ale ten kij ma dwa końce. Bo kiedy brakuje wielkich zakładów, brakuje też pracy. Ludzie muszą wyjeżdżać. Wśród współczesnych emigrantów, zwłaszcza młodych, o których już wspomnieliśmy, jest cała masa Abruzyczyków. Region się wyludnia. Dlatego też do robót sezonowych przyjeżdżają tutaj Marokańczycy. W Marsyce, subregionie Abruzji położonym w niecce po byłym jeziorze Fucino, wiosną i latem

mieszka ich nawet 15 tys. I z miejscowymi bardzo dobrze żyją. Aczkolwiek Abruzycyzy są bardzo zdystansowani, tutaj na zaufanie trzeba zapracować. Ci Marokańczycy zapracowali. Przyjeżdżają od lat i miejscowi bardzo sobie ich cenią. Jeszcze 20 lat temu mieszane małżeństwa włosko-marokańskie były nie do pomyślenia, dzisiaj to rzecz zwyczajna. Znajomy z miasteczka, w którym mam dom, w Collelongo, ożenił się całkiem niedawno z dziewczyną z Fezu.

Zetknął się pan osobiście z tym deficytem zaufania?

Oczywiście trudno, żeby było inaczej. Obcy w społeczności małej i zamkniętej prawie zawsze pozostanie obcym. Może tylko starać się niwelować ten stan. Mnie zajęło ponad 10 lat, zanim zostałem w miarę zaakceptowany. To przedziwne i bardzo specyficzne świat, w którym nie należy za dużo gadać, trzeba szanować prywatność innych. Należy się też nauczyć, że niechęć do rozmowy czy kontaktów nie jest równoznaczna z niechęcią do ciebie. Tutaj zamiast spędzać czas w knajpach i na zakupach, od rana do wieczora ciężko się pracuje. Czasami mam wrażenie, że nawet miejscowe psy zachowują się podobnie – węższą trufle, bo Abruzja to region, gdzie są one bardzo popularne, mało szczekają, pilnują domów.

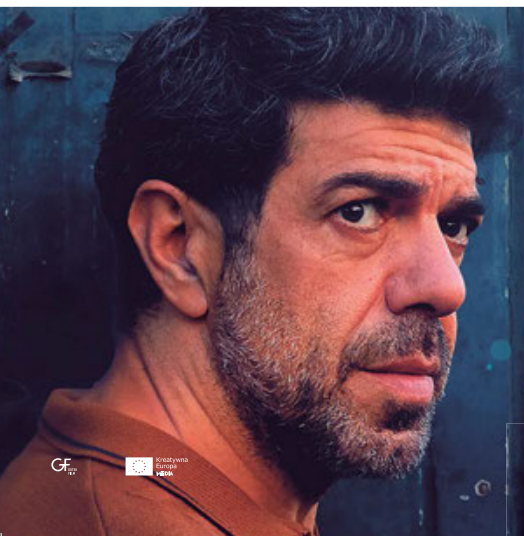
O jedzeniu też się nie mówi?

Jedzenie jest do zjedzenia. Je się świetnie, ale nie deliberuje się o kuchni, jak to bywa w Rzymie, Neapolu czy Mediolanie.

I jest się pod ciągłą obserwacją?

Od rana do wieczora. W miasteczkach abruzyjskich rzadko widuje się kamery do monitoringu. Ludzie śmieją się, że są absolutnie niepotrzebne. Funkcje kamer pełnią starsze kobiety, które obserwują wspólną przestrzeń z balkonów, tarasów i okien. Kiedy widzą kogoś obcego, wyostrzają wzrok. Nic im nie umknie. ▶

REKLAMA



PIERFRANCESCO FAVINO

NOSTALGIA

POWRÓT DO NEAPOLU

REŻYSERIA MARIO MARTONE

W KINACH

FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY
2022

Logo of the festival and other partners.

© BE&W, LUKASZ KĘPIŃSKI

► A jeżeli zaobserwują coś niepokojącego, sięgają po komórki i dzwonią do karabinierów albo na policję. Pan pewnie myśli, że ja żartuję i przesadzam, ale to najprawdziwsza prawda.

To region konserwatywny?

Obecnie prezydentem Abruzji jest Marco Marsilio z centroprawicowej partii Bracia Włosi. I właśnie ta partia w ostatnich latach święci tutaj triumfy, łącznie z formacją Forza Italia. Ciągłe wiele do powiedzenia ma także popu-

Racja. Tutaj nie dyskutuje się nadmiernie o jego współodpowiedzialności za skandale pedofilskie. Wydaje się, że powód jest jeden. Otóż papież bardzo często przyjeżdżał do Abruzji na wycieczki górskie, na narty. Jeden z portali wyliczył, że był ponad 130 razy. Niemało, prawda? No i spotykał się prywatnie z miejscowymi, na szlakach, gdzieś na postojach. Rozmawiał z nimi, jak równy z równym. Oni mu to pamiętają. Imponuje im, że tak ważny człowiek gađał z prostymi ludźmi.



Widok na abruzyjskie miasteczko Atri.

listyczny Ruch Pięciu Gwiazd. Popularność lewicowej Partii Demokratycznej nieco osłabła, ale dziewięć lat temu była bardzo duża. Jeżeli natomiast cofniemy się do lat 80., to wtedy królowała w Abruzji chadecja. Zatem z politycznego punktu widzenia jest to region chimeryczny, na pewno niejednoznaczny.

A jaka jest mentalność ludzi?

Z lekka konserwatywna. Cenią rodzinę, szanują religię, chodzą do kościoła. Aczkolwiek w sprawach obyczajowych, paradoksalnie, są całkiem otwarci. Z Abruzji pochodzi przecież gwiazda porno wszech czasów Rocco Siffredi, nazywany „ojcem chrzestnym ostrego seksu”. Przez wiele lat mieszkał w Los Angeles i tam święcił triumfy jako aktor w filmach porno. Obecnie żyje w Budapeszcie i już tylko produkuje filmy. Jak powiedział w jednym z wywiadów, nie mógł już dłużej grać w tych filmach z powodu dorastających dzieci, które ciągle go pytały: „Tato, a gdzie ty tak naprawdę pracujesz”. Zatem przestał grać. Po czym się nawrócił. Jest praktykującym, gorąco wierzącym katolikiem. Kiedy pytałem znajomych, jak go oceniają, mówili, że bardzo dobrze – przecieży wszystko, co robił, robił z sercem, wielkim sercem. Po czym pękali ze śmiechu.

Podobno Abruzjczycy do dzisiaj darzą wielkim sentymentem Jana Pawła II.

Nie żartują sobie z niego, jak to się dzieje w innych regionach kraju.

Wydaje się, że Abruzja jest nie do zdefiniowania, jest przepelniona religią i okultyzmem.

A do tego socjalizmem i pravicowością. Wielkimi emocjami i dystansem. Zimna i ciepła. Góry i morze. Sam nie wiem, może temu wszystkiemu winna jest historia? Ten region zawsze był rozdarty między południem i północą. Niby leżał w centrum, ale przecież przynależał do Królestwa Obojga Sycylii. Nigdy też nie był monolitem. Jeszcze w XIX w. Abruzje były dwie: Ultra i Citra, czyli Dalsza i Bliższa. To dlatego wtedy nie mówiło się „jedziemy do Abruzji”, tylko „do Abruzzów”. Po proklamowaniu Królestwa Włoch w 1861 r. region scalono, po drugiej wojnie światowej połączono go z Molise. I ten stan trwał do 1963 r. Dzisiaj Abruzja znowu jest samodzielną.

Jest takie powiedzenie „Abruzzo forte e gentile” – Abruzja twarda i uprzejma.

Wymyślone przez Primo Levięgo, jednak nie tego słynnego Levięgo, autora „Pogrążonych i ocalonych”, więźnia Auschwitz. Przed nim żył inny Primo Levi, polityk, dyplomata, a także pisarz, który napisał niewielką książeczkę „Abruzzo forte e gentile”. Jej tytuł tak doskonale zdefiniował charakter ludzi żyjących w tym regionie, że wszedł do potocznego języka. Mieszkańcy tam są twardzi, rzadko narzekają, są też uparci. Nigdy nie spotkałem się tam z najmniejszym nawet przejawem chamstwa.

Turystyki wielkiej tam nie ma, ale chyba i w tej kwestii coś się ruszyło.

Tak, zwłaszcza w czasie pandemii, kiedy to w góry niemalże tłumnie przyjeżdżali rzymianie, a teraz jest ewidentny boom na turystykę górską, połączoną z obserwacją przyrody, a także ptaków, lisów, wilków i rzecz jasna niedźwiedzi, które są symbolem tego regionu.

Pisze pan, że „w Abruzji na ludzi można liczyć zawsze, na ziemię – niekoniecznie”. Wszystkiemu winne są trzęsienia ziemi.

Ziemia się tutaj trzęsie cały czas. Ja już się nauczyłem, żeby nie histeryzować, tylko spokojnie na stronie Narodowego Instytutu Geofizyki i Wulkanologii sprawdzić, gdzie był wstrząs, jak był silny, no i na jakiej głębokości się odbył. Warto zaglądać na tę stronę. Paradoksalnie to uspokaja.

Ale ludzie się boją?

Naturalnie. Do dzisiaj żywa jest tutaj pamięć wielkiej katastrofy, która wydarzyła się w Avezzano w 1915 r. Zginęło wtedy ponad 30 tys. ludzi. W 2009 r. kataklizm dotknął z kolei L'Aquile, stolicę Abruzji. Całe miasto zostało prawie doszczętnie zniszczone. Ale Abruzjczycy całkiem sprawnie sobie z tym radzą. Coraz więcej domów posiada specjalne wzmocnienia antysejsmiczne, w każdym mieście znajdują się specjalne bezpieczne miejsca, w które można pojechać w razie wystąpienia większych wstrząsów.

Mafia tutaj zagląda?

Niestety tak. Nawet podczas odbudowy L'Aquili, po trzęsieniu ziemi, próbowała wygrywać przetargi miejskie na renowację i odbudowę budynków. Ponadto kamorara i 'ndrangheta inwestują tutaj w nieruchomości. Zajmują się oczywiście też handlem narkotykami.

Powiedział pan, że symbolem Abruzji jest niedźwiedź. Co jeszcze?

Tych symboli jest sporo. Każde miasteczko posiada coś charakterystycznego. Na wybrzeżu będą to trabocchi – czyli specjalne maszyny, z których kiedyś łowiło się ryby. W Pescocostanzo złotnicy robią ręcznie tzw. presentosy, bardzo drogie klejnoty. A Sulmona, miasto, w którym urodził się Owidiusz, słynie z confetti. Nie są to ozdoby rozsypywane z okazji Nowego Roku czy ślubu, tylko twarde, bardzo smaczne lukrowane drażetki. Niby twarde jak skała, ale kiedy się je rozgrzyzie, w ustach rozlewa się niesamowita słodycz migdałów. Poezja.

Abruzjczycy są jak confetti?

Otóż to. Twardzi na zewnątrz, ale wewnątrz łagodni jak dzieci.

ROZMAWIAŁ JACEK GÓRECKI



Kremówki

Papież po maturze chodził na kremówki, „tam była cukiernia”, a Ty dokąd chodzisz po szkole, po robocie, po zebraniu czy spotkaniu na Zoomie? W przedszkolu po zajęciach chodziliśmy na róg ulicy Dziennikarskiej (!) i Krasińskiego patrzeć na kiosk, który tam stał, albo do parku „bawić się w doktora”. Za szybą kiosku leżały obiekty kultu: gumy turbo, piłki do ping-ponga z zaprzyjaźnionej Chińskiej Republiki Ludowej, komiksy. Ukąszeni komunistycznymi metodami rodzice wysłali mnie do przedszkola, narażając na niewegańską kaszę mannę, kolektyw uprawiający leżakowanie w ciągu dnia (drzemki są dziś zrehabilitowane przez przedstawicieli branży mental health jako zdrowe dla mózgu) i szczepienia na polio. Dobrzy rodzice nie wysyłają dzieci do przedszkola, tylko dbają o progeniturę samodzielną w domu, pilnując, by smyki nie miały żadnych towarzyszy, kompetencji społecznych i kuchni smaczniejszej niż wodzianka teściowej. No i szczepionek. Jaka szkoda, że szczepionka to nie kleszcz, którego można pęsetą wydłubać po paru dniach. Na pewno ojcowie niezłomni potrafią chociaż jakoś własnymi ustami dziecku taką szczepionkę wyssać z ramienia i wypłuć na chodnik. Potem gardło spirytusem raz-dwa dezynfekują.

Po lekcjach w tysiąclatce chadzaliśmy stadnie na religię lub na chór, na górkę czy modelarstwo. Na górkę chadzało się niezależnie od pory roku. Zimą, by zjeżdżać z tejże na pupie lub sankach, a latem, by załatwić wszelkie porachunki. A to samcy alfa bili kolegę za to, że grał na pianinie, a to koleżanki uprawiały ostentacyjne obgadanie, ostracyzm tudzież barter: ja ci dam odpisać zadanie, a tobie nie dam. Na studiach to już w ogóle trudno sobie przypomnieć, czy było jakieś „po” czy raczej to przed zajęciami człowiek witał dzień na pętli autobusu widma. Lata 90. to był już czas dostępnych badań na HIV, wiedzy na temat epidemii AIDS, a zatem przebadana i uzbrojona w gumy studentka na luzie balowała na całonocnej imprezie, po czym udawała się na egzaminy. Kto wtedy porządnie przykładał się do nauki, dziś nie lądzuje na bruku pijany jak poseł Przemysław Czarnecki czy nie dziurawi sobie markowych chinosów, spuszczać się, za przeproszeniem, po rurze podczas ucieczki przed paparazzi z banalnej orgietki jak poseł węgierskiego Fideszu József Szájer.

A po pracy to już sporo zależało od ludzi, na których trafiałam. Chodziło się na tenisa, koktajle, detoks, na zwykłe spacerowanie po ogródkach działkowych czy umawiało się na wspólne oglądanie meczów. Mój tata często wspominał, jak to po wyjściu z redakcji genialny publicysta Dariusz Fikus potrafił zakupić całą skrzynkę piwa i wraz z koleżankami i kolegami z pracy „poza protokołem” przenosić się do czyjś mieszkanka, żeby tam toczyć

debaty, spory polityczne oraz pielęgnować niezdrowy dla wątroby tryb życia. Dziś pewnie wpadłby na takie koleżeńskie spotkanie integracyjne jakiś pogromca z ba-

talionu Trzeźwych Beretów, agent terapeuta uzależnień i okratowaną kibitką wywiózł wszystkich na niedarmowy turnus osuszający.

W zdrowym systemie każdy powinien mieć swoje kremówki w cukierni. Ale kremówki stały się luksusem, na który nie ma czasu. Czy to się stało 20 lat temu? W którym roku? Czy lato było upalne tego roku, a zima już taka w rytmie antropocenu – mała pokrywa śnieżna, duże obłoki spalonych kaloszy i papy z dachu po sparciu gołębniku? Życie towarzyskie w redakcjach, firmach i na uczelniach wyparowało, przyzakładowe ligi kobiet zniknęły, koledzy z pracy stali się markami, podmiotami prowadzącymi działalność, maszynami pracującymi 25 godzin na dobę na trzech etatach, kto ma czas na gadu-gadu?

Redakcje stały się korporacjami, ludzie cyfrowymi bytami, z którymi widujemy się na teamsach w grupie kilkuset czy wręcz tysiąca współpracowników z działów rozsianych po całej Europie.

Daliśmy sobie odebrać czas na bliskość w pracy, daliśmy sobie wmówić, że związki zawodowe to bolszewia, a wszystko da się załatwić wynajęciem mediatorów lub kupnem szkoleń na temat tego, czym jest mobbing. W redakcjach, w których nie ma prężnie działającej rady pracowniczej,

albo rządzą ludzie bez empatii, będzie dochodziło do takich smutnych historii, jak choćby ostatni rozpad formatu „Szkło kontaktowe” w TVN24. Gdy w pewnej operze dyrygent poprowadził orkiestrę pijany – natychmiast go zwolniono. Wcześniej w zespole nikt nie zauważył, nie było czasu na interwencję kolegów, sugestię urlopu czy zwolnienia na czas leczenia? W radiu, w którym pracowałam, z dnia na dzień zniknęła jedna osoba. Podobno stosowała mobbing. Uzdolniony dźwiękowiec też nagle odszedł, nie zrobiono mu nawet redakcyjnego pożegnania, nie wiem, gdzie pracuje. Przyjaciółka z radia publicznego skarżyła mi się, że nagle przestała dostawać zlecenia, i właściwie nie wie dlaczego, „góra w ogóle nie rozmawia z dołem”.

Gdy pracownicy krzywdzą czy obrażają się lub jeżdżą bez prawa jazdy – firmy udają, że nic się nie dzieje. Albo zwalniają, weźmie się młodszych, niewypalonych. Brak czasu na więzi doprowadził do tego, że przestajemy akceptować to, że możemy przecież mieć różne poczucie humoru, w innych miejscach ustawione granice albo inny poziom narcyzmu i inną definicję taktu. Musi być jakaś świetlica, jakaś cukiernia i czas na to, by spojrzeć sobie nawzajem w twarz, wygarnąć to i owo, a następnie zejść się rano w pracy, każdy elegancko pielęgnować swoje rozbieżności.

AGATA PASSENT

†
Przestajemy
akceptować to,
że możemy mieć
w innych miejscach
ustawione granice.



Zachłanność człowieka



Nadeszło lato, a wraz z nim ryk pił. Choć akurat ten odgłos towarzyszy Polakom i Polkom o każdej porze roku. Lasy od kilku lat wycinane są na potęgę, padają drzewa mniejsze, średnie i wielkie, a drewno jedzie do Chin. Wspólne bogactwo przyrody zasila kieszeń wybranych. I tyle widzieliśmy drzew, niemych świadków tego, co się w Polsce wyprawia z przyrodą pod banderami uparcie głoszonego patriotyzmu.

Dziki kapitalizm podlany dziką chciwością to prawdziwy potwór. Przez to Polska widziana z góry wygląda jak tysiącletnia czaszka zgarbionego nad kieliszkiem wuja. O czym biedak ów myśli? O jednym: ile by tu jeszcze ściąć.

Najsmutniej się robi, gdy człowiek trafi na przykład postępowego myślenia poza granicami Polski. W Brukseli Grażyna poszła na konferencję „To jest Bruksela”, gdzie młodzi, myślący ludzie opowiadali o tym, jak wprowadzają w życie rozwiązania na miarę naszych czasów, z suszami i anomaliami pogodowymi, czyli konsekwencjami ocieplenia klimatu, które przyrodzie zafundowała działalność jednego tylko gatunku – ludzkiego. Słuchając, jak dr Stephan Kampelmann z szacunkiem, troską i poczuciem odpowiedzialności mówi o lesie Sonińskim otulającym Brukselę, Grażyna uświadomiła sobie, że pomysły wcielane w życie w Belgii i gospodarce leśną w Polsce dzieli nie 1500 km, a lata świetlne.

Kampelmann, który bada ekonomię miast w Laboratorium Urbanistyki, Infrastruktury i Ekologii Wolnego Uniwersytetu w Brukseli, uważa, że zamiast wysyłać drewno do Azji, by potem ścinać je z powrotem w postaci mebli, trzeba zasoby dostarczać z tutejszy las użytkować na miejscu. Założona przez niego kooperatywa Sonian Wood udowadnia, że lokalna samowystarczalność jest możliwa i opłacalna. Oczywiście nie rabunkowa, bo Forêt de Soignes, las, który rozciąga się na obszarze 4,5 tys. ha, spełnia o wiele więcej funkcji.

Cudze chwalić, swego nie znacie, można by powiedzieć. To, co dziś w Belgii wprowadza w życie Kampelmann, głosiła i praktykowała przez dekady Simona Kossak, polska biolog, ekolożka, profesorka nauk leśnych, popularyzatorka nauki. Mieszkała w Puszczy Białowiejskiej rozciągniętej na obszarze prawie 309 tys. ha, o której pisała: „Na największym nawet globusie sławna Puszcza Białowiejska zajmuje tyle miejsca, co czubek igły. W tej mikrokropce leży jedyna na planecie, odwieczna ostoja około 500 ssaków nieomal wymarłego gatunku”. I jeszcze: „Puszcza ma bowiem w istocie imponujący wiek 6–8 tys. lat, choć poszczególne jej elementy są młodsze. Obok siebie żyją w niej organizmy o różnej fizjologicznej długości życia: od jednodniowej po kilkusetletnią. Puszcza w każdym momencie jest młoda, dojrzała i stara”.

Mocny i wzruszający jest film pt. „Simona” w reżyserii Natalii Korynckiej-Gruz z 2021 r. Obecności Simony szuka

Ida, jej siostrzenica. Wraz z nią dowiadujemy się, jak wyglądały relacje między kobietami w rodzinie Kossaków. Pokazane prawdziwie i niecukierkowo, dziś można by je określić jako toksyczne. Brutalne gesty idą przez pokolenia – wydziedziczenie córek, odcinanie się matek. Simona to przełamuje, matkuje zwierzętom, swojej siostrzenicy. O macierzyństwie mówi, że to najważniejsza relacja w przyrodzie, „mama i jej dziecko”.

Walka Simony o puszcze, zwierzęta, przyrodę nabiera nowego wymiaru. „Misja ucłowieczania człowieka” – tak określa to partner Simony, Lech Wilczek. I rzeczywistość, Simona żyje tak, żeby innym istotom nie przeszkadzać, dzieli się z nimi przestrzenią, czasem, czułością, jedzeniem. Wychowuje porzuconego warchlaka, który wyrasta na wielkie, kochające ją zwierzę. Simona uczucie odwzajemnia, ikoniczne stało się zdjęcie, gdy dzik śpi na łóżku, a Kossakówna na dywaniku, oboje zadowoleni.

Sąsiedzi nazywają panią profesor „Simonką” i wydają się być z niej dumni. Ale odchowane przez nią dwa osieroczone łosie giną niemal natychmiast po tym, jak je wypuszcza, by miały szansę żyć w naturze. Trafiają na swojego najgroźniejszego wroga, człowieka. „Los oswojonych, ufnych zwierząt, chodzących »samopas« po Puszczy jest zawsze taki sam – szybko padają ofiarą zachłanności i okrucieństwa człowieka” – pisze Simona Kossak.

Nienawidziła polowań i miała nieodparte, naukowe argumenty na to, że nikomu one dziś nie służą. W zbiorze jej felietonów pisanych dla Radia Białystok, który właśnie ukazał się w wydawnictwie Marginesy („Trzy żywioły”), opowiada o zwierzętach i ludziach jako naczyniach połączonych. Wskazuje na podobieństwa i paradoksy przyrody, którą traktujemy zwykle jako „dodatek”.

Całe życie dbała o ekologię, ale z upływem lat coraz częściej dopadała ją wątpliwość: „Wreszcie człowiek zwyciężył przyrodę: zasoby dębiny wyczerpały się. Dziś na ogromnym obszarze lasów użytkowanych gospodarczo w polskiej części Puszczy, ochronie podlega około 200 niedobitków – pomników przyrody. Są wśród nich nieliczne sześćsetletnie okazy o osmiometrowym obwodzie pnia. Te sędziwe dęby, niestety, prawie nie mają następców – drzew liczących 200–300 lat. Jest za to obfitość młodych dąbczaków sadzonych ręką człowieka. Wystarczy więc poczekać pół tysiąclecia i wszystko wróci do normy”.

Po latach od napisania tych słów widać, że w Polsce nikt nie czeka, by drzewa urosły. Normą jest wycinanie pod byle pretekstem albo i bez niego. Patrząc na Belgów, ratujących resztki przyrody, zastanawiamy się, kiedy i my się obudzimy? Na szczęście mamy przykład Simony Kossak, klasycy ekologii, piewczyni równowagi w podejściu człowieka do przyrody.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



Seans z prelekcją

Dawno nie byłem na seansie poprzedzonym prelekcją. Tym razem, zanim zrobiło się ciemno, prelegent wszystko objaśnił. Przedstawił sylwetkę reżyserki, przybliżył kontekst. Potem zapewnił, że w nas wierzy.

– Mam nadzieję, że państwo nie będziecie jak publiczność na „Nowych Horyzontach”. Tam wychodzili w połowie – poskarżył się i poczułem, że w całym dziewiątym rzędzie budzi się duch rywalizacji. W ósmym i dziesiątym też.

Z grubsza wiedziałem, co nas czeka. Czytałem opis naszpikowany imiesłowami: bohaterką filmu jest „uwięziona w kieracie domowej rutyny samotna matka, dorabiająca prostytutką, chowająca zdobyte w ten sposób pieniądze w wazie do zupy”.

– Trzy godziny z hakiem, ale koniecznie trzeba dotrwać do końca – mówili znajomi, którzy widzieli to już wcześniej.

Co drugie przedstawienie teatralne trwa dzisiaj sześć godzin, jednak w przypadku filmu nawet połowa tego czasu budzi grozę.

Chantal Akerman urodziła się w 1950 r. Miała 25 lat, kiedy nakręciła „Jeanne Dielman, 23, quai du Commerce, 1080 Bruxelles”. (Tytuł to nazwisko i adres bohaterki). Film jest dość niesamowity. Akerman komponuje długie, statyczne kadry. Nie stosuje zbliżeń. Nie uznaje muzyki w tle. Skąpi oświetlenia. Kiedy aktorka gasi lampę, ekran pogrąża się w ciemności. Legendarne sceny zmywania, obierania ziemniaków i pastowania butów rozgrywają się w czasie rzeczywistym. W 2022 r. krytycy uznali, że to najlepszy film w historii kina (w każdym razie tak wskazał ranking Brytyjskiego Instytutu Filmowego, opublikowany w magazynie „The Sight and Sound”).

Bez przesady z tym czasem rzeczywistym. W trzech godzinach zmieściły się prawie trzy dni. Pierwsza godzina upłynęła nam w skupieniu. Trochę jakbyśmy oglądali instalację wideo w galerii sztuki albo instruktażowe nagranie z połowy XX w. Portret idealnej gospodyni we wnętrzu. Przed naszymi oczami rozwijała się historia o władzy przedmiotów. O rzeczach, które wymuszają gesty. Opowieść o kranie, który obraca czyjąś dłoń. O plastikowej szczotce, która wprawia w ruch rękę. O nożyku do obierania, elektrycznym młynku do kawy, o proszku Ajax w tekturej tubie.

Śledziliśmy długie sekwencje zmywania, obierania, wystawiania garnków na balkon przynoszenia garnków z balkonu, ugniatania klopsa, układania włosów, układania ręcznika na łóżku, robienia na drutach.

W pewnym momencie zabrakło włóczki. Wyprawa do sklepu trwała dobrą chwilę, więc miałem czas, żeby sobie przypomnieć, że w latach 70. moja babcia

czasem dostawała włóczkę z Belgii. Pamiętałem motki w niespotykanych kolorach. Wychyliłem się z dziewiątego rzędu, żeby je znowu zobaczyć, fantastyczne motki z żelaznej kurtyny. Jednak Jeanne Dielman szukała czegoś o barwie zwiędłego szpinaku.

W drugiej godzinie miałem wrażenie, że dobrze znam to wysprzątane mieszkanie. Myślałem o innym domu, trochę podobnym. Zdążyłem wspomnieć wzór na wyprasowanym obrusie, posiłki z trzech dań, nawet kompot, w którym pływały spuchnięte wiśnie. Wszystko tam stało na swoim miejscu, wszystko trzymało się w ryzach. Ale było coś jeszcze, coś nienazwanego, ukrytego na dnie szuflady, pod bibułą, papierem i środkiem na mole.

Chantal Akermann urodziła się w Brukseli. Wiele lat mieszkała w Nowym Jorku, zmarła w Paryżu. Była córką polskich Żydów, ocalałych z Holocaustu (tak się pisze w notach biograficznych, jakby w 1950 r. istnieli jeszcze jacyś inni polscy Żydzi).

Znalazłem urywki wywiadu, w którym reżyserka opowiadała o swoim dzieciństwie: „Ciągle widziałam ten wschodnioeuropejski sposób życia. (...) W żydowskim domu wszystko jest rytuałem. Byłam tym otoczona do ósmego roku życia. Po śmierci mojego dziadka rodzice z tym skończyli”. Po chwili dodała, charakteryzując swoją bohaterkę: „codzienne czynności zastępują porzucone rytuały. Myślę, że przynoszą jej jakiś spokój. Dlatego, dopóki zna swój dzień, dopóki wie, minuta po minucie, co musi zrobić, to trzyma łęk na dystans”.

Prawie nikt nie wychodził. Im bliżej trzeciej godziny, tym więcej dostrzegaliśmy szczegółów. Śledziliśmy, jak Jeanne Dielman rozmawia z synem. Jak przyjmuje kolejnego mężczyznę. Odkłada pieniądze do wazy, ale zapomina odłożyć pokrywkę. Upuszcza pantofel. Przez chwilę sprawia wrażenie zagubionej. Czuliśmy, że pomiędzy rzeczami a człowiekiem zaczyna się dzieć coś dziwnego, niepokojącego, rewolucyjnego. (Chociaż dopiero w finale narzędzie miało zostać użyte niezgodnie z przeznaczeniem).

– Nie chcę spoilerować – opowiadałem nazajutrz kole-dze – bo może będziesz miał chęć obejrzeć...

– Bez obaw! – zapewnił.

Wychodziłem z kina ukojony, chociaż nie umiałbym wskazać powodów tego uczucia. A potem wyciągnąłem telefon, żeby sprawdzić, co słychać. Wyświetliły się powiadomienia. Komunikaty. Doniesienia. Reklamy biur podróży, zdjęcia czołgów. Niektóre przedmioty zamiast rutyny przynoszą niepokój.

W tamtym wywiadzie Akerman mówiła jeszcze o suspense: „Gdzieś w głębi wszyscy wiemy, że coś się musi wydarzyć”.

MARCIN WICHA

• Z TRUMPEM DO SĄDU • METREM PO MEKSYKU • ZE ZŁODZIEJEM PO WINO

Istnieje
od 1965

FORUM

NASTĘPNE
14
LIPCA
PIĄTEK
WYDANIE

N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 14 (30.06–13.07.2023)

Cena 12,99 zł (w tym 8% VAT)

Putin POCZĄTEK KOŃCA?

- **Pucz Prigożyna**
- **Szpiegowskie czasy prezydenta Rosji**
- **Wojna tajnych służb**



BORIS JOHNSON
Falstaff może wrócić

W GLOBALNEJ DŻUNGLI
Nowe bieguny geopolityki

JOHNNY DEPP
Po co mi Hollywood?

SOFIJA SAPIEGA
Na łasce Łukaszenki

RANNY BIZON
Szaman z Kapitolu

CZAS PREZYDENTEK
Machos zapłaczą

WALKA O PŁODY
Patrole antyaborcyjne

UKRAIŃSKIE MONAKO
Ucieczka jak wycieczka

WOJNY NA HAJU
Imperium za opium

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata
NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 30 CZERWCA



Unikatowy prezent dla wyjątkowego Jubilata

W poniedziałek 26 czerwca nasz serdeczny przyjaciel – i zarazem kierownik działu historycznego POLITYKI niemal od początku jej istnienia – red. **Marian Turcki** obchodził swoje 97. urodziny. Z tej okazji w ubiegłym tygodniu w Łodzi w teatrze Scena Monopolis odbyło się specjalne spotkanie z Jubilatem: Łódź – Mini Patria Est (Łódź – Moja Mała Ojczyzna), podczas którego prezydent Łodzi Hanna Zdanowska wręczyła Marianowi Turskiemu unikatowy prezent: specjalnie zaprojektowany i odlany z brązu dzwon Bell of Honors.

– *Swoją postawą, codzienną pracą, (...) Marian Turcki uświadamia, jak ważna jest walka dobra ze złem* – mówiła prezydent Zdanowska. I dodawała: – *Dla mnie jest wspaniałym wektorem dla każdego prawego człowieka, który powinien podjąć wyznaczoną przez niego drogę.*

Na środku dzwonu wygrawerowano napis: *Lodzermensch*. To niemieckie określenie na mieszkańca zindustrializowanej Łodzi z końca XIX i pierwszej połowy XX w. W dosłownym tłumaczeniu oznacza „łódzkiego człowieka” (niem. *lodzer* – łódzki, *Mensch* – człowiek) – osobę, którą cechuje wyjątkowa pracowitość, wytrwałość połączona ze zdolnością do znacznego wysiłku i dużą przedsiębiorczość.

W górnej części dzwonu widnieje łacińska sentencja *Veritas lux mea* (Prawda jest moim światłem). – *Marian Turski całym swoim życiem zaświadcza, że kieruje się tą zasadą* – mówi Waldemar Piłsa, jeden z organizatorów spotkania. – *Najstarsze dzwony mają 4,5–5 tys. lat. Jeżeli ten, który dziś dostał, przetrwa choć tysiąc i ktoś go kiedyś odnajdzie, może stanie się to pretekstem do ponownego opowiedzenia historii Mariana Turckiego* – dodaje.

U dołu dzwonu widnieje z kolei napis: „Łódź, moja mała ojczyzna”. Bo Łódź to dla Mariana Turckiego miejsce szczególne. Urodził się w 1926 r. w Druskiennikach, w ówczesnym województwie białostockim, ale wychował się w Łodzi. W wieku 14 lat trafił do łódzkiego getta, zaś cztery lata później do jednego z ostatnich transportów z Łodzi do Auschwitz-Birkenau, gdzie stracił ojca i brata. Przeżył dwa marsze śmierci – w styczniu 1945 r. z Auschwitz do Buchenwaldu i w kwietniu tego samego roku z Buchenwaldu do Theresienstadt. Tam doznał wyzwolenia.

Podczas urodzinowego spotkania w Łodzi Marian Turcki przypomniał: – *Niestety tu musiałbym się powtórzyć, że Auschwitz nie spadło z nieba. To nie jest coś, co nagle się dzieje, ponieważ jest ktoś bardzo zły, kto jest tylko tyranem, despota, ktoś kto jest okrutnikiem nagle coś stwarza. I podkreślał: – *Epizod zła, człowiek mija, epizod mija i koniec. Chodzi o to, że wszędzie zło się skrada, ono powoli zawsze pole za polem.**

Balkany – tygiel narodów – nowy podcast historyczny

Balkany leżą między Wschodem a Zachodem, między światem kultury antycznej a światem barbarzyńców, między Rzymem a Konstantynopolem (późniejszy Stambuł). Niemal każdy lud, który w poszukiwaniu lepszego życia szedł do Europy południowej ze wschodu albo z północy, zahaczał o ten region lub w nim zostawał. Nic dziwnego, że ten fragment Europy stał się etnicznym tygłem, a termin „balkanizacja” oznacza mieszanie się i to na każdym możliwym poziomie – kulturowym, religijnym czy językowym. Prof. Jolanta Sujecka, slawistka z Artes Liberales (UW), w rozmowie z dziennikarką POLITYKI Agnieszką Krzezińską tłumaczy, dlaczego tamtejsza wielokulturowość sprawdzała się za rządów bizantyńskich i osmańskich, ale stała się problemem w XIX w.

O tym posłuchają Państwo w najnowszym podkaście POLITYKI – dostępnym na: polityka.pl/podkasty oraz na platformach Spotify.com, Apple Podcasts i Google Podcasts.

Przy okazji polecamy też nasz najnowszy Pomocnik Historyczny „Dzieje Bałkanów” – do nabycia w dobrych punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl.

REDAKCJA



Sprostowanie

Okładka POLITYKI 24 jest efektem fotomontażu różnych zdjęć. Jej autorem nie jest Kacper Pempel z agencji Reuters, jak napisano na okładce. Redakcja wykorzystała jedynie fragment jego zdjęcia. Za wprowadzenie w błąd przepraszamy Kacpra Pempla, agencje Reuters oraz Forum.

REDAKCJA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35
ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sojska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)
PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

www.izbaprasy.pl

PBC

PRINTED IN POLAND





O suchym kieliszku

„Wypij kolego, kto z nami nie wypije, tego we dwa kije” – słowa piosenki Kayah i Gorana Bregovicia towarzyszą większości tradycyjnych wesel. Dziś jednak mogą brzmieć nieco opresyjnie, bo coraz popularniejsze stają się wesela bez alkoholu.

Piosenka „Prawy do lewego” powstała nie tak dawno, bo raptem 24 lata temu, ale dla tematu picia alkoholu litrami – a raczej półlitrami, bo według internetowych podpowiedzi na gościa powinno przypadać 0,5 l wódki – to jak inna epoka. Niepijący należeli do najniższej kasty weselných gości, taryfę ulgową miały tylko kobiety w ciąży. Dziś odmówienie „wódeczki”, „proseczko” czy „aperolka” (koniecznie w takiej właśnie, infantylnej formie) prędzej wywoła złośliwy komentarz niż presję picia; choć i ten pierwszy łatwo zablokować hasłem: „mam niepijący styczeń” czy „robię okna żywieniowe”. Oczywiście jeśli ktoś ma potrzebę, żeby komukolwiek cokolwiek tłumaczyć.

Trzeźwość – niezależnie od jej powodów – staje się coraz popularniejsza, a ruch *sober curious* („ciekawość trzeźwości”) rośnie w siłę. To zjawisko, które polega na uważnym picciu alkoholu zamiast bezrefleksyjnego osuszania literatek czy kieliszków z winem „dla towarzystwa”. Zwiększa się też zainteresowanie imprezami typu *sober rave*, które potrafią zaczynać się nawet wcześniej rano, a bąbelki oferowane w barze pochodzą z kombuchy (fermentowanej herbaty). Co innego jednak, gdy pojawia się temat „suchego” wesela... Jedna frakcja się cieszy, że wreszcie będzie się bawić w swojej strefie komfortu, druga odsądza państwa młodych od czci i wiary, podejrzewa o skapstwo i już sprawdza, gdzie jest najbliższa stacja benzynowa, gdzie można skoczyć na awaryjne tankowanie. Do tego dochodzą setki pytań,

dłaczego nie będzie alkoholu, ale jak to: nie będzie alkoholu, czy to prawda, że nie będzie alkoholu.

Czy można się dobrze bawić bez alkoholu, to już temat oddzielny, warto jednak przytoczyć komentarz dr Anny Lembke, autorki „Niewolników dopaminy”, jaki pojawił się na łamach „New York Timesa” w tekście dotyczącym suchych wesel. „Ludzie, dla których picie jest podstawowym sposobem na topienie interpersonalnych lodów lub wręcz stanowi ich hobby, mają zupełnie inny stosunek do sytuacji ograniczającej im dostęp do alkoholu – wyjaśnia pisarka i psychiatra. – Dla nich normalne jest to, że zbliżają się do ludzi na lekkim rauszu”.

Jak opowiada właściciel Sans Bar w amerykańskim mieście Austin, który nie serwuje u siebie procentowych trunków, pary najczęściej uginają się pod presją najbliższej rodziny. „Wyboru kwiatów, jakie stawiasz na weselnym stole, nie uzasadniasz, a więc tego też nie musisz” – broni stawiania na suchy stół AJ Williams, szef firmy AJ Events, w specjalistycznym portalu BridalMumsings.com, i doradza zorganizowanie dla gości specjalnego baru z wszelkiego rodzaju lemoniadami, świeżymi sokami i ziołowymi infuzjami (oczywiście można użyć słowa „napary”, ale to nie brzmi wystarczająco odświeżenie). Poza tym gości można zabawić, czy też odciągnąć ich uwagę od braku procentów, pokazem sztucznych ogni, efektowniej oświetlonym i ozdobionym parkietem, a jeden ze speców od organizowania wesel doradza nawet postawienie stanowiska do robienia własnych cygar. Inna sugestia? Rozpoczęcie imprezy na tyle wcześniej, by goście najbardziej lubiący alkohol mogli wieczorem iść z czystym sumieniem do baru. To rozwiązanie z gatunku i wilk syty, i owca cała, bo pić można we własnym zakresie i na własne ryzyko, a trzeźwych zostawić w spokoju. Swoją drogą, na suchym weselu nikt by złotego rogu nie zgubił i historia Polski, nie tylko tej z Wyspiańskiego, mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej... ■



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Skuci w kajdany

SŁOWO

Piosenki o zrywaniu kajdan już za nami. W ostatnich latach dominowały raczej utwory o zdobywaniu nowych kajdan. To zjawisko, które eskalowało wraz ze wzrostem stopy życiowej polskich raperów, dla których złoty kajdan – czyli gruby łańcuch na szyję – jest rodzajem nieformalnego trofeum, nagrody. Pięć lat temu **Malik Montana** rapował: „Zostawię tylko drobne tak jak dzieciakom na lody/I za wasze pieniądze kupię nowy kajdan złoty”. Szpaku na nowej płycie opowiada o tym, że kiedy sukces jest już odpowiednio duży, można przekazać pałeczkę dalej, oddając dawne trofeum młodzieży: „Złoty kajdan oddałem w Giżycku na festiwalu/ Bo kiedyś taki gest by zmienił życie mi jak Paluch” (Paluch to inny raper). Quebonafide opisywał trudną drogę sławy i pieniędzy w rapie na albumie duetu Taconafide tak: „Czuję się jak Jared Leto, Michael Douglas, Ryan Gosling/ Wszystkie patrzą na ten sikor, na tej kajdan i chcą forsy”. Tu warto dodać, że stały związek to już „kajdanki” – bo tak młoda polszczyzna opisuje obrączki ślubne. A Kaz Bałagane z rozrzewnieniem wspominał kiedyś powrót w rodzinne strony: „Złoto mi



lata, jak frunę przez klatkę, wita mnie miła sąsiadka/ Idę pod blok zapalić fajka w miejscu, gdzie kupiłem, mordo, pierwszy kajdan”. Dziś niektórzy polscy raperzy sprzedają własne linie biżuterii. Mnożą się też zamienniki – najtańszy łańcuch opisywany jako „złoty kajdan” znalazłem na Allegro za 24,99 zł.

Oczywiście moda na złote łańcuchy to efekt fascynacji amerykańskim hip-hopem – pierwsza płyta, na której raper paradował w łańcuchach na szyi, album Kurtisa Blow, to w ogóle jedna z pierwszych, jakie w tym gatunku wydano. Jeśli komuś obcy świat polskiego rapu, może sobie wyobrazić kajdan, przywołując w pamięci wygląd insygniów, jakie nosi się na polskich uczelniach. Stąd nazwa prześmiewczego profilu na Facebooku: „Dziekani noszą kajdan na szyi, bo należą do rap podziemia”. Rap proponuje najczęściej wizję sukcesu bez zakuwania. A kajdanki w tekstach pojawiają się rzadko – zresztą, jeśli wziąć pod uwagę popularne określenie stanu odurzenia marihuana, i bez nich raper bywa skuty.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

W sumie to już zarobiłem trochę,
Mam na sobie diamentowy choker
Oki, Sprzedałem się, 2023 r.

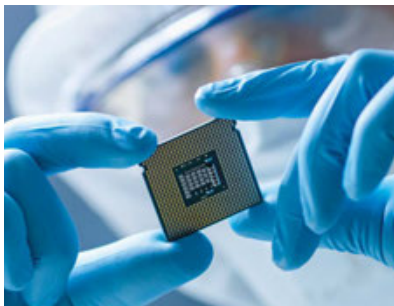
Choker = naszajnik ściśle przylegający do szyi

Polska wchodzi do gry o chipy

TECHNO

W połowie czerwca premier Mateusz Morawiecki i minister cyfryzacji Janusz Cieszyński ogłosili wielką inwestycję. Wspólnie z amerykańskim ambasadorem i firmą Intel, która zapowiedziała, że pod Wrocławiem zbuduje pierwszą w Polsce fabrykę chipów. Ktoś mógłby się śmiać, że Morawiecki specjalizuje się w działkach we Wrocławiu i okolicach, a Cieszyński akurata tam będzie jedynką w wyborach. Jednak sprowadzenie do Polski potężnej, wartej 4,6 mld dol. inwestycji to duże i ważne wydarzenie.

Jest tak niezależnie od faktu, że podwrocławski zakład Intela – który ma ruszyć w 2027 r. i zatrudniać 2 tys. osób – nie będzie „fabem”, czyli centralnym punktem łańcucha produkcji półprzewodników. W tego typu fabrykach powstają krzemowe wafle z nadrukowanymi „gołymi” chipami. W Europie działa jeden fab Intela, w irlandzkim Leixlip, a drugi ma powstać pod Magdeburgiem. W Polsce powstanie zakład innego typu – assembly&test. Wafle krzemowe z Magdeburga i Leixlip będą trafiać pod Wrocław, gdzie miałyby być z nich wycinane chipy. Te zaś trzeba będzie obrobić, zamontować i przetestować. Polska nie stanie się od razu światowym centrum produkcji półprzewodników, ale obrabianie wafli krzemowych to nie jest dokręcanie śrubek. Proces już jest skomplikowany, a poziom jego zaawansowania będzie tylko rósł. A żeby nauczyć się biegać,



najpierw trzeba umieć chodzić. Tymczasem Polska była do tej pory chipową pustynią.

Inwestycja Intela oznacza, że Polska wchodzi do gry, którą ostatnio interesuje się cały świat. „Kryzys chipowy”, który w czasie pandemii uderzył w przemysł samochodowy, nasilająca się rywalizacja USA–Chiny i obawy o bezpieczeństwo Tajwanu – kluczowego dla produkcji półprzewodników – skłoniły Zachód do walki o chipy. Udział USA w ich produkcji spadł z 37 proc. w 1990 r. do zaledwie 12 proc. w 2021 r. – produkcja była bowiem przenoszona do Azji. Udział UE wynosi ok. 10 proc. Teraz Waszyngton i Unia starają się stymulować procesy reshoringu, czyli sprowadzenia produkcji z powrotem, i friendshoringu, czyli upewniania się, że jest ona w rękach państw sojusznicznych. Uznano bowiem, że bezpieczeństwo dostaw jest sporo warte. Dlatego i w Unii, i w USA przewidziano wielomiliardowe subsydia.

Również polska fabryka dostanie publiczne wsparcie, które będzie wynosić ok. 1/3 kosztów inwestycji. To sporo, a wejście w półprzewodnikowy łańcuch produkcji może „zalegitymizować” nas w oczach innych firm i poskutkować kolejnymi inwestycjami. Być może usłyszymy o nich nawet całkiem szybko – Intel ponoć myśli o kolejnych zakładach, a wizyty w Warszawie robią się ostatnio na Tajwanie coraz modniejsze.

RYSZARD ŁUCZYN

Z ogrodu do salonu

D I Z A J N

Przyszły ciepłe miesiące i już coraz częściej przesiadujemy na zewnątrz. Prawdopodobnie spora część naszego społeczeństwa, choć dotyczy to w zasadzie również wielu innych krajów świata, przynajmniej raz w tym sezonie zasiądzie na dobrze wszystkim znanym „plastikowym krześle ogrodowym”. Jego właściwa nazwa to Monobloc. Przez lata model ten był wykorzystywany od działek przez knajpy po ulicznych handlarzy wszystkich kontynentów.

Uznany włoski architekt i dizajner Vico Magistretti mówił o Monoblocu, że jest doskonałym przykładem całej wulgarności naszych czasów, a jeden z najbardziej wpływowych projektantów Verner Panton uważał, że cokolwiek można sądzić o jego konstrukcji, za lekkim, wygodnym i tanim krzesłem stoi jednak geniusz.

Mimo że to krzesło, które wszyscy uwielbiają nienawidzić, Monobloc symbolizuje ducha



drugiej połowy XX w. To model wszechobecny, demokratyczny, łatwy w czyszczeniu, dający się składać w stopy i odporny na warunki atmosferyczne. Te zalety jednak nie sprawiają, że stał się z czasem mniej kontrowersyjny. Wzbudza tyle emocji, że w szwajcarskiej Bazylei jego używanie było w latach 2008–17 zakazane ze względu na psucie krajobrazu miasta.

Sam projekt powstał w 1946 r. z ręki Kanadyjczyka Douglasa C. Simpсона, ale nie istniały jeszcze wtedy technologie pozwalające na jego masową produkcję. Stało się to możliwe w latach 60. XX w., kiedy zyskała popularność metoda formowania wtryskowego. Wówczas też powstały pierwsze projekty plastikowych krzeseł, dziś ikon dizajnu, takich jak Panton w kształcie litery S Verneru Pantona czy Uniwersale z charakterystycznym wcięciem w oparciu według projektu Joe Colombo. Oba projekty były już jednak zdecydowanie droższe.

Sukces krzesła Monobloc nie przestaje pobudzać wyobraźni projektantów. Powstaje coraz więcej modeli krzeseł, które mogą mieć zastosowanie na zewnątrz, a dzięki fantazyjnym formom równie efektownie wyglądają we wnętrzach. Ten temat mocno eksploruje niemiecki dizajner serbskiego pochodzenia Konstantin Grcic, który w 2020 r. zaprojektował krzesło **Bell** inspirowane formą klasycznego Monobloca, a jednak produkowane w zrównoważony sposób – z odzyskanego z recyklingu polipropylenu. Rekordy popularności w mediach społecznościowych bije ostatnio model projektu Brytyjki Faye Toogood, znany pod nazwą **Roly Poly**, co można przetłumaczyć jako pękaty czy barylkwaty. To siedzisko wyglądające z jednej strony jak rzeźba, z drugiej jak przeskalowany mebel z domku dla lalek: z zaokrąglonym siedziskiem i cylindrycznymi, grubymi nogami.

ALEKSANDRA KOPERDA

Pocztówka z piekła

W I R A L

Wiodąca na Hel sezonowa linia 666 znika z autobusowego rozkładu jazdy. Nie jest powiedziane, że na zawsze, bo do PKS Gdynia już spływają głosy rozczarowanych tą decyzją pasażerów. Do wymiany tablic skłoniły z kolei przedtem liczne protesty oburzonych. Linia, przynajmniej tego lata, ma nosić „mniej kontrowersyjny” nr 669.

Seledynowy autobus nr 666 prędko został memem. Firma PKS Wejherowo, poprzedniczka PKS Gdynia, nowe numery i trasy wprowadziła w 2006 r. Komuś potrójna szóstka przypaść musiała, a Hel – z angielskiego „piekło” (przynajmniej fonetycznie) – nasuwał się w sposób oczywisty. I w zamyśle humorystyczny. Wabik podzielał na turystów, ale i na prawicowe media. „Szatańska głupota na Helu – donosiła „Fronda” – gorsząca propaganda antychrześcijańska, w gruncie rzeczy – wprost satanistyczna”. Katolicki portal już pięć lat temu wzywał władze PKS Gdynia do opamiętania, dodając, że sieje zgorznienie. Wszak co roku miliony Polaków, w tym tysiące rodzin, wypoczywają nad Bałtykiem. „Jaka byłaby reakcja mediów, gdyby – zastanawiano się we „Frondzie” – władze Warszawy puściły pod Pałac Kultury, dawniej im. Stalina, autobus linii 1709. Byłoby to jawne szyderstwo z koszmaru sowieckiej napaści na Polskę”. Deon, inny katolicki portal, dziś decyzji PKS Gdynia przyklaskuje, tłumacząc, że potrójna szóstka, liczba bestii, oznacza spotęgowaną niedoskonałość



(pojedyncza według biblistów symbolizuje szósty dzień stworzenia, blisko doskonałej siódemki).

Liczbę 666 chętnie zawłaszcza popkultura (album „The Number of the Beast” grupy Iron Maiden ukazał się już w 1982 r.) i zawsze ekscytuje się nią sieć. 666 lajków czy wyświetleń pod filmikiem – nie umknie niczyjej uwadze. Tymczasem helski scenariusz przerabiał niedawno Nowy Jork. Wieżowiec przy 666 Fifth Avenue zyskał nowy adres (660), został poddany renowacji i wystawiony na sprzedaż. Dodajmy, że w 2018 r. cały okoliczny kompleks kupiła firma Jareda Kushnera, zięcia Donalda Trumpa. Wyburzony w latach 20. wieżowiec zwykle świecił pustkami. Przesądni twierdzą, że to z winy adresu. Przyszłość wieżowca – i naszego Helu – pokaże, czy diabeł faktycznie tkwi w szczegółach.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

(Nie)demokratyczna samotność

To nie brak ludzi wokół działa na nas negatywnie, ale raczej natura naszych relacji, więzi i szeroko rozumianego poczucia bezpieczeństwa.

RELACJE

Jeśli chodzi o skutki, samotność jest demokratyczna, na zdrowie wpływa bardziej niekorzystnie niż brak ruchu, alkoholizm i otyłość. Statystycznie odpowiada wypalaniu 15 papierosów dziennie. „Samotność nie bierze się z tego, że wokół człowieka nie ma ludzi, lecz z tego, że ten człowiek nie jest w stanie zakomunikować rzeczy, które są dla niego ważne, lub żywić poglądów, które inni uznają za niedopuszczalne”. Te słowa Carla Gustava Junga przytacza w „Stuleciu samotnych” Noreena Hertz, angielska ekonomistka, profesorka University College London; dzięki jej pracom o współczesnej epidemii samotności nie myśli się już wyłącznie jako o doświadczeniu indywidualnym, lecz także poważnym wyzwaniu natury społecznej, ekonomicznej i politycznej.

We wspomnianej książce Hertz wymienia kolejno przedsięwzięcia wspólnotowe, w których coraz rzadziej uczestniczymy – poczynając od Kościoła, przez związki zawodowe, po dzielenie z kimś mieszkania. Znikają wspólne przestrzenie, nie tylko fizyczne, ale również mentalne. Im związki z innymi są płytsze i bardziej powierzchowne, a świat dookoła niepewny i nieprzewidywalny – tym większa samotność. Jeśli więc świat się chwieje na naszych oczach, to samotność trzęsie nim w posadach.

Rządy angielski i japoński powołały ministrów ds. samotności. Wyniki badań przeprowadzonych w ubiegłym roku przez Instytut Pokolenia w Polsce wskazują, że 53 proc. Polek i Polaków doświadcza poczucia samotności, a 35 proc. nie ma nikogo, do kogo mogłoby się zwrócić po pomoc. Jakże są przyczyny tego stanu rzeczy?

Zacznijmy od tego, że znaczenie naszej fundamentalnej zależności od innych w kwestii zarówno przeżycia, jak i rozwoju nie ulega w psychoterapii żadnej wątpliwości. To dość podstawowe rozpoznanie, że jesteśmy istotami społecznymi kształtowanymi przez więzi z innymi, stoi jednak w sprzeczności z ideologią neoliberalną, z jej

hasłami absolutnej wolności jednostki, samostanowienia, autonomii czy nastawieniem na silną konkurencję.

W czasach Freuda i Junga zaburzenia psychiczne były interpretowane jako efekt konfliktów i stłumień związanych z koniecznością podporządkowania swoich potrzeb i pragnień obowiązującym normom społecznym. W naszych czasach, kiedy kwestia wolności i samorealizacji – z pominięciem odpowiedzialności za innych – zyskała tak wysoki status, przestaliśmy widzieć w innych istoty tak samo jak my potrzebujące wsparcia. Zaczęliśmy w nich natomiast dostrzegać przede wszystkim zagrożenie w konkurencji o zasoby. A pytanie brzmi: ile ryzyka jesteśmy zdolni znieść w pojedynkę? Człowiek postawiony w sytuacji, w której jego myślenie ograniczone jest tylko do „ja”, nie ma punktu odniesienia w postaci innych umysłów zdolnych pomóc mu stworzyć ramy dla rozumienia siebie, ludzi i świata. Narażony jest także na depresję i inne formy cierpienia psychicznego, bo żeby „ja” było w stanie w ogóle się ukształtować, potrzebujemy być widziani, rozpoznawani i rozumiani przez innych. Słowem, potrzebujemy czuć się częścią jakiejś większej całości.

Dlatego stan tak demokratyczny jak poczucie samotności, dotykające i bogatych, i biednych, zdrowych i chorych, kobiety i mężczyzn, staje się współcześnie źródłem jednego z największych zagrożeń dla demokracji. Paradoksalnie wracamy więc do Junga. Tam, gdzie nie ma zaufania, wspólnoty i poczucia, że można się komunikować, tam, gdzie dominuje przekonanie, że innych trzeba się raczej wstydić lub bać – albo popadamy w rozpacz i desperację, albo walczymy o siebie, nie dostrzegając w innych partnerów.

A przecież, choć poglądy możemy mieć różne, wszyscy mamy podobne potrzeby. Bliskość z innymi, poczucie zrozumienia i więzi należą do tych najbardziej podstawowych. Warto i trzeba o nie dbać. ■



Cveta Dimitrova
– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

Risotto znaczy rozmawiać

Risotto łączy ludzi; ryż od wieków pojawiał się zarówno na stole chłopskim, jak i należącym do klas wyższych.

W Wenecji trwa jedna z największych imprez architektonicznych: Biennale di Architettura. Co roku na sześć miesięcy miasto na lagunie zmienia się w wielką galerię. Ale do Wenecji warto polecić nie tylko ze względu na odbywające się tu imprezy; zamiennie Biennale Sztuki czy Biennale Architektury. To miasto wyjątkowe, z ciekawą kulturą gastronomiczną. I choć kuchnia Wenecji większości z nas prawidłowo kojarzy się z rybami i owocami morza, to ma o wiele więcej do zaoferowania. Podmokłe i bagniste uwarunkowanie Veneto sprzyja uprawie ryżu, który jest tu towarem lokalnym. Risotto to danie, które od XVII w. łączy ludzi; ryż pojawiał się zarówno na stole chłopskim, jak i należącym do klas wyższych.

KUCHNIA

Risotto to danie komfortowe i gadatliwe. Posiłek idealny do przygotowania we dwójkę lub więcej osób. Długie mieszanie ryżu skłania do rozmyślań i rozmów. Ryż syci, ale nie pozostawia uczucia ciężkości, więc sędzę, że to dobre danie na zbliżające się ciepłe dni. To też świetna opcja, kiedy na wakacjach w Italii pocujemy chwilowy przesytny glutenem. Ryż do risotto ma lekko okrągły kształt i jest bardzo twardy. Jego najlepsze odmiany, np. Vialone Nano, bardzo trudno rozgotować. Idealne risotto powinno być zresztą (podobnie jak włoski makaron) gotowane „na ząb”. Można je przygotować z każdym sezonowym warzywem. Teraz idealny jest zielony groszek albo bób, zielone szparagi lub czarujące młode cukinie z kwiatami.

Do risotto potrzebne jest też wino, ale nie można użyć byle jakiego, bo może zepsuć całe danie. Weneckie szczepo to pinot grigio albo soave, ale przecież nada się każde ulubione. Wino ma smakować! Jako osoba szukająca w kuchni sprytnych rozwiązań sięgam po dobrej jakości warzywny bulion w kostce lub proszku. Dodatek masła dodaje kremowości, podobnie jak płatki drożdżowe, które w tym wypadku są alternatywą dla parmezanu. Risotto najlepiej smakuje świeże i ciepłe. ■

Cytrynowe risotto z zielonym groszkiem

oliwa	1 l bulionu warzywnego
1 cebulka	1 łyżka masła roślinnego
300 g ryżu arborio lub Vialone Nano	3 łyżki płatków drożdżowych/roślinnego parmezanu
1/2 szklanki wytrawnego białego wina	sól
1 szklanka zielonego groszku lub bobu	pieprz
1 cytryna	listki bazylii lub oregano

Sposób przygotowania:

W rondlu rozgrzej trzy łyżki oliwy. Cebulę obierz i drobno posiekaj. Zaczynij podsmażać cukinię.

Kiedy cebulka zmięknie, wsyp ryż. Smaż na małym ogniu i mieszaj. Ryż po paru minutach powinien robić się przezroczysty.

Wlej wino i przemieszaj. Kiedy wino odparuje, dodaj pierwszą chochłę bulionu (należy go dodawać stopniowo).

Kiedy nadmiar bulionu odparuje, wlej kolejną porcję. Mieszaj od czasu do czasu. Ryż powinien się gotować ok. 20–25 minut.

Pod koniec wsyp zielony groszek. Najważniejsze, by nabrał temperatury, ale nie stracił koloru.

Dodaj otartą skórkę z cytryny. Przemieszaj. Dodaj sok z połowy cytryny. Przemieszaj. Dodaj płatki drożdżowe i ewentualnie masło. Całość powinna być kremowa.

Dopraw solą i pieprzem. Podawaj ciepło. Na koniec popieprz i posyp świeżymi ziołami.



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.



Rzeczpospolita Ptasia

Tam, gdzie Warta kończy bieg i wpada do Odry, leży Rzeczpospolita Ptasia. Państwo bez wiz i granic, które jest dobrem wspólnym ptaków i ludzi.



Rzeczpospolita Ptasia to jedno z tych miejsc w Polsce, które pozostają nieodkryte – i to jego największy atut. Zamiast tłumu turystów – wszechobecna przyroda. Wschodnia Polska ma swoje bagna i mokradła nad Biebrzą, a zachodnia może się pochwalić właśnie Rzeczpospolitą Ptasią w Ujściu Warty. Po drugiej stronie kraju, przy granicy z Niemcami, prawie w linii prostej od Biebrzy, w dolinie dolnej Warty czekają otwarte przestrzenie zalewowych łąk i pastwisk, poprzecinanych kanałami i starorzeczami. Można tam spotkać mnóstwo ptaków, choć jako pierwsze zobaczymy stada pasących się krów i koni. Od ponad 20 lat mamy tu Park Narodowy Ujście Warty, najmłodszy spośród 23 polskich parków narodowych.

Kiedy wychodzę o piątą rano przed siedzibę Biura Turystyki Przyrodniczej Dudek w Słońsku, przecieram oczy, a przede mną rozciągają się spowite mgłami tereny Rzeczpospolitej Ptasiej. Chciałabym powiedzieć, że bładym świtem można delektować się tutaj ciszą, ale nic bardziej mylnego. Ta kraina rozbrzmiewa świergotem, śpiewami, świstami czy trelami. – *Park Narodowy Ujście Warty to ponad 8 tys. ha mokradła, łąk, zarośli i lasów, które zamieszkuje ponad 260 gatunków ptaków, a jesienią w ciągu jednego dnia migracji można doliczyć się nawet 20 tys. żurawi lub 100 tys. gęsi* – opowiada Izabella Engel podczas spaceru po tej niezwykłej krainie. Jestem przekonana, że przewodniczkę mam najlepszą; Engel jest też prezeską Towarzystwa Przyjaciół Słońska Unitis Viribus i jednocześnie ministrami ochrony środowiska w Rzeczpospolitej Ptasiej, czyli po prezydencie najważniejszą osobą w tym „państwie”.

Wyposażone w lornetki ruszamy na spacer. Pani Izabella prowadzi najpierw gruntową drogą wśród łąk, aby w końcu dotrzeć do betonki. Przy okazji obserwowaliśmy polujące na ryby czaple białe, żerujące na łąkach gęgawy i czatujące na suchych drzewach bieliki. Na barierkach mostu w rzędzie siedzą jaskółki.

P O D R Ó Ż E

Dalej wije się licząca dwa kilometry ścieżka przyrodnicza „Ptasim szlakiem”. Na terenie Rzeczpospolitej Ptasiej, poza kilkoma ścieżkami w parku narodowym, jest jeszcze sześć ptasich szlaków o łącznej długości ponad 70 km. Każda trasa nosi nazwę ptaka, którego można tam spotkać. Są szlaki kani, derkacza, dzięcioła, zimorodka, dudka i gęgawy.

Uroki doliny rzecznej można odkrywać, jadąc rowerem po ciągnących się kilometrami wałach, albo skorzystać z gotowej propozycji przygotowanej przez park narodowy „Na dwóch kółkach przez polder północny” (dystans 30 km). Jest jeszcze trzecia opcja: spływ kajakiem. Sprzęt można wypożyczyć w Biurze Dudek przy Stacji Pomp 2. Trasa kajakowego „szlaku zimorodka” prowadzi po rzece Postomi i starorzeczach Warty. Jest szansa, że uda się zobaczyć lub usłyszeć oprócz ptaków „szlakowych” także bociany, łabędzie, bieliki, czajki, żurawie, słowiki i mnóstwo innych.



Magdalena Gorlas

– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa człowieka drugiego człowieka. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune”, POLITYCE, „Vogue’u”, „Dużym Formacie” czy „Piśmie. Magazynie opinii”.

Wracamy do Stacji Pomp. Dostaję paszport z wbitym pieczętką, której symbolem jest tzw. ptak roku, i zostaję obywatelką Rzeczpospolitej Ptasiej, demokratycznego państwa bez wiz i granic, za to z prezydentem, flagą i stolicą w Słońsku. Ponad dwadzieścia lat temu wymyślił je obecny prezydent Henryk Radowski. To małe i nietypowe państwo liczy teraz 3773 obywateli rozproszonych po całym świecie. Paszport może otrzymać każdy, niezależnie od narodowości, wyznania, płci, wieku i koloru skóry. Każdy, komu drogie są sprawy ptaków i ich środowiska – czytam w Konstytucji Rzeczpospolitej Ptasiej. Obywatele co roku zbierają w paszporcie pieczętki potwierdzające pobyt w Słońsku lub uczestnictwo w zlocie. Każdy rok poświęcony jest innemu gatunkowi ptaka, wybranemu spośród rzadkich lub zagrożonych, występujących na nadwarciańskich rozlewiskach. W tym roku przewodzi ostrygojad, czarno-biały ptak z charakterystycznym czerwono-pomarańczowym dziobem. W 2024 r. będzie to wąsatka. ■

Zachwycony redaktor „Tygodnika Solidarność” Jakub Pacan cytuje wystąpienie Beaty Szydło w Parlamencie Europejskim: „Polska nie jest i nie będzie chłopcem do bicia; nie da się sterroryzować poprzez wasze ataki i kary. W Polsce praworządność nie jest łamana. Nie ma takiego problemu. W Polsce sama ze sobą problem ma opozycja, która nie mogąc pogodzić się z demokratycznym wyborem Polaków (...), cały czas atakuje i wszczynają awantury, niestety wykorzystując również instytucje europejskie”. Tej pani nikt nie przekona, że czarne jest czarne, a białe – białe.

Po ośmiu latach pod rządami PiS autor „Do Rzeczy” Jan Fiedorczyk odkrywa: „Rządzący zapewniają, że wygrali wybory i obecnie realizują jedynie swój mandat, a wyborcy przy urnach rozliczą ich z mijającej kadencji. Problem w tym, że nie na tym polega demokratyczny mandat, iż można robić absolutnie wszystko, tłumacząc się zwycięstwem wyborczym. Zwłaszcza jeżeli działa się wbrew swoim własnym obietnicom wyborczym. (...) Dzisiaj, Anno Domini 2023, trudno dalej postrzegać PiS jako partię »zwykłych Polaków«. Rząd zerwał się z łańcucha demokratycznej kontroli, oderwał się od własnych wyborców i forsuje na siłę coraz bardziej niepokojące i szkodliwe projekty”. Doprawdy?

Każda młoda Polka, która uważa, że nie warto brać kudziału w wyborach, powinna znać poniższy cytat z prezesa Kaczyńskiego: „Kiedy posłanki opozycji zaapelowały w Sejmie o minutę ciszy dla pani Doroty [zmarłej w szpitalu w Nowym Targu], przedstawiciele PiS nie raczyli ruszyć czterech liter z ław poselskich. Prezes Jarosław Kaczyński zapytany o sytuację kobiet na porodówkach odparł, że »takiej sprawy nie ma, ona jest

wymyślona przez propagandę. To jest część tej urojonej rzeczywistości»” („Newsweek”). Kto tu ma urojenia?

W „Plusie Minusie” Katarzyna cytuje premiera: „Aborcja w Polsce jest dopuszczalna. Życie i zdrowie kobiety przede wszystkim. Także zdrowie psychiczne. Nie ma tutaj żadnych barier, żadnych przeszkód. W sytuacji zagrożenia życia i zdrowia kobiety prawo jest jednoznaczne”. Blogerka komentuje: „Żyjący w świecie wykreowanym przez własnych PR-owców premier ma niewielki kontakt z rzeczywistością. Może więc wierzyć, że prawo w Polsce jest nie tylko jednoznaczne, ale nawet ściśle przestrzegane. Tyle że jest to bardzo dalekie od prawdy. (...) Żaden lekarz nie chce bowiem podzielić losu swoich kolegów, którzy od kilkunastu lat tłumaczą się przed sądami, że naprawdę nie zabili prokuratorowi generalnemu ojca, lecząc go na serce”. Odwaga nie jest obowiązkowa.

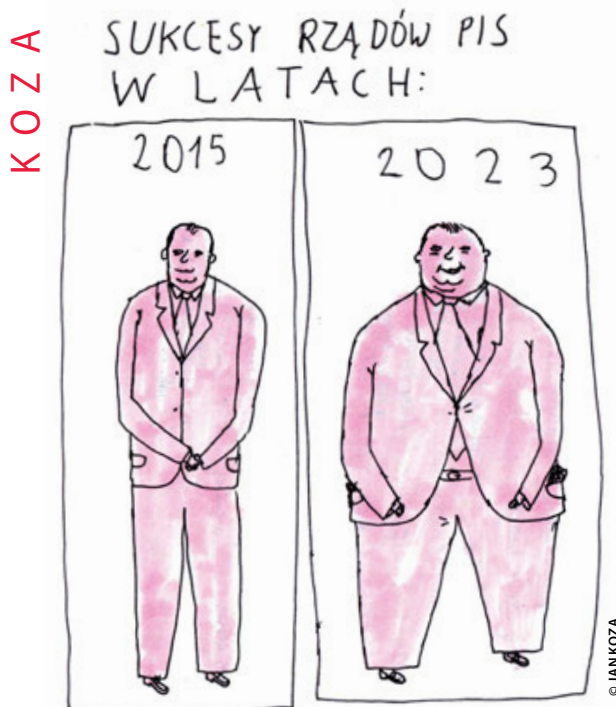
Żadnych złudzeń,
panowie, żadnych złudzeń.
W ośmieszeniu Polski
można na dr. Dudę
zawsze liczyć
– prof. Andrzej Romanowski,
„Przegląd”.

W „Przeglądzie” Wojciech Kuczok podsumowuje w opolski festiwal: „Gwiazdy popkultury, firmujące własnym wizerunkiem jakiegokolwiek produkcje telewizji rządowej we współczesnej Polsce, próbują jednocześnie porozumiewawczo mrugać do widzowi i siadać okrakiem na barykadzie; dostają hajs ze szczujni, ale chcą zarazem zostawić sobie uchyloną furtkę na okoliczność zmiany władzy”. Myślą samodzielnie.

Michał Szułdryński o kampanii PiS („Rzeczpospolita”): „Cały polityczny plan polegający na tym, by pokazać, że tylko obóz PiS ma prawo do polskich barw i hymnu, wziął w łeb. No bo jak to, czy sympatycy PO byłiby aż tak przebiegli, by z niemieckim akcentem śpiewać polski hymn, by zmylić przeciwnika? Że powiewają biało-czerwonymi flagami z nienawiści, a nie miłości do ojczyzny? Zdjęcia i filmiki z pierwszego Marszu w Warszawie i drugiego Marszu w Poznaniu po prostu rozbiły tę narrację. I dlatego szef sztabu partii rządzącej, która tę narrację promowała, Tomasz Poręba, słusznie uznał, że czas się spakować”. A dopiero co zapewniał: „Mamy to bardzo precyzyjnie rozpisane”. Pierwsza ofiara własnego planu.

Zanim Poręba zrezygnował z funkcji szefa sztabu wyborczego PiS, zdążył pokazać, jakie miłe relacje ma z kolegami politykami, pisząc na Twitterze: „Spece od PRu: @AdamBielan autor przegranej kampanii z 2007 r., opuszczający PiS po katastrofie smoleńskiej, twarz ciągnących w dół niejasności wokół NCBR oraz »tu jestem, tu jestem« @MMastalerek. Na aucie ostatnich wygranych kampanii PiS. Niezłe kombo”. Może i złe, ale wygrało.

Szef „Sieci” Jacek Karnowski zwietrzył okazję zarobku i melduje prezesowi gotowość współdziałania przy emigranckim referendum: „Potrzebna jest długa i intensywna kampania informacyjna, również billboardowa, pokazująca wagę zagadnienia i skutki akceptacji unijnego pomysłu – a także nielegalność forsowanego rozwiązania. (...) Musi jednak [referendum] zostać potraktowane bardzo poważnie – organizacyjnie, finansowo, politycznie. Jeśli tak się stanie, okaże się sukcesem”. Biznesowym, dla „Sieci”.



CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

- Rehabilitacja ortopedyczna:
 - stawów rzepkowo-udowych
 - stawów barkowych
 - kręgosłupa
 - stawów kolanowych
 - kontuzji sportowych
 - po zwichnięciach stawów
 - urazów mięśni
 - więzadeł
 - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroinekologii
- Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

- Pełny zakres badań

Diagnostyka

- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

#VisitDresden

ODKRYJ
PIĘKNO



Foto: Tommy Heyduck (DML-BY)

Tu spotykają się zachwycająca architektura i uroki natury, dzieła mistrzów dawnych i współczesnych, znakomite wina i dobra kuchnia, spacerowe uliczki i rowerowe ścieżki, operowe spektakle i swingujący jazz. Odkryj Drezno i Krainę Łaby.

www.visit-dresden.travel/pl



SACHSEN. LAND VON WELT.

Reklama współfinansowana ze środków podatkowych na podstawie budżetu uchwalonego przez członków parlamentu Saksonii (Sächsischer Landtag).

Dresden.
Elbland.